MARIUSZ

CZUBAJ

Martwe popołudnie

MARIUSZ CZUBAJ

Martwe popołudnie

Wydanie elektroniczne

O książce

„Pewni ludzie znikają, a inni ludzie ich szukają. Tak to jest skonstruowane”, mówi Marcin Hłasko, specjalista do spraw bezpieczeństwa i ekspert zajmujący się poszukiwaniem zaginionych.

Upalne lato 2013 roku. W gdańskim hotelu zostaje zastrzelony polski parlamentarzysta. Motywy sprawcy – lub jego mocodawców – nie są jasne, a zabójstwo, które wyraźnie wygląda na egzekucję, budzi niepokój wśród polityków i urzędników państwowych.

Kilka tygodni później Marcin Hłasko dostaje prywatne zlecenie: ma odnaleźć specjalistę od marketingu politycznego, Daniela Okońskiego, który pracował nad biografią wpływowego polskiego biznesmana i pewnego dnia zniknął bez śladu. Hłasko, choć bez entuzjazmu, przyjmuje zlecenie, i zamiast przesiadywać w swoim domku fińskim na Jazdowie, krąży po warszawskich slumsach i hipsterskich klubach na Placu Zbawiciela, wkracza w świat polityki, szantażu, narkotyków, dużych pieniędzy i mediów. Stopniowo odkrywa ślady prowadzące do zdarzeń sprzed wielu lat.

Ale niektórzy zrobią wszystko, by zabrał zdobytą wiedzę do grobu.

MARIUSZ CZUBAJ

Profesor antropologii kultury, autor powieści kryminalnych *-21:37, Kołysanka dla mordercy* i *Zanim znowu zabiję*. Wraz z Markiem Krajewskim stworzył postać komisarza Jarosława Patera, bohatera *Alei samobójców* i *Róży cmentarnych.*

Pisze nie tylko kryminały, lecz także opracowania poświęcone temu gatunkowi powieści *(Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych*, napisana wspólnie z Wojciechem Bursztą, i *Etnolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne)* oraz innym obszarom kultury popularnej.

W 2009 Mariusz Czubaj zdobył Nagrodę Wielkiego Kalibru za najlepszą polską powieść kryminalną i sensacyjną. Jego książki zostały przetłumaczone na angielski, niemiecki, ukraiński i turecki.

Martwe popołudnie to pierwsza z cyklu powieści z Marcinem Hłaską.

Copyright © Mariusz Czubaj 2014

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Redakcja: Beata Słama

Ilustracja na okładce:
Edward Hopper (1882-1967) Nighthawks © The Art Institute of Chicago, Museum Depository

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-045-7

WYDAWCA
Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

O książce

O autorze

Dedykacja

Motto

PROLOG

- 1
- 2
- 3

CZĘŚĆ PIERWSZA

- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

CZĘŚĆ DRUGA

- 9

10
11
12
13
14
15
16
CZĘŚĆ TRZECIA
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
CZĘŚĆ CZWARTA
28
29

30
31
32
33
34
35
36
CZĘŚĆ PIĄTA
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50

51

52

EPILOG

53

54

Od autora

Przypisy

Andrzejowi Kuryłowiczowi

Esse est percipi[1]

George Berkeley, *Traktat o zasadach poznania ludzkiego* (1710)

PROLOG

1

Tego czerwcowego wieczoru przynajmniej trzy osoby nie zaliczyły do udanych. Pierwszą była ofiara, drugą morderca. Trzecia i tak miała sporo szczęścia. Tyle że życie na ogół nie lubi szczęśliwych zakończeń. A nic, zwłaszcza szczęście, nie trwa wiecznie.

W ostatnią sobotę czerwca 2013 roku poseł Sławomir Młynarczyk przyjechał do Gdańska. Lubił to miasto, a nawet darzył je sentymentem, który pozostał z czasów, gdy wynajmował pokój w starej części Wrzeszcza, tuż przy fontannie z baletnicą, i studiował na pobliskiej politechnice. Także tu, jeszcze jako student z ambicjami, stawiał pierwsze kroki w polityce, aby po latach dotrzeć niemal na sam szczyt, który wydawał się na wyciągnięcie ręki. Drgania i poważniejsze tąpnięcia w gospodarce, drobne afery, większe przekręty i salonowa walka partyjnych buldogów, charakterystyczna dla czasów niepewności i przesilenia – wszystko to sprzyjało jego planom. Jeszcze jeden wysiłek i niezbędna w jego fachu doza cierpliwości, mówił sobie w rzadkich chwilach zwątpienia, a marzenia się spełnią. Karierę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zakończył równie szybko, jak rozpoczął, gdy uznał, że nie tędy, nie przez ministerialne posady, będzie prowadzić jego droga. Jednak to właśnie wtedy nauczył się tego, co najważniejsze: kluczem do wszystkiego jest wiedza. Wiedza o ludziach. Im więcej o nich wiesz, tym dalej zajdziesz. Im więcej wiesz o osobach ważnych, tym jesteś cenniejszy. Im więcej tajemnic, jak mawiał jego polityczny mentor i przyjaciel, tym jaśniejszy świecznik. To życiowe credo wiodło posła Młynarczyka przez życie i zapewniało sukcesy. Aż do pewnego czerwcowego wieczoru.

***

Dwie doby wcześniej w jego kieszeni zawibrował telefon. Dobiegała właśnie końca kolacja w L’Atelier de Joel Robuchon, na którą polskiego parlamentarzystę zaprosili francuscy deputowani odpowiedzialni za służby specjalne nad Sekwaną. I tym razem potwierdziło się to, że na całym świecie ludzie ze specsłużb trzymają się razem. Młynarczyk po raz kolejny mógł dziękować rodzicom, że zmuszali go do nauki języków obcych. Pod tym względem należał do sejmowej elity, podczas gdy – myślał o tym z satysfakcją – większość jego koleżanek i kolegów z trudem składała zdania w języku ojczystym. Mógł też dziękować Francuzom, dzięki którym miał wreszcie okazję spróbować sławnego purée ziemniaczanego Joela Robuchona – artysty wśród kucharzy i zdobywcy dwudziestu ośmiu gwiazdek Michelina.

Oko czujnego obserwatora, a takich tego wieczoru w L’Atelier nie brakowało, spostrzegłoby, że polski poseł między jedną a drugą porcją pureée zawahał się, a następnie odłożył widelec, by lewą ręką sięgnąć do prawej kieszeni marynarki. Nigdy nie ignorował tego sygnału. Ten numer telefonu znało tylko kilka osób. Na wyświetlaczu pojawiły się literki GG. Do poszczególnych numerów nie przypisał imion i nazwisk, tylko inicjały. G.G. Głębokie Gardło – sam nazwał tak kiedyś tego człowieka. Przeprosił francuskich kolegów, wyszedł z sali i odebrał.

– No nareszcie – usłyszał. Jego rozmówca był wyraźnie zniecierpliwiony. – Mam nowy towar. Z ubiegłego weekendu. Pierwsza klasa. Spodoba ci się. Poza tym…

– Jestem w Paryżu, teraz nie mogę. – Młynarczyk rzucił okiem w głąb sali restauracyjnej. – Zdzwońmy się po moim powrocie.

Już miał się rozłączyć, ale ciekawość była silniejsza.

– Był ostatnio ktoś nowy? – zapytał.

– A jakże! – Rozmówca się roześmiał. – Nie uwierzysz kto! Pustak we własnej osobie. Nasza sieć się zapełnia.

Zapadło milczenie. Nie. To nie tylko ciekawość sprawiła, że Młynarczyk kontynuował rozmowę. W ciągu ostatniego roku rozmawiali wiele razy. W głosie Głębokiego Gardła tym razem pobrzmiewał ton, którego wcześniej nie słyszał. Zmiana była ledwie wyczuwalna, ale Młynarczyk był przecież mistrzem w wychwytywaniu takich niuansów. To między innymi dzięki spostrzegawczości budował swoją pozycję.

– Zacząłeś mówić o… Czy… czy wszystko w porządku?

– zapytał cicho, chociaż miał pewność, że nikt go nie podsłuchuje.

– Jest jeszcze coś… – W głosie GG wyczuł wahanie. – Wydaje mi się, że… ktoś chyba o nas wie… To znaczy ktoś, kto nie powinien… Nie mam pewności, ale zdaje się, że przeszukano moje mieszkanie. Tyle że ja niczego tam nie trzymam – oświadczył zdecydowanie. – Poza tym czuję się tak…

– No jak?

– Jakby ktoś chciał się włączyć w nasze sprawy… Tak czy inaczej trzeba porozmawiać i sprawdzić, co jest nie tak.

– Warto rozmawiać – potwierdził Młynarczyk. – Nawet w telewizji tak mówią.

Zawsze warto rozmawiać, powiedział sobie, gdy wymieniwszy jeszcze kilka zdań, rozłączył się.

***

Powtórzył w myślach całą tę rozmowę, wychylając się przez hotelowe okno. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Jego gość niedługo powinien być. Młynarczyk nie przypadkiem wybrał na miejsce spotkania Gdańsk. W weekend odbywa się na Śląsku konwencja partii, złożone zostaną dziesiątki obietnic, które nigdy nie zostaną zrealizowane, a przyklaskiwać temu będą wszyscy zainteresowani miejscami na następnej liście wyborczej, najlepiej na samym szczycie. Do końca kadencji zostało wprawdzie jeszcze trochę czasu, ale poseł coraz częściej obserwował nerwowe ruchy koleżanek i kolegów, a i pytania o przyszłość, zadawane niepewnym głosem, padały coraz częściej. W tę sobotę w Gdańsku nie grozi mu przypadkowe spotkanie z kimś niepożądanym. A że zabraknie go na konwencji? O swoją pozycję nie musi się martwić, a po nowym rozdaniu będzie naprawdę mocna. Nareszcie. I nic nie stanie mu na drodze. Głębokie Gardło przyjedzie z Warszawy, będzie miał wystarczająco dużo czasu, by zorientować się, czy nie ciągnie za sobą jakiegoś ogona.

Czy ktoś mógł się dowiedzieć, co robią? Przejrzeć ich plany? A jeśli tak, to kto? Te pytania nie dawały Młynarczykowi spokoju przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. Jeżeli GG w drodze do Gdańska zauważy, że coś nie gra, podniesie alarm. Spotkanie się nie odbędzie i trzeba będzie skontaktować się z innymi ludźmi. Bardzo ważnymi. Przymknął oczy. Wyobraził sobie, że jest w miejscu, które kiedyś odwiedzał regularnie.

Strzelnica, wokół puste stanowiska, nikt i nic go nie rozprasza, a on uspokaja oddech i oddaje kolejny celny strzał. Bum! Trzeba po prostu zachować spokój. Także w tej sytuacji. GG był świetny w swoim fachu, ale jak każdy… no, prawie każdy, miał słaby punkt. Nikt nie jest doskonały. Może po prostu zabrakło mu pieniędzy oraz szczęścia w proszku i kryształkach, jak zwykł mawiać, i stąd ta niepotrzebna nerwowość. Tak czy inaczej niedobrze. Młynarczyk zamrugał, jeszcze bardziej wychylił się przez okno i głęboko odetchnął.

Na Wybrzeże przyjechał kilka godzin przed spotkaniem. Skorzystał z bankomatu i pobrał pieniądze z konta, o którego istnieniu wiedziało jeszcze mniej osób niż o jego drugim numerze telefonu. Zadzwonił właśnie z tej komórki, przeznaczonej do zadań specjalnych, po czym ruszył w kierunku Sopotu. Na stacji benzynowej, znajdującej się przy arterii, która dzieliła miasto na pół, spotkał się z dwudziestolatkiem o twarzy wystraszonego szczura, a godzinę później pojawił się w hotelu Artus.

Był tu stałym gościem. Lubił to miejsce, położone przy samym rynku, nie przeszkadzał mu gwar turystów. Przeciwnie. Zgiełk i ludzie snujący się wkoło fontanny Artusa i kościoła Mariackiego sprawiali, że miasto żyło, a on rozpływał się w tym tłumie i upodabniał do innych. Rok wcześniej, gdy odbywały się mistrzostwa Europy w piłce nożnej, zabalował tu do białego rana z Irlandczykami. Lubił też hotele, w których można otworzyć na oścież okno, ale takich miejsc było coraz mniej. Właściciele podobnych przybytków, w trosce o bezpieczeństwo gości, a przede wszystkim dbając o reputację i statystyki prób samobójczych, instalowali te fatalne uchylne okna, które prawie wszędzie stały się już normą.

Chciało mu się pić. Sprawnie wymijał grupki turystów oraz stragany i gablotki z milionami bibelotów, które mogły się kojarzyć z pamiątką znad morza. Usiadł w restauracji Republika i zamówił piwo czerwone Książęce. Patrzył na Motławę i galeon, przy którym kłębił się tłum chętnych na wyprawę w kierunku Westerplatte. Przy stoliku obok ośmioletni może chłopiec jadł gigantycznego hamburgera, a wyżeł chłeptał wodę z miski. Republika. Ta nazwa musi pewnie nawiązywać do zespołu rockowego, którego uwielbiał słuchać, gdy był młodszy. W Gdańsku czuł, że krew i myśli krążą jakoś inaczej, a on sam, choć na chwilę, bierze rzeczywistość w nawias. Może dlatego tak lubił to miasto. To takie proste sprawy. Na przykład, gdy był tu poprzednio, zauważył, że naprzeciwko hotelu Artus

jest miejsce zwane Zaułkiem Pocałunków. Wielokrotnie tamtędy przechodził, a nigdy jakoś tego nie dostrzegł. Tak. Proste spostrzeżenia i bezinteresowne przyjemności, na które ma coraz mniej czasu. Trzeba będzie to zmienić, pomyślał. Albo się zestarzeję. Kiedyś. Ale jeszcze nie teraz.

Ciekawe, jakie jeszcze przyjemności czekają mnie dzisiaj? Kto dał się złapać tym razem? Sieć robi się coraz pełniejsza, pomyślał zadowolony. A ja jestem jak cierpliwy, doświadczony rybak. I nawet Pustak dał się złowić. Przypomniał sobie zwalistą sylwetkę posła opozycyjnej partii, który z sejmowej mównicy grzmiał o zapaści budownictwa i obiecywał wybudowanie miliona tanich mieszkań, gdy on i jemu podobni dojdą do władzy. Pustak wypchany gównem. Tak o tym geniuszu mówiono na sejmowych korytarzach i w hotelu poselskim po kilku głębszych.

Podniesione dziecięce głosy przypomniały Młynarczykowi, że trwa pierwszy weekend wakacji. Zadzwonił do domu i porozmawiał z córką, która skończyła właśnie czwartą klasę. Kilka tygodni wcześniej rozpoczęli żmudne negocjacje, i w końcu musiał przystać na to, by świadectwo z czerwonym paskiem wycenić na najnowszy model iPhone’a. Teraz potwierdził wcześniej złożoną obietnicę. Twarda dziewczyna, pomyślał z satysfakcją. Już teraz dba o swoje. Widocznie ma to w genach. Wiadomo po kim.

Pod hotelem grupka osób czekała na występ teatru ulicznego. Jeden z aktorów wręczył mu ulotkę. *Zombie Moon Walk*, przeczytał tytuł. Spektakl o tym, jak politycy zamieniają się w żywe trupy. Dobre. W sumie sam robię coś podobnego, przemknęło mu przez głowę. Wkrótce zamienię wiele wpływowych osób w polityczne trupy, a ja będę miał nad nimi pełną władzę. Aktorka z pomalowaną na zielono twarzą wręczyła mu dwie maski. Mimo zdeformowanych rysów nie miał wątpliwości, kogo przedstawiają. Obecny i poprzedni premier. Obaj z bielmem na oczach, wyszarpanymi, jakby nadgryzionymi policzkami i strużką krwi w kącikach ust. Wahał się tylko chwilę. Zabierze je do sejmu, będzie niezły ubaw, może nawet trafią we właściwe ręce.

***

Raz jeszcze spojrzał na zegarek. Kwadrans po dwudziestej. Fasady kamienic skryły się już w cieniu. Założył maskę i wyjrzał przez okno. W Zaułku całowała się jakaś para, nieopodal, ze względu na sąsiedztwo komisariatu, stał radiowóz. Na dole tłum widzów gęstniał. Tliło się kilka pochodni, a dwóch aktorów na szczudłach, z maskami na twarzach poruszało się w rytm przeboju Michaela Jacksona.

Młynarczyk nie mógł się powstrzymać.

– Hej! To ja, wasz premier! – krzyknął najgłośniej, jak potrafił, wychylając się przez okno.

Kilka osób zadarło głowy. Widział, jak dziewczynka, z pewnością młodsza od jego córki, wyrywa się opiekunce i macha do niego.

Majestatycznym gestem, jaki przystoi głowie państwa, pozdrowił tych, którzy go zauważyli.

Wydawało mu się, że słyszy elektroniczny dźwięk otwieranych drzwi na korytarzu. Dla Głębokiego Gardła zarezerwował pokój tuż obok. Występ teatru ulicznego przestał go interesować.

Wyszedł na korytarz i zapukał do sąsiednich drzwi. Ktoś najpierw ostrożnie je uchylił, a potem otworzył na oścież.

– No, wreszcie jesteś! – Młynarczyk wszedł do pokoju.

– Cholerne korki – mruknął mężczyzna. – Wlokłem się godzinami. To się nigdy nie zmieni. Masz? Masz to dla mnie? – spytał nerwowo.

Był młodszy od Młynarczyka prawie o dziesięć lat. Inne pokolenie. Ale miał podobny wzrost i posturę. Tyle że poseł stał spokojnie, trzymając w ręku maskę, a Głębokie Gardło przestępował nerwowo z nogi na nogę. Dłonie przyciskał do ud, żeby nie było widać, że drżą.

Poseł sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął torebkę z białym proszkiem i bez słowa rzucił ją mężczyźnie. Była w tym geście zarówno pogarda, jak i czytelny sygnał, kto tu rządzi.

– Nasyć się – mruknął.

GG pognał do łazienki. Młynarczyk zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Otworzył okno. Transowe takty *Thrillera* stały się głośniejsze. Westchnął. Już niedługo, i nie będzie musiał zadawać się z takimi śmieciami jak ten ćpun. Zdolny, ale jednak ćpun. Cierpliwości.

Z łazienki szedł inny człowiek. Uśmiechał się trochę głupawo, nieco przepraszająco, a na jego twarzy rysowała się ulga jak po wizycie u dentysty. Przestał się trząść. Przeczesał palcami grzywkę.

– Tego mi było trzeba. Rozumiem, że skombinowałeś więcej?

– Nie miałeś po drodze przygód? – odpowiedział pytaniem Młynarczyk.

– Wszystko gra. Zaraz ci pokażę, co mam. Padniesz! Impra się udała! A potem my się zabawimy. – Głębokie Gardło skierował się do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – Poseł ściągnął brwi.

– Idę na chwilę do recepcji. Przyjmowali jakichś Niemców, był bałagan, więc powołałem się na ciebie i wziąłem tylko kartę do pokoju.

– Bardzo ci się spieszyło. – Młynarczyk czuł narastającą irytację. Nie lubił, gdy ktoś powoływał się na niego, nie pytając o zgodę.

GG się roześmiał.

– Zaraz jestem. A potem sam zobaczysz… Nie pożałujesz! – Uniósł kciuk i zniknął na korytarzu.

Młynarczyk wybijał rytm *Thrillera* na blacie stołu. Jakaś wyjątkowa długa wersja, pomyślał. Usłyszał oklaski dobiegające z ulicy. Podszedł do okna i zobaczył dwie trumny. Koło nich klęczała aktorka i co jakiś czas wznosiła ręce do nieba.

Popsuję im tę głupią zabawę.

Sięgnął po maskę i wychylił się przez okno.

– Pieprzcie się! – krzyknął i zasłonił twarz.

Na dole musieli go usłyszeć. Znów uniosło się kilka głów. Ktoś się roześmiał.

– Pieprzcie się! – powtórzył i pokazał publiczności oraz aktorom środkowy palec.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tego nie zrobił. Jego uwagę zwrócił cichy dźwięk dobiegający z głębi pokoju. Zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Po chwili ktoś stał za jego plecami. Młynarczyk odwrócił się gwałtownie.

Zobaczył wycelowany w siebie pistolet. Chciał się poruszyć, ale nie mógł. Chciał zedrzeć maskę z twarzy i krzyknąć, lecz nie był w stanie. Gdyby nie był taki przerażony, wprawnym okiem strzelca dostrzegłby nietypowy model broni.

– Co, do diabła? Czego tu, kurwa… – wyszeptał wreszcie, odrywając ręce od parapetu.

To były jego ostatnie słowa. Zabójca nacisnął spust. Kula eksplodowała w ciele Młynarczyka. Poleciał na okno, rama trzasnęła, posypało się szkło.

Gdy ciało posła uderzyło o dach samochodu i stoczyło się na bruk, dziewczynka młodsza od jego córki zaklaskała. Kilku innych widzów, przekonanych, że wciąż oglądają spektakl, zrobiło to samo i westchnęło z zachwytem. Twarz, wciąż zasłonięta maską, zwróciła się w stronę grafitowego nieba. Dopiero gdy szczeliny między kocimi łbami zaczęła wypełniać krew, rozległ się przeraźliwy krzyk, który odbił się echem od ścian kamienic.

Zabójca tego nie widział. Poruszał się błyskawicznie. Broń o specjalnej, na zamówienie robionej rękojeści, znikła w kaburze. Miał kilka, może kilkanaście sekund. Ręką w rękawiczce sięgnął po marynarkę Młynarczyka i z prawej kieszeni wyjął portfel. Szybkim ruchem rozsunął plastikowe karty i znalazł tę, której szukał. Wpatrywał się w nią chwilę za długo, niż na zawodowca przystało. Następnie cisnął kartami o ścianę, a portfel schował do kieszeni.

– Sam się pieprz – szepnął i spojrzał w okno.

***

Głębokie Gardło kierował się w stronę dworca kolejowego. Dziękował opatrzności, że zesłała mu taksówkarza, który miał dość czekania na spóźniających się napranych Angoli.

Siedział z tyłu i łapczywie chwytał powietrze, jak człowiek po śmiertelnym wysiłku. We wstecznym lusterku napotkał czujne spojrzenie taksówkarza.

W jednej ręce trzymał pendrive’a.

Drugą zaciskał na torebce z białym proszkiem.

2

Mężczyzna podszedł do okna. Nie czuł się tak od wielu lat: osaczony i bezradny. Jak zwierzę. Jak zwierzę schwytane w pułapkę. Był pewien, że ten stan wkrótce minie. Jeszcze tego dnia wszystko wróci do normy. Kilkanaście minut temu odebrał telefon. Wreszcie się uśmiechnął. Będzie nawet lepiej, niż to zaplanował. Na łysinie pokrytej brązowymi plamami pojawiły się kropelki potu, ale je zignorował, tak jak lekceważył nasilający się ból w klatce piersiowej. Był twardym człowiekiem, który przywykł radzić sobie z przeciwnościami losu i z każdej opresji wychodził obronną ręką. Wmawiał sobie, że to wina tych cholernych upałów, które ostatnio na szczęście zelżały. Tu i tak przecież oddycha się lepiej niż w Warszawie. Zmrużył oczy i spojrzał na niebo, jakby tam chciał znaleźć pocieszenie albo odpowiedź na dręczące go pytania. Po gwałtownym nocnym deszczu nie było śladu, ale od wschodu nadciągała ciemna, fioletowobrunatna plama. Powolny głęboki wdech, wydech, jeszcze jeden wdech i ból ustąpił. Za kilka godzin będzie burza. A może wcześniej. Czerniejące powoli niebo kojarzyło mu się z siniakiem. Albo gangreną wyniszczającą ciało chorego. Gangrena. Kilka razy powtórzył w myślach to słowo, jakby chciał je zapamiętać. Gangreny należy pozbyć się jak najszybciej. I właśnie to zamierzał zrobić. Przypuszczał, że to kwestia kilku najbliższych minut.

Gdy zegar zaczął wybijać godzinę, drgnął. Niedługo będzie po wszystkim. Niech to się już skończy, pomyślał ze złością. Odwrócił się, odczekał chwilę i podszedł powoli do przeciwległej ściany, na której wisiały dwa zdjęcia, a między nimi stary taternicki hak. Większe przedstawiało górę przeciętą czerwonym zygzakiem kończącym się na szczycie. Zbliżył twarz do fotografii, by przeczytać podpis. Wschodnia ściana Mnicha z zaznaczoną, ekstremalnie trudną drogą. Obok zdjęcie mężczyzny, który tę drogę, nazywaną „Wariantem R”, pokonał jako

pierwszy. Spojrzał na zamieszczony przy nazwisku rok urodzenia oraz śmierci i nie miał wątpliwości, jaki los spotkał taternika. Pokochał góry, a one pokochały jego. Tak to brzmiało w romantycznej wersji. Nie rozumiał wspinaczy. Owszem, ryzykował wiele razy, ale nigdy nie był to bezinteresowny hazard. Taki wydał mu się czystą głupotą. A natura odsiewa głupców, bo takie jest jej prawo i logika postępu.

Położył dłoń na mahoniowej obudowie zegara. Piękna stara robota. Przyjrzał się metalowej, ręcznie malowanej tarczy i grawerowanemu napisowi: „London 1802”. Mahoń skrywał serce zegara, mechanizm oparty na dwóch wagach. Jakieś piętnaście lat temu kupił podobne cudo, potem kolejne i jeszcze następne. Nie, nie zwariował i nie dopadła go obsesja upływającego czasu. Zegary, zwłaszcza te solidne, dwumetrowe, stojące, pamiętające czasy sprzed dwóch wojen, fascynowały go z zupełnie innych powodów. Stara, precyzyjna robota. A precyzję cenił ponad wszystko. Przez wiele lat nauczył się działać tak, by nie zostawiać śladów. Zawsze w cieniu i zawsze z przygotowanym planem awaryjnym. Planowanie to jedna z rzeczy pozwalających przetrwać. Dziś jego majątek był trudny do oszacowania dla postronnych obserwatorów, a już z pewnością mgławicowy dla skarbówki oraz innych wścibskich instytucji. Dzieło, które stworzył, było niewidoczne dla świata, i takie miało pozostać. Tylko przypadek mógł zakłócić funkcjonowanie tego precyzyjnego mechanizmu. Zresztą nie. To nie przypadek. To zwyczajna nieostrożność i błąd w sztuce. Nagłe zaćmienie, które sprawiło, że pojawił się jeden głupiec i wszystko zepsuł. A potem kolejny głupiec. Jeszcze chwila, i wszystko wróci na właściwe tory.

Pogładził raz jeszcze drewno, jakby dotykał uda kobiety. Zegary to także konsekwencja. Nieuchronność. Nieubłagalność. Mimo upału nie zdjął lekkiej beżowej marynarki. Bezwiednie sięgnął do kieszeni i natrafił na przedmiot, z którym nigdy się nie rozstawał, jeden z dwóch talizmanów. Pomyślał kiedyś, że tylko te dwie rzeczy zabrałby na bezludną wyspę i miałby pewność, że nawet tam przyniosą mu szczęście. Miedziana poczerniała pięciogroszówka z 1949 roku wyglądała na jego olbrzymiej dłoni jak strup. Znów był młodym, bardzo młodym człowiekiem walczącym o przetrwanie. Nieco zatarte przez czas wspomnienie. Było ich czterech i jeden zaczął pękać. A gdy pęknie jedno ogniwo, rozpada się cała reszta. Sypał czy nie sypał? Donosił czy nie donosił? Patrzył mu w oczy

i nie potrafił tego rozstrzygnąć. Rzucił pięciogroszówką, i już wiedział, co trzeba zrobić. Gdy tamten spał, zakradł się i odrąbał mu głowę. Tak po prostu. Następnego dnia rzucił ją pod nogi dwóm pozostałym, odwrócił się i odszedł bez słowa. Kilka godzin później, gdy był już daleko, teren otoczono, a jego sentymentalni towarzysze, którzy postanowili zakopać ciało, zostali złapani. Jeden zgnił w więzieniu, o drugim słuch zaginął. Dowiedział się o tym wszystkim po kilku latach, gdy miedziana moneta zrosła się już na dobre z jego losem. Tym razem jednak nie będzie potrzebował jej pomocy. Wszystko jest przecież rozstrzygnięte. Pięciogroszówka powędrowała do kieszeni.

Stare zegary to także wieczność. On nie był wieczny i nie wierzył w bzdury dotyczące życia po śmierci, ale nie zamierzał jeszcze odchodzić. Wręcz przeciwnie. Jak zwykle doprowadzi wszystko do zwycięskiego końca. Wydało mu się, że otwierają się drzwi wejściowe. Poprawił nowy aparat słuchowy, do którego nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić, i czekał. Tak, nie pomylił się. Kroki były coraz głośniejsze. Szelest, cichy głos, stłumiony jęk. Uśmiechnął się. A więc jednak. Udało się.

Zdjął ze ściany hak, który tkwił w niejednej skalnej szczelinie. Wpatrywał się w drzwi, jakby chciał je w ten sposób otworzyć. Klamka drgnęła.

Już się nie uśmiechał.

Wiedział, co powie na powitanie.

Martwe oczy o barwie nieprzeniknionej stali patrzyły na intruza.

– No więc… – zaczął.

3

– Zacznijmy od prostych rzeczy.

Wiceminister sięgnął po telefon, wyjął z niego baterię i powolnym ruchem, jakby odprawiał rytuał, położył go na stole.

Czterech ponurych mężczyzn, cztery ponure ciemne garnitury i bezosobowe wnętrze klimatyzowanej salki konferencyjnej.

Rany, co za bufonada, pomyślał Grzegorz Wiślicki. Wiceminister sprawiedliwości Józef Gilbas budził w nim odrazę pomieszaną ze strachem. Te odczucia pojawiały się w różnych proporcjach, w zależności od sytuacji. Tym razem Wiślicki miał mięśnie napięte tak, że aż piekły. A przynajmniej chciał, by było to zwykłe fizyczne odczucie, a nie strach, który paraliżuje i pozbawia szans na obronę.

Rozmawiali wczoraj przez telefon. W ciągu ostatniej doby jego aparat rozgrzał się do czerwoności. Dzwonili głównie dziennikarze, zarówno łowcy sensacji, jak i ci, którzy chcieli się dowiedzieć, jakim człowiekiem był poseł Młynarczyk. Świętej pamięci, tragicznie zmarły poseł Młynarczyk. Rozmowa z Gilbasem miała zupełnie inny charakter.

– Pomyślałem… wiesz, pomyślałem – jego głos brzmiał niepewnie – że chyba się z tego wycofam.

Usłyszał ciężkie westchnienie.

– Po tym… – wścibski przełknął ciężko ślinę – po tym wszystkim przemyślałem parę spraw.

– Szybko myślisz. – W głosie Gilbasa zabrzmiała drwiąca nuta. – Myśliciel z ciebie. Chyba tak samo szybko myślałeś osiem lat temu. Od razu wiedziałeś, do kogo zadzwonić.

To już nie była drwina. W ostatnim zdaniu usłyszał wyraźną groźbę.

– Przypomnij sobie, co zdarzyło się osiem lat temu. A jeśli masz kłopoty z pamięcią, to są kwity, które pomogą ci ją odświeżyć. Pomyśl, gdzie byłeś

wtedy, a gdzie jesteś teraz. Sądziłem, że nigdy nie będę musiał ci tego tłumaczyć i zniżać się do takiego poziomu. – Teraz w głosie Gilbasa słychać było rozczarowanie i wymówkę. – Widzimy się jutro o dziesiątej u mnie w ministerstwie. Nikomu nie mów o tym spotkaniu. A myślenie zostaw mnie – zakończył ze śmiechem.

W nocy Wiślicki miał koszmary. Wraca z jakiejś partyjnej nasiadówy. Wcześniej wypił kilka kieliszków, jak to przy takich radosnych okazjach bywa. Jedzie wiejską drogą. Potrąca pieszego, który nie wiadomo kiedy znalazł się przed maską. Widzi jego przerażoną twarz. Zamyka oczy i słyszy metaliczne „bum”. Jedzie dalej, jakby nic się nie stało. Nie patrzy we wsteczne lusterko. Ktoś jednak widział zdarzenie i zaczęły się kłopoty. Telefon do Gilbasa załatwił sprawę. Wszystko udało się odkręcić i ukręcić – to wtedy usłyszał. W śnie znów jedzie wiejską drogą. Znowu widzi przed sobą tamtą twarz, tyle że o osiem lat starszą. Mężczyzna tym razem śmieje się i wyciąga w jego stronę palec, jakby chciał wskazać winnego. Rechocze coraz głośniej, a Wiślicki gapi się w pozbawione zębów usta przemieniające się w czarny las.

Gdy się ocknął, wpatrywały się w niego czujne oczy matki. „Krzyczałeś przez sen” – powiedziała. Czterdziestodwuletni poseł, który wciąż mieszka z mamusią.

– Halo, a pan, panie pośle? – z odrętwienia wyrwało go pytanie. – Pan chyba się jeszcze nie obudził.

Przyglądali mu się dwaj mężczyźni: wiceminister z rozbawieniem, a ten, którego nie znał, badawczo.

– Musimy zacząć od prostych rzeczy – odezwał się poseł Janowiak, który siedział bliżej wiceministra. – Wrócić do podstaw. Zapomnieliśmy o ostrożności.

Wiślicki zacisnął zęby. Janowiak. Pan Jaka-To-Melodia. Specjalista od zgadywania, co jego bosowie mają na myśli. Czasami wystarczyło podrzucić mu tylko jedno słowo.

– Nie wiem, po co ten cały cyrk – prychnął Wiślicki i sięgnął po komórkę. Musi zapanować nad nerwami. Irytacja w niczym tu nie pomoże. Zdemontowane komórki, leżące między filiżankami z kawą, szklankami z sokiem pomarańczowym oraz talerzykami z owsianymi ciasteczkami, wyglądały, jakby znaleziono je po jakiejś katastrofie. Wiceminister i Jaka-To-Melodia patrzyli na niego wyczekująco.

– Drugiego telefonu nie mam – powiedział Wiślicki. – Nie przy sobie.

Gilbas westchnął. Wstał, zasunął wertikale i w salce zapanował półmrok.

– Panowie – powiódł wzrokiem po obecnych – tego spotkania nie zapisałem w moim kalendarzu.

– My też – dopowiedział Janowiak.

– I wy też. – Wiceminister pokiwał głową. – A jeśli kiedyś stanęlibyśmy przed jakąś komiczną komisją śledczą, to spotkaliśmy się na nieformalnych konsultacjach w sprawie zmian w ustawie… o pedofilii, kibolach, zresztą… zresztą później ustalimy jakiej. Wolno nam, nie? I jeśli już, to spotkaliśmy się we trzech. Tego pana – popatrzył na nieznajomego – nigdy nie widzieliście.

Mężczyzna wstał, a gdy zapiął marynarkę, wydawał się jeszcze szczuplejszy i wyższy. Przeczesał palcami blond wąsy, poprawił węzeł krawata w delikatny beżowy deseń, odchrząknął i wsunął pendrive’a do laptopa.

– Jak panowie zapewne wiecie, zero-zero-jeden powołał specjalną ekipę, która ma się zająć sprawą śmierci posła Młynarczyka. Nie tylko spektakularny charakter sprawy, ale także inne okoliczności sprawiają, że premier postawił na nogi wszystkie możliwe służby w państwie. Proszę mi wierzyć – popatrzył na zebranych – wszystkie. Ostatnio coś takiego działo się przy okazji Smoleńska. – Odchrząknął. – Według oficjalnej wersji było to zabójstwo na tle rabunkowym. Przypadkowa zbrodnia, wakacyjny klimat i dziany facet.

– Ale media tego nie kupiły – wtrącił Jaka-To-Melodia.

– Oczywiście, że nie. Wszyscy wiedzą, że Młynarczyk działał w speckomisji, miał kontakt z resortami siłowymi, wyczuwają więc jakiś smrodek i węszą. Nie wiedzą jednak najważniejszego – ściszył głos i nacisnął przycisk na laptopie. – Pewne informacje zostały objęte pełnym embargiem.

Na ściennym ekranie pojawiło się kilka zagadkowych przedmiotów, których Wiślicki nie potrafił zidentyfikować.

– W marynarce zmarłego znaleziono torebki z kokainą oraz metamfetaminą. Pierwsze badania wykazały, że to towar najwyższej próby.

– Rany boskie… – Janowiak zasłonił ręką oczy. – Narwany kolekcjoner zegarków, aferzyści, a teraz narkoman. Jeśli to się przedostanie…

– Chodzi o to, żeby się nie przedostało – przerwał mu nieznajomy.

– Czy on…

– Jeśli pozwoli mi pan skończyć, postaram się co nieco wyjaśnić. – Nieznajomy położył dłonie na blacie stołu. Było w tym geście więcej stanowczości niż zniecierpliwienia. Poprawił obrączkę na palcu. – Jak już powiedziałem, nad sprawą pracują wszystkie służby. Badania toksykologiczne, zlecone oczywiście w trybie pilnym, wykluczyły obecność narkotyków w ciele denata.

– Francuski łącznik – mruknął Gilbas. – Miał przekazać komuś towar.

– I tu dochodzimy do kolejnej sprawy. Młynarczyk zarezerwował w hotelu Artus dwa pokoje. Niestety, nie wiemy, dla kogo przeznaczony był ten drugi.

– Jak to: nie wiecie? – nie wytrzymał Wiślicki. – Miałbym też prośbę. Czy mógłby pan nie nazywać zmarłego denatem?

Nieznajomy upił łyk kawy. I jeszcze jeden. Przez tych kilka sekund nie spuszczał wzroku z Wiślickiego.

– Oba pokoje – wyświetlił kolejne zdjęcie przedstawiające hotelowy korytarz z obrysowanymi czerwoną linią drzwiami – zostały zarezerwowane na nazwisko denata… przepraszam – uśmiechnął się – zmarłego. W recepcji panował niezły bałagan. – Kolejne zdjęcie, nieco rozmazane, zapewne pochodzące z kamery monitoringu, pokazywało ludzi kręcących się po holu. – Komputery się zawiesiły, właśnie przyjechała grupa z Niemiec, którą trzeba było obsłużyć w pierwszej kolejności. Recepcjonista nie pamiętał zbyt dobrze mężczyzny, który pytał o Młynarczyka, mimo to udało się sporządzić portret pamięciowy.

Na następnym zdjęciu ujrzeli bruneta o rozmytych, miękkich rysach i szeroko rozstawionych oczach. Portret pasujący do połowy mężczyzn w tym kraju.

– Próbujemy go namierzyć. Każda godzina życia posła Młynarczyka zostanie dokładnie prześwietlona i znajdziemy tego człowieka. Ale nie on jest tu najważniejszy…

– Nie? – zdziwił się Janowiak.

Na ekranie pojawił się kolejny slajd – przedstawiał pistolet z krótką lufą.

– Najważniejszy jest zabójca. I tu pojawiają się problemy. Kaliber był bardzo nietypowy. Jedenaście przecinek czterdzieści pięć milimetra. Nasi specjaliści są prawie pewni, że to liberator.

– Nigdy o takim nie słyszałem. – Gilbas pokręcił głową.

– Skonstruowali go specjaliści od wywiadu i dywersji armii amerykańskiej. Pistolety te przerzucano w czasie drugiej wojny światowej na teren krajów okupowanych, sporo ich było we Francji, Holandii, a także w Grecji. Pistolet ma prosty zamek, który jest pozbawiony możliwości wyciągu łuski i rzeczywiście, nie znaleziono jej na miejscu zabójstwa. Zatem – nieznajomy wyprostował kciuk – nietypowa broń. Dwa – wyprostował palec wskazujący – kaliber. Trzy: pocisk penetrujący. I cztery: tłumik.

– Pocisk penetrujący? Dum-dum? – zapytał Wiślicki.

Mężczyzna z blond wąsem zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, to coś innego. Dum-dum rozrywa, a taki pocisk, gdy zetknie się z ciałem, deformuje się i rozkwita wśród czterech regularnych nacięć na głowicy. Nie będę panów zanudzał szczegółami, ale, proszę mi wierzyć, ostre krawędzie robią z człowieka miazgę. Zdeformowany pocisk może w ciele odbijać się na przykład od kręgosłupa, łopatek, talerzy biodrowych i wówczas ze zwiększoną energią dokonuje spustoszenia wewnątrz ciała, rozrywa narządy, naczynia i co tam jeszcze chcecie. Kula trafiła Młynarczyka w klatkę piersiową, ale blisko barku. To był precyzyjny strzał. Resztę pominę, bo to zbyt drastyczne. Krótko mówiąc – zawiesił głos – tu nie chodziło tylko o to, by zabić z zimną krwią, ale także o to, by ofiara cierpiała. Może przede wszystkim o to.

Spojrzał na trzech obecnych. Wiceminister przeżuwał ciastko i zanim skończył jedno, sięgnął po kolejne. Janowiak wpatrywał się w zdemontowaną komórkę, a Wiślicki przymknął oczy. Już nikt się nie uśmiechał.

– Jeśli nie macie, panowie, pytań, to jeszcze kilka informacji. – Nieznajomy odchrząknął. – Prosta konstrukcja lufy liberatora sprawia, że bardzo łatwo dopasować do niego tłumik. Francuzi w czasie wojny przystosowali w tym celu tłumik od stena MK dwa. Zresztą nieważne. – Machnął ręką. – Istotne jest to, że mamy do czynienia z profesjonalistą. Z kimś, kto działał z zimną krwią. Przecież – wyświetlił kolejne zdjęcie – hotel Artus sąsiaduje z komisariatem i policjanci znaleźli się na miejscu prawie natychmiast. Zabójca nie wyszedł tylnym wyjściem, bo tam jest jakieś muzeum i przejścia nie ma. Strzelił i wykorzystując zamieszanie, spokojnie opuścił hotel. Możecie w to wierzyć albo nie, ale w tej chwili

kilku, a może kilkunastu ludzi po raz setny ogląda nagrania z monitoringu, by go wyłapać.

– Chcę się upewnić. – Wiślicki wpatrywał się w marynarkę nieznajomego. – To była… to była egzekucja?

Ten dopił kawę i odstawił filiżankę na stół.

– Możemy tak to nazwać. Dlatego ta sprawa tak niepokoi premiera. Poseł zajmujący się służbami specjalnymi i zawodowy zabójca. Jest jeszcze inny powód. Te liberatory można dziś w całości zrobić na drukarce trzy-D. Żadne detektory metalu nie wychwycą takiej broni. Dlatego jest ona śmiertelnie niebezpiecznym narzędziem w rękach terrorystów i wszelkiej maści ekstremistów.

– I premier obawia się, że to nie był jednorazowy atak? – Janowiak zaczął się jąkać, a jego zwykła pewność siebie uleciała.

– To pan to powiedział, panie pośle. – Przez twarz nieznajomego przemknął uśmiech, a cieniutkie blond wąsy się uniosły.

Gilbas zaczął składać komórkę i był to znak, że spotkanie dobiegło końca.

– Może wypijemy rozchodniaczka? – zaproponował nagle.

Nikt nie odpowiedział.

– A, zapomniałem, że tylko ja w tym towarzystwie mam służbowego kierowcę.

Nieznajomy wyszedł pierwszy, nie żegnając się.

– Chciałbym jeszcze zamienić kilka zdań z Grzegorzem – powiedział wiceminister, ściskając dłoń Janowiakowi.

– Na osobności? – Jaka-To-Melodia znowu był sobą.

– Tak. Na osobności.

Gdy zostali sami, zapadło milczenie. Wiceminister sięgnął po kolejne ciasteczko i Wiślicki zrozumiał, że to on musi zacząć.

– Więc? Chciałeś, żebym został…

– Chciałem, bo on nie powiedział wszystkiego. – Okruszki ciastka osiadły wiceministrowi w kącikach ust. – Hipoteza, że ktoś zabija polskich polityków, jest dobra dla Janowiaka i, sam zobaczysz, on zaraz chlapnie coś o tym jakiemuś pismakowi, powołując się na wiarygodne źródła. – Wiślicki milczał. – O wiele bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś nas namierzył. Młynarczyka, mnie, ciebie. – Gilbus wycelował palec w pierś posła i powróciły wspomnienia nocnego koszmaru.

Wiślicki zadrżał.

– Ja nie…

– Wiem – wszedł mu w słowo wiceminister. – Wiem, że nic nikomu nie powiedziałeś. Nie jesteś przecież głupi. Ale Janowiak przynajmniej w jednym miał rację: ktoś był nieostrożny. I polała się krew. Słyszałem, jak wyglądało ciało Młynarczyka. – Skrzywił się.

Wstał, podszedł do Wiślickiego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Dlatego teraz ważne jest, abyśmy trzymali się razem, rozumiesz? I wiesz, co trzeba zrobić? – Nie czekał, aż tamten odpowie. – Trzeba rozwiązać problem. Odkręcić, a potem ukręcić.

***

– No i co? Jakie wrażenie zrobił na tobie maminsynek?

– Maminsynek?

– Tak go nazywamy. Wciąż mieszka z mamusią. Dorosły facet. To chore, nie?

Mężczyzna z blond wąsem wzruszył ramionami. Nie miał na sobie marynarki, poluzował krawat, a na koszuli pod pachami pojawiły się plamy potu.

– Ale mi miejsce znalazłeś – sapnął. – W tej kanciapie było gorąco jak w saunie.

Gilbas się roześmiał.

– Zupełnie zapomniałem, że nie ma tam klimy – odrzekł. – Ale przynajmniej wszystko dobrze widać i słychać. Więc co o nim sądzisz?

– Myślę, że ma kupę w gaciach. Zgrywa twardziela, ale cholernie się boi. A doświadczenie podpowiada mi, że ludzie, którzy się panicznie boją, prędzej czy później robią głupstwa. Będę miał go na oku.

– A ta druga sprawa?

– Facet rozpłynął się w powietrzu. Zniknął. Ale nie jest zawodowcem, więc to nie potrwa długo. Swoją drogą Młynarczyk niezłego kumpla sobie znalazł.

– On naprawdę wygląda tak, jak na tym portrecie pamięciowym? Nigdy go nie widziałem.

Blond wąsik drgnął.

– Nie, to ściema. Sam zrobiłem portrecik przed spotkaniem. Ma się ten talent do sztuk przepięknych, co? – Roześmiał się. – Po co mają za dużo wiedzieć?

Włożył marynarkę. W salce konferencyjnej słychać było szum klimatyzatora.

– Najważniejsze jest co innego. Nasi ludzie przejęli komórkę Młynarczyka, wiesz którą… Aż nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby trafiła w niepowołane ręce. Jego kartę kredytową też mamy.

Gilbas sięgnął do kieszeni, wyjął kopertę i podał mężczyźnie z jasnym wąsem. Ten trzymał ją przez chwilę, jakby ważył zawartość, a potem schował do kieszeni marynarki.

– Znajdziemy go, spokojna głowa. A tego skurwysyna, który zabił Młynarczyka, sam dopadnę – obiecał.

Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

CZĘŚĆ PIERWSZA

4

– Pan Hłasko?

Nie jestem wysoki i nawet dziewczyny na rolkach nieco mnie deprymują.

Siedziałem w Bobby Barze, tuż przy Złotych Tarasach, czekałem na cheeseburgera z frytkami i popijałem fritz colę – napój składający się z samych dodatków, dodatków do dodatków i konserwantów tych wszystkich składników. Takie czasy.

Oczywiście najchętniej delektowałbym się kuchnią pięciu przemian, myślał o tym, że krótka wiosna zamieniła się w ekstremalnie gorące lato, że drewno ustąpiło miejsca ogniowi, więc jest idealna pora na smaki gorzkie, pobudzające przemianę materii. Tyle że jestem bardzo zapracowanym człowiekiem, a przynajmniej lubię sprawiać takie wrażenie, i nie mam czasu na pięć przemian. Nie mam czasu nawet na jedną. Tym razem przemiana materii dokonywała się samoistnie i nawet w nieco przyspieszonym tempie, gdy naprzeciwko mnie pojawiła się ta dziewczyna.

– Pan Hłasko? – powtórzyła.

Nie miała rolek, ale i tak była wysoka. Ubrana w czarne skórzane spodnie, motocyklowe buty i białą skórzaną kurtkę z napisem, którego nie mogłem odczytać. Wpatrywała się we mnie wyczekująco skośnymi zielonymi oczami i poprawiała kasztanowe włosy związane w koński ogon. W drugiej ręce trzymała kask motocyklowy, który, nie sposób było tego nie dostrzec, harmonizował z jej kształtami. Krągłość cheeseburgera – wciąż na niego czekałem – a nawet nazwa lokalu, Bobby Bar, dopełniły tego obrazu i podziałały na moją wyobraźnię. Pomyślałem, że może jednak kiepsko rozpoczęty dzień nie będzie do końca stracony. Nagle wróciła mi chęć życia.

– Witamy w naszej miejskiej dżungli. Pani z daleka? – Upiłem łyk fritz coli i gestem zaprosiłem ją, by usiadła.

Zrobiła to.

– To podobno pan jest specjalistą od odnajdywania ludzi w miejskiej dżungli.

Na stolik wjechał cheeseburger oraz frytki, znikła natomiast tabliczka z cyferką 7, oznaczającą numer zamówienia. Wgryzłem się w chrupiącą bułkę i wołowinę. Byłem głodny, ale przede wszystkim chodziło o zyskanie na czasie.

– Chciałabym, żeby odnalazł pan tego człowieka.

Położyła obok tacki zdjęcie. Zerknąłem na trzydziestoletniego bruneta, po czym spojrzałem jej w oczy.

Szybko przeszła do rzeczy. Naprawdę szybko.

– To chyba nieporozumienie. Jeśli pani chłopak uciekł z inną, proszę zwrócić się do jakiegoś biura detektywistycznego. Dla nich to bułka z masłem. Może frytki? – Wskazałem tackę. – A może zamówić pani coś innego?

– Szef nalega, żeby to był pan. – Schowała fotografię do kieszeni kurtki.

– Jeśli szef jest pani siostrą bliźniaczką, to może zmienię zdanie.

Wydawało mi się, że przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

– Niestety, w tej sprawie muszę pana rozczarować. W innych nie.

Zabrzmiało to trochę jak zaproszenie, a trochę jak wyzwanie, ale nie podjąłem rękawicy.

– Powinni panią zatrudnić w *Top Gear*. – Wskazałem kask, który trzymała na kolanach.

Znów cień uśmiechu.

– A dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja miałbym zająć się sprawą, która tak nurtuje pani szefa?

– Bo podobno jest pan najlepszy. Znajdzie pan zaginionego nawet na Kamczatce. Mówią, że ten detektyw od małej Madzi mógłby panu buty czyścić.

– Ale wcześniej musiałby zdjąć swoje szałowe lustrzanki.

Połknąłem ostatni kęs cheeseburgera i wytarłem usta serwetką.

– Proszę mnie posłuchać – pochyliłem się w jej stronę – zadała pani sobie sporo trudu, odnalazła mnie pani. Trochę zagrała. Nie powiem, również zaintrygowała. Sprzedała wątpliwy komplement, że jestem lepszy od jakiegoś ćwoka wdzięczącego się w tabloidach i telewizji. No, ale

koniec końców pani szef nie jest bliźniaczką. A ja sam jestem sobie szefem – dodałem po chwili. – I miałem kiepski dzień.

Nim wstała od stolika, minęło kilka długich sekund.

– Do zobaczenia – rzuciła. – I nie zadałam sobie żadnego trudu. Proszę mi wierzyć.

Patrzyłem przez okno, jak się oddala. Jej sylwetka wtopiła się w tłum przechodniów, aż wreszcie znikła. „Do zobaczenia". Zabrzmiało to jak obietnica. Myślałem, że zaraz usłyszę wściekły ryk motoru, który zagłuszy rytmiczną muzykę płynącą z głośników, i dziewczyna wjedzie na motorze do lokalu, rozbijając szybę, ale nic takiego nie nastąpiło. Dziwne spotkanie w lepkie, duszne popołudnie. Chciałem się jeszcze nad tym zastanowić, ale Bobby Bar to nie jest dobre miejsce do takich rozmyślań.

– Kochanie, musisz być twardy dla mojego ojca.

Parka przy stoliku obok siedziała tu dłużej niż ja, więc już wcześniej dobrze im się przyjrzałem. Cóż, nawyk zawodowy. Ona drapała go paznokciem po wierzchu dłoni i wpatrywała się w niego oczami zasnutymi mgiełką uwielbienia. On miał na szyi korporacyjny identyfikator wyglądający jak psia obroża. Wyobraziłem sobie ich życie. Ona pracuje w Zarze i szczebioce o promocjach oraz nowej dostawie fioletowych slipów. Tak, kochanie, to twój rozmiar, coś w sam raz dla ciebie. On pracuje w pobliskim wieżowcu na dwudziestym którymś piętrze i opowiada jej o nowych projektach i społecznej odpowiedzialności biznesu, a wtedy mgiełka w jej oczach gęstnieje. A potem idą do galerii handlowej i przemierzają bulwary nigdy niezachodzącego słońca konsumpcji. Mają latte na ustach i wyglądają jak radosne spienione rumaki nadwiślańskiego kapitalizmu. A jeśli chce się zobaczyć, że jest inne życie, wystarczy przecież zrobić kilka kroków i przejść ze Złotych Tarasów w stronę podziemi Dworca Centralnego, który, oczyszczony i odświeżony, wygląda jak kurwa po liftingu. No i chodzi o to, by nigdy tam nie skończyć. Dlatego czasami przywołuje go do porządku, chce zrobić z niego mężczyznę i mówi: „Kochanie, musisz być twardy".

Dopiłem fritz colę i poczułem w ustach gorzki smak kłamstwa.

Ludzie zatracili wolną wolę. Zadowala ich miraż wyboru. Zamówić hamburgera z frytkami czy frytki z hambuksem? Taki to wybór.

Spojrzałem na parkę. Oni mają swoich szefów i ja też mam. W sumie niczym się od siebie nie różnimy. Tyle że ja, w momentach takich jak ten,

nie czuję się najlepiej. Przyzwyczaili się i tkwią w kleszczach posłuszeństwa i zależności, a ja jestem krępowany w podobny sposób. Tyle że ja chcę żyć inaczej.

Zupełnie inaczej.

5

Pisk opon, metaliczne uderzenie i skowyt psa. Kevin Spacey, w śnieżnobiałej koszuli i spodniach na szelkach, wybiega przed dom. Pochyla się, głaszcze ranne zwierzę, patrzy wprost w kamerę i wygłasza zdanie o różnych rodzajach bólu. A potem dobija konającego czworonoga. Oto więc poznaliśmy bohatera i mniej więcej wiemy, jak potoczą się sprawy. Jest życie na pokaz i przylepione do twarzy uśmiechy. Są także zakulisowe rozgrywki i zaciśnięte szczęki.

Nie wszystko, co powiedziałem w Bobby Barze, było kłamstwem. Rzeczywiście miałem kiepski dzień i musiałem się zresetować. Mieszkam na Jazdowie, na osiedlu domków fińskich. W chorym sercu miasta, które władze postanowiły uzdrowić i ulepszyć. Decyzja o operacji zapadła i nie miałem złudzeń, w przeciwieństwie do wielu moich nieco sentymentalnych sąsiadów. Bezużyteczny organ zostanie usunięty, a na jego miejsce specjaliści od lokalnej transplantologii postawią kolejne centrum biznesu, które prestiżem i splendorem wkomponuje się w otoczenie pobliskich ambasad. Mieszkam na Jazdowie, wielu uważa mnie za szczęściarza, ale tak naprawdę żyję na tykającej bombie. Na reaktorze rozgrzanym do czerwoności przez upalne lato.

Wziąłem prysznic i poczułem ulgę, choć wiedziałem, że za godzinę nagrzane ściany odbiorą mojemu ciału świeżość. Postawiłem koło łóżka mrożoną herbatę, włączyłem rzutnik i opuściłem ekran. Naprawdę musiałem się wyłączyć.

Mój dzisiejszy Kevin Spacey miał ściśnięty szelkami obwisły brzuch, a kołnierzyk koszuli i mankiety tak wykrochmalone, że można by nimi ciąć drewno. Błękitną marynarkę zdobiły pozłacane guziki z kotwicami. Sprzedawał jakieś maszyny przemysłowe, jego firma mieściła się w Raszynie i brak warszawskiego adresu spędzał mu pewnie sen z powiek.

Gość chciał jednak sprawiać wrażenie światowca, i między innymi dlatego zatrudniał mnie.

W dzisiejszych czasach nagromadziło się wszelkiej maści konsultantów, specjalistów i doradców. Wygląda na to, że w tym kraju nikt już normalnie nie pracuje. Należałem do tej wesołej gromadki, choć wolałem używać określenia „ekspert". Ekspert do spraw bezpieczeństwa.

Firmy, państwowe i prywatne, duże, a czasami małe, potrzebują ludzi takich jak ja. Mam zadbać, by pewne poufne informacje nie wyciekły, a jeśli tak się dzieje, odnaleźć źródło przecieku i je zaczopować. Czasami muszę sprawdzić wiarygodność kontrahenta, prześwietlić jego życie i dowiedzieć, czy mimo licznych zer na koncie wciąż opycha się na śniadanie salcesonem ozorkowym. Niekiedy namierzam dłużników. Małych spryciarzy, którzy przepadli jak kamień w wodę, a przynajmniej tak im się wydaje. Taka praca. Wymagająca grubej skóry, jakiej, mimo upływu lat, wciąż byłem pozbawiony. Czasem pracuje się z profesjonalistami zimnymi jak sprzedawca lodów. Najczęściej jednak trafia się na megalomanów, którzy potrzebują zatrudnić jeszcze jednego speca od czegoś tam. Zdarzają się też wariaci, chorobliwie podejrzliwi i wszędzie węszący spisek. Bywają też skomplikowane krzyżówki obu tych typów i wtedy jest najweselej. Od czasu do czasu dobrze jest odstawić teatrzyk i wykazać w ten sposób swoją przydatność.

– Wydaje mi się, że z tą niszczarką coś jest nie w porządku – mruknąłem pod nosem, ale tak, by mój Kevin Spacey to usłyszał.

– Co powiedziałeś? – Podniósł głowę znad papierów.

Pozwalałem, by mówił mi na ty. Wliczyłem ten przywilej do mojego honorarium.

– Musimy przyjrzeć się tej niszczarce. Myślę, że ma jakąś wadę i nie niszczy wszystkich dokumentów.

Jako dowód pokazałem kartkę. Była pogięta na wszelkie sposoby, jednak bez śladów cięcia.

Wstał zza biurka i sapnął. Zapach kiepskiej wody toaletowej wymieszał się z zapachem eukaliptusowej gumy do żucia. Miś Koala strzelił szelkami. Robił tak, gdy był zdenerwowany.

– Co ty mi mówisz? A zapewniali mnie, że to najlepszy towar na rynku. Zaraz zrobię z tym porządek…

– Może jednak ja się tym zajmę? – zaproponowałem spokojnie. – Sądzę, że to jakaś banalna usterka. Nie tnie co którejś strony. Nie musi się pan tym przejmować.

Kartka, którą spreparowałem przed przyjazdem do firmy, wylądowała w koszu.

– A jeśli jakieś dokumenty…

– Nic nie wyciekło. Od tego przecież jestem.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby czytać tych jego ściśle tajnych kwitów, od których nie zależały losy świata, a już na pewno nie losy polskiej gospodarki. Tę uwagę zostawiłem jednak dla siebie. Obiecałem, że zajrzę w przyszłym tygodniu i zrobię porządek z niszczarką.

Stałem w drzwiach, gdy usłyszałem strzał szelek.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – Miś Koala mówił teraz bez zwykłej pewności w głosie.

Odwróciłem się.

– Będę potrzebował akwarium.

Popatrzyłem na niego jak na wariata, którym naprawdę był.

– A to nie do mnie. Ja jestem ekspertem do spraw bezpieczeństwa. Na Allegro kupi pan bez kłopotu.

– Chodzi mi o takie pomieszczenie ze szkła, wiesz, o taką klatkę, w której nie można podsłuchiwać rozmów. Potrzebuję czegoś takiego w domu. Dużo tam pracuję. Jak myślisz, to duża robota?

Opowiedziałem epicką historię o specjalnym wielowarstwowym szkle, generatorach szumu białego i drganiach, jakie mają wywołać, by zamaskować prawdziwe źródło dźwięku. Z typową dla siebie swadą opowiadałem o tym, jak zablokować skanery, rejestratory i wszelkie inne urządzenia służące do podsłuchu, a także o tym, że telefony szyfrujące rozmowy są bez sensu. Trajkotałem z takim przejęciem, jakbym opowiadał o dalszych losach Wiedźmina.

Zamrugał szybko.

– Bez sensu – powtórzył jak automat. – Dlaczego są bez sensu? Myślałem też o takim telefonie.

– One mają atest ABW.

– To chyba… dobrze? – zapytał niepewnie.

Roześmiałem się.

– Dobrze?! Skoro zachwalają ten sprzęt, to znaczy, że sami… – Mówiłem coraz wolniej, jak nauczyciel naprowadzający ucznia na właściwy trop.

– Że sami dekodują te rozmowy i podsłuchują! – wykrzyknął.

Pokiwałem z uznaniem głową.

– To już lepiej kupić scrambler – powiedziałem.

Mlasnął z zachwytu jak małe dziecko i znów na chwilę znalazłem się w eukaliptusowym raju.

– Co takiego?

– Scrambler. – Podszedłem do biurka i napisałem to słowo na kartce. – Talcie magiczne pudełko do szyfrowania rozmów – wyjaśniłem. – Tylko nie jakieś gówno za sześćdziesiąt dolarów produkowane w Tajwanie.

Więc tak to się dzisiaj odbyło. Witajcie w ciężkich czasach. Witajcie w świecie idiotów wagi ciężkiej. Takie spotkania na wysokim szczeblu co jakiś czas muszę odchorować.

Kevin Spacey postanowił zniszczyć polityczną śmietankę Waszyngtonu. Po paru minutach wiadomo było, że jego zemsta będzie słodka. Pierwszy odcinek *House of Cards* trwał w najlepsze. Wieczorny upał nieco odpuszczał, wstałem, by wziąć z lodówki kolejną mrożoną herbatę, gdy zadzwoniła komórka. Wpatrywałem się w nieznany numer. Mogłem wyłączyć telefon, ale nigdy tego nie robiłem. Miałem swoje powody.

Ktoś okazał się cierpliwszy ode mnie. Odebrałem przy czwartej próbie połączenia.

– Zdobycie pańskiego numeru także nie było trudne – usłyszałem.

Nie miałem wątpliwości, kto dzwoni. Czułem, że temperatura rośnie, a ja nie wiem, co odpowiedzieć.

– Proszę chwilę zaczekać – rzuciła.

Usłyszałem szelest, ktoś inny wziął telefon i po chwili odezwał się męski głos:

– Słyszałem już, że jesteś trudnym człowiekiem, synku.

Chropowaty, zniszczony głos starego człowieka.

– Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smucić, tatusiu.

– Jest mi wszystko jedno – wychrypiał mężczyzna. – Nazywam się Jan Król. Pewnie pan o mnie nie słyszał. Przynajmniej taką mam nadzieję. Staram się chronić prywatność.

– To nie ma pana na fejsie?

– Na czym? – zdziwił się.

– Nieważne. Słyszę, że nie jestem już synkiem.

– Pańskie popisy nie są nikomu do niczego potrzebne. Mam dla pana konkretną propozycję. Jest sprawa i nie są to żadne męsko-damskie historie. Chcę, żeby…

Propozycja składała się z kilku cyfr, więcej niż czterech, a ja o mało nie zakrztusiłem się mrożoną herbatą.

– To jest chyba kwota warta pańskiego zachodu? – W jego tonie pierwszy raz wyczułem niepokój.

– Ten człowiek, którego widziałem dziś na zdjęciu, musi być dla pana ważny. Co takiego panu zrobił?

– Nic mi nie zrobił. Martwię się o niego, tak po ojcowsku. Chętnie wytłumaczę panu wszystko osobiście. Wie pan, jak to jest, przecież martwi się pan o swojego brata. A pieniądze, jakie zaproponowałem, mogłyby przecież bardzo pomóc. Panu i jemu.

Były powody, które sprawiały, że nigdy nie wyłączałem telefonu. Poczułem ucisk w żołądku, a teraz przez moją głowę przetaczał się ciąg myśli, niejasnych sygnałów i asocjacji.

– W porządku. – Chciałem, żeby mój głos brzmiał naturalnie, ale chyba nie do końca mi się to udało. – Ruszę się. Najwyżej wydam na benzynę.

Dwadzieścia minut później zbierałem się do wyjścia. Kevin Spacey wciąż przyglądał mi się zagadkowo z ekranu. Wyłączyłem rzutnik. Omiotłem spojrzeniem trzy plakaty, które od lat ocieplały mi życie, i wyjąłem z szuflady kluczyki do samochodu.

6

Purpurowa łuna znikła już za horyzontem, zrobiło się nieco chłodniej. Ruch na Wale Miedzeszyńskim wieczorem nie jest zbyt duży, z odległością, którą miałem pokonać, uporałbym się w kwadrans, ale się nie spieszyłem. Jechałem prawym pasem, nie przekraczając przepisowej siedemdziesiątki. Do iPhone’a wpisałem imię i nazwisko mojego rozmówcy. Janów Królów było oczywiście jak psów, ale żaden z tych, którzy pojawili się w wyszukiwarce na pierwszej stronie, nie był tym moim.

Dałem spokój. Musiałem uporządkować kilka spraw. Po pierwsze – pieniądze. Zaproponowano mi wielokrotność dobrego wynagrodzenia, jakie pobiera się zwykle w takich sytuacjach. Istnieje, rzecz jasna, możliwość, że facet szasta pieniędzmi na prawo i lewo albo nie sprawdził cennika, ale coś mi mówiło, że to nie jest ten przypadek. Ktoś był bardzo zdeterminowany, abym to właśnie ja przyjął zlecenie. Ale dlaczego? Rzeczywiście jestem dobry. Może nawet najlepszy. Ale to jeszcze nie powód – to druga sprawa – by sprawdzać mnie aż tak dokładnie. By grzebać w moim życiu rodzinnym, o którym nie rozpowiadam wszystkim naokoło.

Pomyślałem o bracie. Zawodowym żołnierzu, który kawałek życia spędził na misjach, pięknie nazywanych stabilizacyjnymi. A potem został cenionym na świecie fotografem wojennym. A gdy już się napatrzył na świat przez lunetę karabinu snajperskiego i obiektyw aparatu i gdy dotarło do niego, co widział, oszalał z bólu, cierpienia, a może nawet z poczucia winy. Na ogół był moim kochanym młodszym bratem Mikołajem, ale czasami jego umysł i oczy przesłaniał duszący dym, zapach krwi i piaszczysty pył zmieszany z odłamkami pocisków. Te momenty mroku zdarzały się coraz częściej. Słowem, nie ma się czym chwalić i o czym rozpowiadać. Naprawdę.

Zredukowałem bieg i skręciłem w ulicę Romantyczną. Znajdowałem się w części Warszawy nazywanej Nadwiślem. Minąłem jakąś egzotyczną ambasadę i country club, do którego zostałem kiedyś zaproszony przez jednego z klientów. Sympatyczne miejsce, nie powiem, i odskocznia dla miejskiego szczura, który z konną jazdą ma tyle wspólnego, co z tańcami Maorysów. Zaraz obok rezydencja ambasadora Niemiec, zakręt w lewo i będę na miejscu. Gdybym pojechał w prawo, znalazłbym się przy wciąż dzikim, nieuregulowanym brzegu Wisły. Pamiętałem to miejsce jeszcze z dziecięcych lat i wiedziałem, że pewnych widoków się nie zapomina. Uleciało mi natomiast z pamięci, czy był tu wtedy ze mną Mikołaj. Może tak. Może nie.

Czułem się, jakby ktoś prześwietlił moje życie lepiej niż rentgen przenicowuje płuca nałogowego palacza. A gdy ktoś wie o tobie za dużo, zaczynasz czuć się trochę niepewnie. I właśnie podczas niedawnej rozmowy z Janem Królem wyczułem lekki ucisk w brzuchu. A tego stanu nie lubię. I był to trzeci powód, który sprawił, że ten człowiek wygrał dziś z Kevinem Spaceyem.

Byłem zaintrygowany i poirytowany. Nie wiem, który z tych stanów był gorszy, gdy zatrzymałem samochód pod wskazanym adresem. Spojrzałem na zegarek. W porządku. Skoro prześwietlono mnie tak dokładnie, to mój adres też nie jest tajemnicą. Łatwo obliczyć, ile czasu zajmie mi dojazd. Pośpiech świadczyłby o tym, że dałem się ponieść emocjom. Albo że jestem łasy na kasę. A takiego wrażenia stwarzać nie chciałem.

Pierwszą moją reakcją, gdy zobaczyłem posiadłość, było zaskoczenie. Spodziewałem się fortecy otoczonej zbrojonym betonem, kamer na podczerwień, watahy ujadających wilczurów i plutonu ochraniarzy. Solidny, niesymetryczny dom otaczało proste drewniane ogrodzenie. Do środka wpuścił mnie chłopak wyższy ode mnie o trzy głowy, niewątpliwie odnajdujący sens życia w siłowni i w sportach walki.

Wprowadził mnie do holu.

– Proszę zaczekać – powiedział uprzejmie i ruszył cicho korytarzem.

Przerabiałem to nieraz. Klient zaprasza do siebie, panie Hłasko, proszę zaczekać, i zaczyna się teatrzyk. Zwykle ściany upstrzone są obrazami, nawet cennymi, ale dobranymi bez ładu i składu, a na antykach stoją jakieś bibeloty codziennie odkurzane przez klnącą pod nosem sprzątaczkę. Niekiedy obowiązuje minimalizm, chrom i szkło, czasami da się wyczuć

obecność kobiety. Zmuszanie mnie za każdym razem, bym czekał, jest rodzajem gry, a ja mam zyskać czas potrzebny na to, by zastanowić się, z kim mam do czynienia i ile czołobitnych pokłonów powinienem na wstępie złożyć.

Ten hol był pusty. Pomijając dywan o prostym deseniu i jakiś mebel, nie było tu niczego. Zupełnie jakby ktoś dopiero się wprowadził albo kończył wyprowadzkę. Nadsłuchiwałem, ale nie wychwyciłem żadnego dźwięku, który świadczyłby o tym, że toczy się tu normalne życie. Nie wystawiano też na próbę mojej cierpliwości. Młodzieniec po kilku chwilach wrócił i poprowadził mnie do pokoju.

7

Jan Król siedział za biurkiem. Głos, który słyszałem w telefonie, wskazywał, że będę miał do czynienia z mężczyzną w podeszłym wieku, ale on okazał się jeszcze starszy, niż myślałem. Do biurka przysunięto fotel i gospodarz ruchem ręki zaprosił mnie, bym usiadł. Zobaczyłem na małym palcu jego lewej ręki pierścień i najwyraźniej był to jedyny zbytek, na jaki sobie pozwolił. Reszta sprawiała surowe, ascetyczne wrażenie. Nie łagodził go ani dywan, taki sam jak w holu, ani ciężka beżowa kotara. Ani chłód delikatnej skóry, który poczułem, dotykając oparcia fotela.

– Pan Marcin Hłasko. Czterdzieści siedem lat. – Mężczyzna wpatrywał się w kartkę leżącą na biurku, palcami lewej ręki przytrzymując okulary. – Były policjant, który przeszedł do Biura Spraw Wewnętrznych…

Fotel zaskrzypiał pode mną.

– Jeśli zaprosił mnie pan tutaj, by przypomnieć mi, kim jestem, to szkoda czasu. Nie mam kłopotów z pamięcią.

Alzheimer, jak pan wie, jest przypadłością…

– Tak, tak – przerwał mi – wiem. Jest przypadłością ludzi w moim wieku. A tu – wrócił do notatek – jest coś ciekawego. Studiował pan filozofię… Zajmował się…

– Ułatwię to panu. Zajmowałem się S0renem Kierkegaardem.

Wymówiłem to w sposób, którego nie powstydziłby się rodowity Duńczyk. Podobno miałem talent do wymawiania gardłowych spółgłosek. Biurko oświetlała lampa stojąca za fotelem Króla. Jego głowa lekko drżała. Albo mi się wydawało.

– Noszę buty w rozmiarze osiem, a czasami osiem i pół. Ale to też pewnie wiecie.

Machnął ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

– Pan znowu swoje. Sprawdzam po prostu, czy moi ludzie dobrze wykonali robotę. Chciałbym – obrzucił mnie szybkim spojrzeniem – żeby pan go odnalazł.

Sięgnął do szuflady, wyjął plastikową teczkę, położył na blacie biurka i przesunął w moją stronę.

Czekałem.

– Ma pan duże sukcesy, jeśli chodzi o odnajdywanie zaginionych. Nawet za granicą. – Znów spojrzał na leżącą przed nim kartkę. – Treppow w Odessie to pana sukces. Choć ponosił pan także porażki. Na przykład ten Polak w Tajlandii…

Jeśli myślał, że będę się tłumaczył, to grubo się mylił.

Czekałem.

– Dobrze. Musi pan coś o mnie wiedzieć. Prowadzę rozległe interesy, także za granicą. USA, Izrael, teraz również Brazylia i Indie. To, co robię, jest całkowicie legalne.

– Ma się rozumieć.

– Nie afiszuję się jednak ze swoją działalnością, nie ścigam się na liście najbogatszych Polaków i nie pokazuję na okładce „Wprost”, bo to harce dla małych chłopców.

– Piaskownica.

– Piaskownica. Żeby pan wiedział. Większość z nich mógłbym zjeść na śniadanie i nawet bym nie zaspokoił pierwszego głodu. Zresztą, jak pan widzi – zatoczył ręką półkole – mieszkam skromnie. Bez sztabu ludzi kręcących się bez celu. A wie pan dlaczego?

Wiedziałem. Zrozumiałem to, gdy minęło pierwsze zaskoczenie. Nie odezwałem się jednak.

– Obok jest jednostka wojskowa. Kiedyś zagłuszali Wolną Europę i przetrzymywali Gomułkę. Kardynała Wyszyńskiego zdaje się też. To wciąż specyficzna jednostka. I proszę mi wierzyć, jeśli w pobliżu, na przykład u mnie, działoby się coś niepokojącego, natychmiast zjawiłoby się tu pół polskiej armii.

– Teraz rozumiem.

– Na tym polega dalekowzroczność. A także na tym, że dbam o swoje interesy, mimo że jestem już starym człowiekiem. I tego dotyczy pańskie zadanie.

Dotknął teczki.

– Mężczyzna nazywa się Daniel Okoński i podobnie jak pan jest najlepszy na rynku. Tyle że zajmuje się marketingiem. Zdolny chłopak. Kończymy negocjacje w Stanach i Izraelu i były to twarde i długie rozmowy.

Zatrudniłem Okońskiego, by zrobił nam PR. Tak to się teraz nazywa. Wszystko szło dobrze, kontrahenci byli zachwyceni i nagle… – zawiesił głos – nagle chłopak znikł. Rozpłynął się. Nikt nie wie, gdzie jest i co się z nim stało.

– Kiedy to było?

– Trzy tygodnie temu. W tej teczce jest wszystko, co o nim mam. Może wyjechał, może jest za granicą… Nie wiem, co się stało, a jako człowiek starej daty nie lubię niedomkniętych spraw. Potrzebuję do tej sprawy człowieka z doświadczeniem. Dyskretnego. Takiego jak pan.

Tylko przez chwilę namyślałem się, co zrobić.

– Nie kupuję tego – powiedziałem cicho i wstałem.

Patrzył na mnie zaskoczony.

– Co pan powiedział? Może pan powtórzyć głośniej?

– Nie biorę tej sprawy. Nie dlatego chce mi pan płacić duże pieniądze i nie dlatego grzebie pan w życiu moim i mojej rodziny, żebym uwierzył w jakieś sentymentalne, głodne kawałki.

Ruszyłem do drzwi.

– Proszę zaczekać!

Odwróciłem się. Jan Król wstał. Był nieco wyższy ode mnie i mimo podeszłego wieku trzymał się prosto, choć podpierał się ręką na biurku.

– Proszę usiąść. Podam panu parę szczegółów.

Ociągałem się trochę, ale wróciłem na fotel.

– Jeśli oczekuje pan przeprosin, to właśnie je pan usłyszał – rzekł Król.

Potarłem palcami powieki. Nagle poczułem się zmęczony.

– To, co powiedziałem, to prawda. Jest jednak jedno ale… Aby przygotować skuteczną kampanię promocyjną, Okoński otrzymał ode mnie pewne materiały. Może nie powinienem mu ich dawać…

Nie wiedziałem, czy ostatnie zdanie było adresowane do mnie, czy wypowiedział je do siebie.

– Krótko mówiąc – westchnął – jeśli te informacje trafią do konkurencji… Wolę nawet o tym nie myśleć. Dlatego potrzebuję specjalisty najwyższej klasy.

Brzmiało to rozsądnie.

– Chciałbym, abyśmy się dobrze zrozumieli – spojrzałem mu w oczy. – Chodzi panu o Okońskiego czy o te materiały?

– Proszę tu podejść, młody człowieku.

Wstałem, obszedłem biurko, a on pokazał mi niewielką rycinę wiszącą na ścianie. Z miejsca, w którym siedziałem, nie widziałem jej, bo zasłaniał ją abażur lampy.

– Co pan widzi? – Złapał mnie za łokieć.

– Dwóch mężczyzn na skraju urwiska. Walczą ze sobą. Sądząc po strojach, jakiś dziewiętnasty wiek.

– Widzi pan – zmrużył oczy i wpatrywał się w rycinę – nie jestem specjalnie wrażliwy na sztukę, nie będę udawał, że jestem kimś innym niż w rzeczywistości… Ale to dostałem kiedyś w prezencie i bardzo mi się spodobało. Więc widzi pan walkę?

Kiwnąłem głową.

– A ja sądzę, że tu chodzi o to, by nie dać się pociągnąć w dół. By ten drugi nie pociągnął nas za sobą.

Gdzieś z głębi domu dobiegło bicie zegara.

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę jak starzy przyjaciele, o wszystkim i o niczym, a w mojej kieszeni tkwiła gruba koperta. Klasyka. Banalna klasyka. Tak to się odbywa. Nasza przyjaźń się pogłębiała.

– Mam jeszcze jedno pytanie – rzuciłem na odchodnym. – Czy będę miał przyjemność współpracować z pana wnuczką? Przepraszam – poprawiłem się – z prawnuczką.

Wydawało mi się, że wyprowadziłem go z równowagi, ale jeśli nawet, to trwało to ułamek sekundy.

Pożegnało mnie chrapliwe westchnienie.

– Doigra się pan kiedyś, Hłasko. Trafi pan na kogoś mniej cierpliwego ode mnie. Naprawdę się pan doigra.

***

Leżałem na łóżku i odtwarzałem w głowie całą rozmowę. Koperta powędrowała do sejfu, w którym trzymam dziesięciostrzałowego walthera kaliber dziewięć milimetrów. Plastikowa teczka wylądowała na biurku. Od czasu do czasu słyszałem owady odbijające się od siatki w oknach.

W oddali odgłos tłuczonego szkła zmieszał się ze śmiechem i przekleństwami. Nocne życie na Trakcie Królewskim trwało w najlepsze i wyciskało z miasta wszystkie soki witalne, a ja myślałem o śmierci.

Przez lata nauczyłem się, że im bardziej ktoś się odsłania, tym więcej ukrywa. Mój dzisiejszy gospodarz był tego potwierdzeniem. Wiedziałem o nim tyle co nic, jego życie kryło się w półmroku. Takim samym, który wypełniał pokój podczas naszej rozmowy. I lampa stojąca koło biurka niczego nie zmieniała.

Gdy wróciłem do domu, wziąłem prysznic, a potem, stojąc nago na środku pokoju, sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Moniki. Formalnie nadal była moją żoną, jeśli można tak powiedzieć o kimś, kogo w ciągu ostatnich trzech lat widziało się przez dwie godziny. Monika. A może lepiej: Monique. Wciąż w przelocie. Między lotniskiem, konferencją, burzą mózgów i naradą równie ważną, co śmiertelnie nudną. Jedna spośród tysiąca urzędników i urzędniczek nieokreślonego szczebla, zasilających legion eurokratów. Ona zbyt zajęta, by myśleć o rozwodzie, a ja zbyt leniwy. Czasami jednak sobie pomagaliśmy. I teraz liczyłem na taką pomoc. Tak, Monique, nie mylisz się, to ja, twój najdroższy. Tym razem, słodka, potrzebuję informacji o pewnym biznesmenie. Grupa seniorów. Taki w wieku Gandalfa. Tyle że bez siwej brody. Oddzwoń, gdy będziesz mogła. *See ya*, jak mawiacie w Brukseli.

Może oddzwoni, a może nie. Różnie bywało.

Na moim brzuchu leżała opasła książka. Bez trudu znalazłem w niej to, czego szukałem. Dwóch mężczyzn walczących na krawędzi urwiska. Dobrze znałem tę rycinę. Sidney Paget był pierwszym ilustratorem przygód Sherlocka Holmesa i to on narysował dwa ciała splecione w ekwilibrystycznej pozie na skraju wodospadu Reichenbach. Naprawdę doskonała robota.

„Sherlock Holmes i profesor Moriarty. Holmes i Moriarty. Sherlock Moriarty i profesor Holmes”, powtarzałem bez sensu.

Kleiły mi się oczy.

Jak to było? Co on powiedział?

„By nie dać się pociągnąć w dół. By nie pociągnął nas za sobą. By nie pociągnął za sobą…”

Z tą myślą zasnąłem.

8

Dwudziestolatek o twarzy wystraszonego szczura poprawił bejsbolówkę. Jak to miał w zwyczaju, przesunął daszek na prawą stronę i uśmiechnął się. Dzień zapowiadał się dobrze, a wszystko dlatego, że odezwał się Major.

Nigdy nie wpisywał do telefonu nazwisk swoich klientów. Uznał, że będzie zabawnie, jeśli każdemu przypisze stopień wojskowy odpowiadający jego pozycji. Nauczył się, że w tym fachu nie zadaje się pytań. Nie wiadomo, kim są klienci i skąd przychodzą, ważne, że przybywają zawsze po to samo. Czuł, że Major to jest gość. Dziany facet, zawsze w eleganckim garniturze. Pewny siebie. Nawykły do rozkazywania, a nie słuchania poleceń. Kto wie, może nawet zostanie kiedyś Generałem. Może sam, pomyślał chłopak, kiedyś takim zostanę? Lubił to, co robił, i gdy patrzył na rozdygotane laski chore na kokainową chcicę i trzęsących się szpakowatych biznesmenów, czuł, że ma władzę. Lubił kontakt z żywymi ludźmi, ale nie wyobrażał sobie, by miał dealować do końca życia.

Rano odebrał SMS-a:

Będę dziś w Gdańsku. To samo, co ostatnio, tylko dwa razy więcej.

Zwykle nie załatwiał spraw w taki sposób. Rozmowa to rozmowa. Konkret. Ale dla Majora robił wyjątek. Warto było.

Miał być kontakt w ubiegłym tygodniu.

Nawet Majora trzeba czasami ustawić.

Gdzie i kiedy?

W odpowiedzi otrzymał namiary stacji benzynowej.

Był na miejscu kilka minut przed trzynastą. Zwykle odbywało się to tak samo. Wchodził do toalety. Major nigdy się nie spóźniał. Zorganizowany gość. Szybka wymiana i czasem dwa słowa, gdy umawiali się na kolejny kontakt. Zmieniali miejsca, ale zawsze była to stacja. Ta po raz pierwszy. Podszedł do drzwi i zobaczył na nich przyklejoną kartkę: „Nieczynne". Sięgnął po telefon i w tym samym momencie usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości.

Zamknęli klop. Podejdź do mnie. Granatowe bmw.
Przynajmniej zobaczysz moją nową furę.

Na końcu uśmiechnięta buźka.

Zamrugał oczami krótkowidza i rozejrzał się. Granatowy samochód stał nieco z boku, po prawej stronie, tam gdzie zaczynał się parking dla tirów. Poprawił czapkę. Major nieźle to wymyślił, pomyślał z uznaniem. Dobrą miejscówę wyhaczył.

Zbliżył się do auta. Nigdy wcześniej nie widział tego modelu. Szyby były przyciemnione, a drzwi po stronie pasażera otwarte. Pewnie dlatego tak dobrze słyszał muzykę. Rzępoliła jakaś orkiestra symfoniczna, słyszał wyraźnie skrzypce, no, z całą pewnością nie było to klubowe granie, niestety. Przytrzymał ręką drzwi i wsunął głowę do środka.

– Dżizas, ale muzy pan słu…

Gdyby dwudziestolatek o twarzy wystraszonego szczura interesował się polityką, nie umknęłaby mu informacja o śmierci znanego parlamentarzysty. Temat nie znikał z czołówek i chłopak skojarzyłby twarz zmarłego z klientem, którego widział kilka godzin przed jego śmiercią. Być może zastanowiłby się, dlaczego nigdzie nie podano informacji, że kieszenie zabitego wypełniały torebki z amfą i koksem. Z pewnością wpadłby w panikę, zmienił numer, starał się zatrzeć ślady. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Gdyby miał więcej szczęścia i zmierzając w stronę bmw, odwrócił się na chwilę, mógłby zobaczyć, jak chłopak pracujący na stacji idzie do toalety, mamrocze coś do siebie i zrywa kartkę z napisem: „Nieczynne". Przypomniałby też sobie, że Major nigdy nie pisał SMS-ów z emotikonami. O trzynastej szczęście go jednak opuściło, a upał stępił czujność.

Gdyby ktoś obserwował tę scenę z boku, mógłby dostrzec chłopaka zbliżającego się do luksusowego wozu. Widziałby, jak się pochyla, zauważyłby nagłe szarpnięcie i drgające białe podeszwy adidasów. Po chwili ciało znikło w ciemnym wnętrzu samochodu, a Koncert skrzypcowy e-moll Mendelssohna nagle się skończył.

Kilka miesięcy później w lesie w okolicach Szczecina grzybiarz natknął się na ludzkie szczątki. Nic nie rozkłada ciała tak dobrze jak upał, a dzikie zwierzęta dokończyły dzieła.

Nikt też nie skojarzył odnalezionych zwłok z dwudziestolatkiem, który lubił kontakty z żywymi ludźmi.

CZĘŚĆ DRUGA

9

„Ból jest darem bogów”. Takie słowa wypowiedział Wielki Maester Pycelle do lorda Eddarda Starka, gdy, minąwszy plac Trzech Krzyży, dotarłem do Nowego Światu. Ryk motocykla zagłuszył kolejne zdanie, przesunąłem więc potencjometr, by pokonać narastający zgiełk ulicy.

Jeśli prawdą jest, że ból jest darem bogów, to znaczy, że byłem bogiem. Przynajmniej tego poranka. Po miesiącu przerwy wróciłem do ćwiczeń TRX. Nie jestem jakimś maniakiem sportu i katowania się, po prostu sprawność fizyczna jest potrzebna w moim zawodzie, a przynajmniej raz, przed laty, uratowała mi życie. Ostatnio jednak brakowało mi czasu, by ćwiczyć, bo najpierw trafił się wyjazd na Ukrainę, żeby przygotować podpisywanie kontraktu w branży transportowej, a potem jeszcze krótkie zlecenie w Sopocie. A poza tym, nie zapominajmy, Miś Koala z Raszyna – biznesmen o mózgu wielkości ziarnka grochu opętany manią prześladowczą i z pewnością skrzywdzony w dzieciństwie. Tak. W ostatnim czasie nie narzekałem na brak zleceń i cieszyłem się z tego. Przekonałem się nieraz, że po tłustych miesiącach przychodzą chwile posuchy.

Ból jest darem bogów. TRX wymyślili amerykańscy komandosi znudzeni przesiadywaniem w bunkrach. Aby zabić czas, gdy nie mogli zabijać wrogów, wymyślili ćwiczenia przy użyciu pasów, czyli tego, co mieli pod ręką. TRX powoduje, że naprawdę wiesz, ile warte jest twoje ciało, gdy siła grawitacji nieubłaganie przydusza cię do ziemi, a ty, w podwieszeniu, starasz się wykonać kolejną morderczą serię ćwiczeń. W każdym razie wolę te sprawdzone metody niż ćwiczenia proponowane przez jakąś telewizyjną lalę od fitnessu.

W porównaniu z TRX bieganie to prawdziwa przyjemność. Zwykle biegam po Agrykoli. Tego lata trwała tu nieustająca balanga. Od wczesnego rana na kocach wylegiwały się pary – podejrzewałem, że w ten sposób

przedłużyły sobie ostatni wieczór i noc, harmonijnie łącząc na świeżym powietrzu wszelkie możliwe przyjemności. Można było być pewnym, że przebiegając koło południa na wysokości Zamku Ujazdowskiego, napotka się grupki grające we freesbie, a spod parasoli zacznie się unosić zapach kiełbasy, grillowanej karkówki oraz frytek. Wieczorem doznania zapachowe osiągną pełną intensywność i wymieszają się z dźwiękami muzyki. Kolejny nieznany młody zespół będzie przeżywać wielką wakacyjną przygodę, przeplatając covery własnymi utworami, znanymi tylko niewielkiej grupce znajomych. I tak następna doba przejdzie do historii wypisanej na kocach letnich kochanków.

Tego dnia pobiegłem w drugą stronę. Odwróciłem się, by popatrzeć na dziewczynę, która poruszała się tak, jakby surfowała po nagrzewającym się coraz bardziej asfalcie, a zanim popłynęła w swoją stronę, obdarzyła uśmiechem Hłaskę, samotnego miejskiego żeglarza. W każdym razie miałem nadzieję, że uśmiech skierowany był do mnie.

Biegłem i mijałem miejsca, które znałem od lat, ale i zupełnie nowe punkty wypełniające przestrzeń. Wiedziałem, że nade mną wznosi się neon, z gwiazdką nad literą „i”, który pamiętałem jeszcze z dzieciństwa. Melodia była knajpą jeszcze przedwojenną. W jakiejś książce, nie mogłem sobie przypomnieć tytułu, czytałem, że komunistyczni dygnitarze poprowadzili tajne podziemne przejście łączące dom partii z tym miejscem. Napis „Hustler. Gentleman’s Club” na czarnym szkle zdecydowanie należał do nowych czasów. Po przeciwnej stronie, tej z parzystą numeracją, dostrzegłem natomiast coś, czego wcześniej nie widziałem. Na bocznej ścianie kamienicy ktoś namalował mural. Okno, języki ognia oraz napis: „Całe życie w walce”. A także imię i nazwisko, które było mi znane. O tej historii było przecież głośno w całej Polsce. Ciało działaczki społecznej, walczącej z kamienicznikami i wysiedleniami w Warszawie, znaleziono zwęglone w Lesie Kabackim. Sprawców nie wykryto. Jeszcze jeden znak czasów. Pomyślałem o moim osiedlu. O domkach fińskich na Jazdowie. Zachłanność w tym mieście, pełnym wszelkiej maści drapieżników, zdaje się nie mieć granic. Poczułem ukłucie bólu, jednak nie była to reakcja ciała. Miał, by tak rzec, inną częstotliwość. I z pewnością nie był darem bogów.

Zawróciłem w stronę domu. Czasami robiłem większą pętlę, rzucałem krótkie „cześć” generałowi de Gaulle’owi patrzącemu na mnie z cokołu i skręcałem w prawo. Odkąd jednak most Poniatowskiego stał się modnym

szlakiem spacerowym, podobnie jak plaża nad Wisłą po stronie biało-czerwonego koszyka zwanego Stadionem Narodowym, o bieganiu można zapomnieć. A już w weekendy w ogóle nie było na to szans.

Dobiegłem do domu, wyjąłem słuchawki z uszu i wyłączyłem *Grę o tron*. Gdy biegam, wolę słuchać audiobooków niż muzyki. I muszę powiedzieć, że ten cały George R.R. Martin dobrze to wymyślił. Powieść, w której jest tylko jeden bezwzględny punkt odniesienia. Taki Święty Graal: władza. Poza tym wszyscy oszukują i zachowują się tak, że walki w klatce to przy tym szczyt savoir-vivre'u.

W świecie moich klientów jest dokładnie tak samo.

Jeśli nie dbasz o czystość intencji, to – przynajmniej od czasu do czasu – stajesz się częścią tego świata przekonanego o swoim blasku i subtelności, a tak naprawdę zapyziałego i prymitywnego.

Wziąłem prysznic i się ogoliłem. Popatrzyłem na sympatyczną i szczerą twarz, która mogłaby należeć do agenta ubezpieczeniowego. Twarz podobającą się kobietom, z którymi się w życiu rozminąłem. Taki los.

Ciekawe, jaki los spotkał Daniela Okońskiego.

Zaparzyłem kawę, opadłem na fotel i otworzyłem teczkę z jego dossier. Szybko przejrzałem papiery. Szału nie było, dupy nie urywało. Na wierzchu leżały dwa zdjęcia. Pierwsze i większe z jakiejś oficjalnej gali. Stężenie białych jak śnieg koszul oślepiało. Może zrobiono je podczas zjazdu producentów proszków do prania i wybielaczy? Szybko zorientowałem się, który to Okoński. Nad jakimś leciwym człowiekiem pochylał się trzydziestoletni brunet w garniturze i to jego głowę otoczono kółkiem. Drugie zdjęcie zrobiono w jakimś klubie. Ten sam brunet, tym razem ubrany w koszulkę polo, trzymał w ręku szklankę z piwem, za nim kłębili się jacyś ludzie. Najwyraźniej wiedział, że ktoś robi mu zdjęcie. Patrzył prosto w obiektyw i nie miałem wątpliwości, że to spojrzenie zwycięzcy. Człowieka pewnego siebie i przekonanego o tym, że zawojuje świat. Skąd to wiedziałem? Kiedyś też tak patrzyłem w przyszłość.

Sięgnąłem po kartkę, z której miałem się dowiedzieć czegoś o jego życiu. Urodził się w Warszawie, pół roku temu stuknęła mu trzydziestka, wiek, gdy podejmuje się ważne życiowe decyzje. Skończył politologię i stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie Warszawskim, a więc także mojej uczelni, od ośmiu lat współpracował z firmami, których nazwy nic mi nie mówiły, ale każda była dziwaczna. Zupełnie jakby jej właściciele brali

udział w jakimś konkursie na najgłupszą nazwę. Ostatnia, z tą był związany najdłużej, to PolisPro Poland. Też ładnie. Aha, obiekt mojego zainteresowania był kiedyś asystentem jakiegoś posła, ale ta przygoda nie trwała długo.

Ostatnia kartka zawierała dwa nazwiska, trzy adresy zamieszkania, kilka adresów e-mailowych i numery telefonów. Aha, jeszcze numer rejestracyjny samochodu, dziewięcioletniego bordowego forda focusa. Helena Popławska to jego matka. Andrzej Matus szefował PolisPro Poland. Żadnych przyjaciół ani dziewczyny. Ani chłopaka. Wszak żyjemy w skomplikowanych czasach. Nic więcej. Trzeci adres przyporządkowany był do jego nazwiska. Mieszkał przy Miedzianej. Numer telefonu. E-mail. I tyle tego. Dopiłem kawę, wstałem i przeciągnąłem się. No dobra. W końcu to mnie płacą za robotę i to ja mam go odnaleźć.

Poszukiwanie zaginionych rządzi się swoimi prawami. Jeśli do komisariatu przyjdzie kobieta, by po raz szósty zgłosić zniknięcie swojego starego, znudzony policjant potraktuje tę sprawę z należytą uwagą i umieści na dole w trzystopniowej skali zaginięć. Skoro facet odnalazł się pięć razy, odnajdzie się i szósty. Proste, nie? Jeśli zniknie dziecko, które nigdy nie sprawiało kłopotów wychowawczych, przypadek powędruje na szczyt listy, być może nawet zajmie się tym Wydział Poszukiwań Celowych. Jeśli zagubi się jakaś szycha, sprawa też z pewnością trafi do łebskich dziewczyn i chłopaków z tej jednostki.

Tyle że w zaginięciach jest coś metafizycznego. Przecież ludzie nie powinni tak po prostu znikać. Jest więc jakiś oczywisty związek między znikaniem a umieraniem. Jakby zaginięcia ze swej istoty przeczyły życiu. Tyle że śmierć jest cięciem ostatecznym, bywa natomiast, że człowiek rozpłynie się w powietrzu, miną dziesiątki lat i wciąż nie będzie pewności, co się z nim stało. Bywa, że poszukiwania przypominają niedokończoną operację. Mała Madeleine znika z pokoju hotelowego, gdy rodzice są na kolacji. W stan gotowości zostają postawione służby kilku państw, dziennikarze podsypują solą niegojącą się rodzinną ranę, interweniuje nawet brytyjski premier. I co? Nic. Jak kamień w wodę. Mały Etan wyrusza do szkoły i nigdy tam nie dociera. Przesłuchano wszelkich możliwych podejrzanych i od tamtego czasu fotografie zaginionych dzieci Amerykanie umieszczają na kartonach z mlekiem. A któryś z prezydentów ustanowił nawet Dzień Zaginionego Dziecka. Czasami po latach śledczy trafiają na

zaskakujące rozwiązania. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że dziewięciotygodniowe niemowlę porwał w Australii pies dingo, choć przez całe lata o śmierć dziewczynki oskarżano jej matkę. Podobno te drapieżniki tak działają, na tym polega postęp nauki. Bywa, że odnalezieni stają się celebrytami, jak pewna Austriaczka, która spieniężyła historię życia pod jednym dachem z pedofilem. Takie czasy.

Nie wiedziałem, o co chodzi z tym Okońskim, na razie, ale już pobrzmiewał mi w głowie sygnał ostrzegawczy. Nie miałem wątpliwości, że ludzie Króla szukali go bardzo intensywnie. Może nie mieli takiego doświadczenia jak ja, ale z pewnością chcieli się wykazać, bo rozczarowany wzrok takiego szefa to z pewnością nic przyjemnego. Tymczasem nic. Brak efektów. Nawet punktów zaczepienia. Daniel Okoński zniknął bez śladu. Sam lub z czyjąś pomocą. Dobrowolnie bądź nie. Ale skutecznie.

Każdy ma swoje przyzwyczajenia. Niektórzy nazywają je skryptami, inni jeszcze mądrzej. Działamy według pewnych ustalonych wzorów. I nagle między tryby tej maszynki codzienności dostają się kamienie. Maszynka się zacina. Na tym polega zniknięcie. A potem chodzi głównie o to, by znaleźć punkt zero. Moment, gdy coś się zmieniło, a niekiedy wywróciło życie do góry nogami.

Wtedy pracowałem jeszcze w policji. Na peryferiach Warszawy w słoneczną wiosenną niedzielę zaginęła szesnastolatka. Jeśli młodzi ludzie chcą odebrać sobie życie, to najczęściej robią to wiosną. Ludzie w podeszłym wieku, elegancko zwani od niedawna seniorami – koło Nowego Roku. Taki po prostu jest wzór. No więc prześwietlamy życie dziewczyny, a ono jest czyste jak kryształ. Wzorowa uczennica, żadnego młodzieńczego buntu, dragów, alkoholu, żadnych chłopaków, zamiast tego organizowanie akcji charytatywnych. Ciągnące się w nieskończoność przesłuchania koleżanek, nauczycieli, rodziny, pytania zadawane po raz drugi, a potem trzeci. Skrupulatna rekonstrukcja ostatnich godzin, dni, tygodni.

I nagle jest. Bingo. Raz jeszcze przesłuchałem jedną z nagranych rozmów, może był to czysty przypadek, a może nie. Natrafiłem na taki fragment: „Jak w każdą niedzielę spotkałyśmy się w kościele na mszy. Przekazywałyśmy sobie znak pokoju, pamiętam, popatrzyłam na nią, ale

coś było inaczej”. Czyjeś kroki. Cisza. A potem znów drżący głos: „I więcej jej nie widziałam”.

Gdy podjeżdżałem pod szkołę, czułem ciarki na plecach.

Złapałem ją na przerwie. Przypomniałem, co mówiła.

– Co to znaczy, że było inaczej? Była smutna?

Zamyślona?

Zdziwione spojrzenie.

– Nie. Wtedy, gdy rozmawiał ze mną tamten pan, pomyślałam sobie coś głupiego…

– Co?

– Agnieszka zawsze się spowiadała. Co tydzień. W klasie się nawet z tego nabijali…

– A tym razem? Nie poszła do spowiedzi?

– Poszła. Ale widziałam, że poszła do prawego konfesjonału.

To był przełom w śledztwie. Cotygodniowe zwierzenia u tego samego księdza. Aż do tamtej niedzieli. U młodego, przystojnego, błyskotliwego, który postanowił poprowadzić dziewczynę przez życie, a zaprowadził zupełnie gdzie indziej. Nie pozbył się jednak śladów w samochodzie i gdy mu o tym powiedziałem, pękł. Banał, jakich wiele. Posprzeczali się, on chciał po mszy coś wyjaśnić, wsiedli do samochodu, jazda za miasto, kolejna sprzeczka, on ją popycha, dziewczyna upada. Koniec. Zakopał ją w lesie w okolicach Białegostoku. W rodzinnych stronach. Tak powiedział. „W rodzinnych stronach ją zakopałem”. Pamiętam, że przełknąłem ślinę i zacisnąłem pięści, pomyślałem o zrozpaczonych rodzicach dziewczyny, ale nie zrobiłem nic.

A teraz musiałem prześwietlić trzydziestolatka, który, zdaje się, szedł przez życie jak taran i był w posiadaniu magicznego klucza do świata sukcesu i kariery. Aż napotkał przeszkodę zmuszającą do zmiany kursu.

Ostatni łyk zimnej kawy.

Jeszcze jeden szybki rzut oka na fotografie.

Ktoś wręczył mi grubą kopertę, bym cię odnalazł. Więc to zrobię. A wtedy ty wyjaśnisz mi, dlaczego tak dużo za ciebie płacą.

10

Użyłem najlepszej wody kolońskiej i włożyłem jasny garnitur najbardziej odpowiedni w porze lunchu. Wyglądam w nim trochę jak ubogi członek klanu Corleone. Tak powiedziała kiedyś pewna kobieta i, wierzcie mi, nie było to miłe. Okońskim zajmę się po południu. Teraz musiałem zamknąć zupełnie inną sprawę.

Sprawa miała trzydzieści cztery lata i była senior-jakimś-tam-menedżerem w dużej prywatnej firmie, a przede wszystkim prowadzała się z córką właściciela, który był nawet dość sympatyczny, a marynarkę miał wiecznie oprószoną łupieżem, co nadawało mu ludzki wymiar.

Chłopak był ulubieńcem starego, ale trwało to do chwili, gdy firma zaczęła mieć kłopoty z realizacją kolejnych kontraktów na rynku wschodnim. Konkurencja składała korzystniejsze oferty. Była o ruch do przodu i miało się wrażenie, że ktoś pomaga jej w zdobywaniu informacji.

Firma ewidentnie dołowała i ktoś za tym stał. Szef początkowo nie chciał uwierzyć. Zwykł mówić, że konkurencja nie śpi, ja zaś powiedziałbym, że sypia, owszem, tyle że z córką przeciwnika, i tylko poczucie dobrego smaku sprawiło, że zostawiłem tę błyskotliwą myśl dla siebie. Stary kręcił głową, mówił, że to nie może być prawda, a łupież śnieżył jego ubranie bardziej niż zwykle. Wreszcie się poddał i przeprowadziliśmy mały eksperyment.

Szedłem korytarzem z kawą i, och, jaki ze mnie niezdara, wylałem zawartość kubka na menedżerską marynarkę. Proszę mi ją dać, zapiorę plamę i szybko wysuszę, tak, proszę zdjąć i iść do szefa, widzę, że pana wzywa, powiedziałbym nawet, że nieszczęścia chodzą parami, no, bardzo proszę, będzie jak nowa.

Oszołomiony młody człowiek zostawia mi marynarkę, która interesuje mnie tak jak rozgrywki krykieta w Indiach. Dobieram się do serca, czyli

zostawionego w kieszeni portfela. Dobrej jakości skóra, w środku sporo plastiku, kilkanaście wizytówek i, o tak, parę drobin piasku. Dotykam ziarenek, raz jeszcze przeglądam wizytówki i chyba trzymam w ręku tę właściwą, z adresem willi w Sopocie. Oto pańska marynarka, zrobiłem, co się dało, nawet podsuszyłem w toalecie suszarką do rąk, wie pan, piętro niżej, bo tu nie działa, prawie nic nie widać. Jak było u szefa? Luz? No widzi pan, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Nie wszystko dobrze się kończy. Gdy wróciłem z Sopotu, zdałem relację staremu, a on nie odzywał się przez dwa dni, jakby dojrzewał do decyzji.

Gdy dziś biegałem, zadzwonił i się nagrał.

„Zdecydowałem. Trzeba z tym skończyć. O dwunastej w Vitkacu. Wiem, że umówił się tam z moją córką”.

Więc się wystroiłem. Bardziej jak na wesele, choć szykował się pogrzeb.

Vitkac nazywany jest przez warszawiaków Sarkofagiem. Czarny, ponury klocek wciśnięty w ulicę Bracką, w miejscu, gdzie kiedyś był pawilon z chemią gospodarczą i materacami. Kiedyś chciałem w tym Vitkacu kupić koszulkę polo. Gdy zobaczyłem, że liczba zer przy cenach przekracza liczbę kół w samochodzie, razem z zapasowym, wpadłem w stan odrętwienia. Chodziłem po budynku, którego powinny wystrzegać się osoby z agorafobią, i czułem się niczym podróżnik w egzotycznej krainie. Ogromne, puste przestrzenie, tylko gdzieniegdzie znudzona sprzedawczyni tęskniąca za klientem.

– Co pan chce? Czasem przyjdzie na zakupy jakaś Rosjanka wysłana przez męża i wtedy jest fan – powiedziała mi dziewczyna w salonie perfumeryjnym.

Była miła, dość ładna i chyba wdzięczna, że ktoś do niej przemówił. Z tej wdzięczności umówiła się ze mną, raz czy dwa dokądś poszliśmy. Dowiedziałem się nieco o paczuli, piżmie i nucie serca, która jednak nie była mi pisana.

Ze starym spotkałem się przed budynkiem. Zauważyłem, że przyciął pożółkłe końcówki wąsów, typowe dla nałogowego palacza. Wjechaliśmy na ostatnie piętro, gdzie mieści się restauracja Concept 13. Kilkanaście sekund modliłem się, żebyśmy nie napatoczyli się na kogoś miłego, ładnego i niekoniecznie już wdzięcznego, a moje prośby zostały wysłuchane.

Siedzieli na tarasie. On trzymał ją za rękę, marynarkę – tak, tę, z której wygrzebałem portfel – przewiesił przez oparcie krzesła. Ona, w zjawiskowej letniej sukience, z głową opartą na dłoni. Chłopak został zmuszony, by wziąć kilka dni zaległego urlopu, oboje wykorzystywali chyba ten czas intensywnie, a przynajmniej świadczyły o tym ich uśmiechy i zatopione w sobie spojrzenia. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś latynoskiego reżysera telenowel.

Od razu nas zauważyli. Wydawało mi się, że chłopak drgnął, a twarz dziewczyny przesłonił rumieniec. Wstała od stołu, dopłynęła do nas na długich, opalonych nogach, podała mi rękę, w ogóle na mnie nie patrząc, a ojca cmoknęła w policzek.

– Nie przeszkadzajcie sobie, dziecko – powiedział. – Usiądziemy z boku i obgadamy nasze sprawy.

Zamówiłem tagliatelle z prawdziwkami, a mój szef zdecydował się na kaczkę. Kątem oka obserwowałem, co dzieje się na tarasie. Wyglądało, jakby czar prysł, jakby latynoski operator kamery spakował sprzęt. Ona cofnęła dłoń, jego plecy przywarły do oparcia krzesła. Ciekawe, ile ta dziewczyna wie? Czy jest narzędziem w rękach senior-jakiegoś-tam, czy też dała sobie wmówić, że ojciec brnie w ślepy zaułek, a stery firmy powinien przejąć ktoś rzutki i młody. Oba warianty były równie prawdopodobne.

I, niestety, wiedziałem, że wkrótce poznam odpowiedź.

Odsunęliśmy puste talerze.

– Załatwmy to wreszcie. – Stary wytarł wąsy serwetką i wstał z krzesła.

Ja również.

– Dosiądziemy się do was na chwilę – powiedział, gdy znaleźliśmy się na tarasie.

Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Ojciec zachwalał soczystość kaczki, dziewczyna szczebiotała o wyśmienitej jakości ragout oraz o tym, że Kris – nie Krzysztof, nie Krzyś, ale Kris – zjadł genialne mule i małże świętego Jakuba. No, rewelacja, tato, następnym razem musisz spróbować, a nie ciągle ta pospolita kaczka.

– Ciekawe, Kris – stary po raz pierwszy zwrócił się do chłopaka – czy w Sopocie też tak dobrze jadałeś?

Patrzył mu w oczy. Siedziałem koło młodego i widziałem, jak tężeją wszystkie jego mięśnie.

– W Sopocie? Nie wiem, o czym pan mówi. – Przecież w ubiegłym tygodniu byłeś w Sopocie, prawda? – Łagodne pytanie doprawił odrobiną nacisku.

– W jakim Sopocie, Kris? – wtrąciła się dziewczyna. – Przecież byłeś z chłopakami pograć w golfa. Tak mówiłeś…

– Nie byłem w Sopocie. To… to jakieś nieporozumienie…

– Na dodatek – ciągnął spokojnie stary – nie zgadniesz, córciu, kto go tam zaprosił.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem ksero rachunku wystawionego na Textilpol-Expo. Relacje między tą firmą a moim wąsatym szefem przypominały zażyłość między kibicami Legii i Polonii Warszawa. Polityką miłości bym tego nie nazwał.

– To kłamstwo! – Chłopak spojrzał na mnie. – Ten facet kłamie.

Nie lubię, gdy ktoś tak o mnie mówi. Zdobycie tego zdjęcia trochę mnie kosztowało, ale i tym razem mi się udało. A obraz z kamery zamontowanej przed willą był zadziwiająco wyraźny.

– Mam tu jeszcze taką *sweet* focię.

Położyłem fotografię na stole. Na tle pięknej willi z początku XX wieku stał Kris, a obok niego kobieta, z całą pewnością nie ta, do której mizdrzył się kilka minut temu przy stole. I, co najważniejsze, jego dłoń spoczywała na jej ciele. W miejscu, którego żaden ortopeda nie uznałby za odcinek lędźwiowy.

– Ta pani pracuje w Textilpol-Expo. Nazywa się…

Chłopak nie słuchał. Zerwał się i wybiegł. Dziewczyna popatrzyła na zdjęcie i poczerwieniała. Wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Zostaliśmy we dwóch. Kilka par oczu przyglądało nam się z zainteresowaniem.

– Musieliśmy to zrobić – przerwał milczenie stary. Popatrzył na puste talerze. – Zapłacę za tego skurwysyna. Niech stracę. Przynajmniej wiem, że to ostatni raz.

Usłyszałem stukot obcasów i zobaczyłem, że dziewczyna wraca. Gwałtowność ruchów sprawiała, że wyglądała niezdarnie. Torebka obijała jej się o biodro.

Stanęła przy stole i nim zdążyłem zareagować, sięgnęła po kieliszek z białym winem i chlusnęła mi w twarz.

– Szpicel – syknęła. – Pierdolony kapuś.

I tyle ją widziałem.

Nie wiem, czy świadkowie tej sceny dobrze się bawili. Każdy ma od czasu do czasu swoje W *samo południe*, a ja miałem je teraz. Paliła mnie twarz i z pewnością nie działo się tak dlatego, że świeciło bezlitosne lipcowe słońce.

W kącikach ust czułem smak półwytrawnego wina, a w gardle gorycz.

11

– Z kapusiami nie rozmawiam.

Drugi raz w ciągu kilku godzin ktoś mnie tak nazwał. I znów była to kobieta. Tym razem jednak nie zostałem oblany winem. Natomiast podczas tego krótkiego spotkania po drugiej stronie drzwi poczułem zapach taniej gorzały.

Drzwi, które zatrzaśnięto mi przed nosem.

Uniosłem rękę, by zadzwonić jeszcze raz, ale rozmyśliłem się. Nie miało to sensu. Byłem w miejscu, gdzie z kapusiami – czyli z każdym nieco lepiej ubranym obcym – z zasady się nie gada. Kapusiem był policjant z komendy, przychodzący rozpytać o to i owo, kobieta z opieki społecznej, która chciałaby sprawdzić „warunki socjalne”, albo urzędas z miasta z naręczem nowych rozporządzeń.

Jakiś czas temu odwiedziłem jednego z moich bossów. Mieszkał na osiedlu Ochota Pure Residence. Właściwy człowiek we właściwym miejscu, bo przecież trudno o głupszą i bardziej pretensjonalną nazwę. Było jednak w niej coś prawdziwego: Warszawa rzeczywiście stawała się *pure*, centrum miasta dyskretnie wyczyszczono z kloszardów rok temu, by nie przeszkadzali fanom futbolu głodnym piłkarskich wrażeń podczas mistrzostw i nie psuli wizerunku stolicy. *Pure* oznaczało także, że na peryferie należy zesłać element kłopotliwy, uporczywie niepłacący czynszu i zakłócający funkcjonowanie skomplikowanego organizmu, jakim jest metropolia.

Na takich peryferiach właśnie się znalazłem.

Po chwilach prawdy w Sarkofagu wróciłem do domu i się przebrałem. Włożyłem bojówki, sportowe buty i ulubiony T-shirt, który wkładam zawsze, gdy mam zgrywać luzaka. Dziewczyna w sukni ślubnej, welonie i stosownie ubrany do okazji chłopak trzymali się za ręce. Napis,

wypadający gdzieś na wysokości pępka, głosił: *Game over*. Pomyślałem o parce, którą widziałem dziś w Vitkacu. No właśnie. *Game over.*

Sięgnąłem po teczkę, którą dał mi Król. Odnalazłem nazwisko matki Okońskiego i adres. Wklepałem go do nawigacji i zaczął mnie prowadzić ciepły głos Krzysztofa Hołowczyca. Zniknął trzydziestoletni mężczyzna i doświadczenie podpowiadało mi, że trzeba zacząć poszukiwania tam, gdzie w grę mogą wchodzić najsilniejsze emocje. Matka i syn. Taki układ sprawdzał się dość często. Po facecie nie ma śladu, zniknął na dobre, ale wyrzuty sumienia sprawiają, że do tej jednej, zamartwiającej się, jak pewnie sądził, i nieśpiącej po nocach kobiety prędzej czy później się odezwie. Ten sentymentalny schemat potwierdził się nieraz, więc dlaczego nie miałby się sprawdzić teraz.

Dojechałem do przejazdu kolejowego i wtedy GPS kilkakrotnie wyświetlił jakieś dziwne lokalizacje, a następnie zgasł. Próbowałem go włączyć, ale najwyraźniej padł na dobre. Z grubsza wiedziałem, dokąd mam jechać. Minąłem lokomotywownię i rozpadające się hangary należące do kolei, wjechałem na wyboistą drogę i rozpocząłem slalom między dziurami w drodze. Krzysztof Hołowczyc z pewnością nigdy tu nie dotarł. Nawet najdzielniejsze duchy powstańców walczących pod Olszynką Grochowską czmychnęły z tego miejsca. W duchu modliłem się, by nie stracić zawieszenia.

Czytałem gdzieś o osiedlu Dudziarska. Kilka małych bloczków na końcu świata, do których przesiedlono „niepożądany element”. Podobno pojechał tam jakiś spec od graffiti, aby swoją sztuką wnieść blask w życie mieszkańców. Na ślepej ścianie bloku namalował replikę *Czarnego kwadratu na czarnym tle* Kazimierza Malewicza, a wściekli ludzie pogonili go butelkami i kamieniami.

Wiedzieć jednak to jedno, a zobaczyć, to zupełnie co innego. Dojechałem na miejsce i przywitał mnie jazgot psów biegających po osiedlu. Czterech chłopców przestało kopać piłkę i przypatrywało mi się z ciekawością. Obszedłem jeden budynek. Okna na parterze i pierwszym piętrze były zabite dyktą i deskami. Na własne oczy zobaczyłem replikę obrazu Malewicza.

Gdy się mieszka w czarnej dupie, z gigantycznym czarnym kwadratem na ścianie, trudno występować na Festiwalu Optymizmu.

Nie zadzwoniłem więc do drzwi ponownie, tylko zbiegłem na dół i wsiadłem do samochodu. Przegrałem pierwszą rundę, ale z kolejnej zamierzałem wyjść zwycięsko. Po półgodzinie wróciłem, wciąż z całym zawieszeniem, i uzbrojony w argument – miał czterdzieści procent zawartych w trzech czwartych litra.

– Mówiłam już, że z kapusiami… – usłyszałem, gdy drzwi odrobinę się uchyliły.

Wsunąłem butelkę w szparę i poczułem, że zacisnęła się na niej czyjaś ręka. Chciała ją wyszarpać, siłowała się ze mną, ale nie dała rady. Chwila namysłu, ciche przekleństwo i drzwi otworzyły się szerzej.

– Coś ty za jeden? – Wpatrywała się we mnie kobieta mojego wzrostu. – Masz diabła w oczach.

Była ubrana w dres z napisem „Dallas” i chodaki, zupełnie jak salowe w szpitalu. Jej twarz pokrywała siatka zmarszczek, była opalona, miałem kłopot z określeniem, w jakim jest wieku. Niewątpliwie natomiast była na lekkim rauszu – czyli w normalnym dla niej stanie. Butelka przyniesiona przeze mnie gwarantowała przynajmniej chwilowy rozejm i tę okazję musiałem odpowiednio wykorzystać.

Przestąpiłem z nogi na nogę.

– Pani mnie z kimś myli, pani Heleno. Nie mam nic wspólnego z diabłem i piekłem. Z psiarnią i urzędasami też nie. Jestem przyjacielem Daniela.

Zlustrowała mnie od stóp do głów.

– No, może kapusiem to nie jesteś – mruknęła, uznając, że może mi mówić na „ty”.

Odsunęła się i wpuściła mnie do przedpokoju zawalonego jakimiś kartonami i pudłami. Znów miałem wrażenie kontaktu z czymś tymczasowym. Podobnie było w domu Króla, tyle że tam tymczasowość wynikała z wyboru właściciela, natomiast tu, w tej klitce, z konieczności.

Wyjaśniłem, co mnie sprowadza. Więc tak, jestem przyjacielem Daniela, no, może nie przyjacielem, ale bardzo dobrym znajomym, pracowaliśmy razem, aż tu nagle wyjechał. Robota nieskończona, czas nagli, szef naciska, on nie daje znaku życia, tak, tak, wydzwaniam do niego, telefon ma wyłączony, a że wspominał kiedyś o pani, więc pomyślałem…

– Wspominał o mnie, mówisz. – Pokręciła głową. – Nie chce mi się wierzyć. On się nas wstydził.

Postawiłem wódkę na jednym z pudeł, chcąc zyskać na czasie. Nas? Nie wiedziałem, kogo kobieta ma na myśli. Wyjaśniło się to jednak szybciej, niż się spodziewałem. Z pokoju wyszła dziewczyna. Mogła mieć czternaście, ale równie dobrze szesnaście lat. Była żywą repliką mojej rozmówczyni, nikt, patrząc na nie, nie mógł mieć wątpliwości, że widzi matkę i córkę. Przytuliła się do kobiety. Widziałem, że drży. Popławska pocałowała ją w czoło.

– Łucja tak reaguje – wyjaśniła. – Idź, dziecko, nakarm chomika.

Jeszcze jeden pocałunek i Łucja znikła bez słowa. Zupełnie, jakbym widział zjawę.

– No właśnie, powiedział, że wyjeżdża i żeby zabrać chomika. – Wzrok Popławskiej powędrował w kierunku wieszaka. – Więc zabrałam.

– Chomika?

– No właśnie. – Przekrzywiła głowę. – Niby z nim pracujesz, a nie wiesz, że miał chomika. Dziwnie go nazwał – Jobs. Trochę z Hiobem się kojarzy. Albo zajobem. – Roześmiała się. – Nie chciał mi powiedzieć, co to jest ten „jobs”. A może jednak jesteś kapusiem?

– Pani Heleno, po prostu martwię się, bo przez ten wyjazd nie możemy skończyć roboty. No więc, czy odezwał się do pani?

– Pewnie, że odezwał. A nawet kartkę przysłał. Musiał odpocząć. Jak my wszyscy czasem. No to w czym problem? – Potarła dłonie. – Mam kłopoty z krążeniem, ciągle jest mi zimno.

– Przysłał pani kartkę?

– A tak. Z Pragi. Sam zobacz.

Znikła w pokoju, zabierając po drodze butelkę. Mruczała coś pod nosem i chyba była to oznaka zadowolenia.

Pocztówka przedstawiała Hradczany, most Karola, klaustrofobiczne mieszkanko Franza Kafki i ludzi pod jakąś piwiarnią. Po drugiej stronie jedno zdanie napisane drobnym, równym pismem: *Pozdrawiam Ciebie i Łucję z Czech. D.* Inicjał imienia był większy niż inne litery.

– Zawsze takie małe literki pisze. Muszę czytać przez szkło powiększające.

Przyjrzałem się stemplowi. Kartkę nadano osiemnaście dni temu. Trzy dni wcześniej Okońskiego widziano po raz ostatni.

– Zawsze tak pisze? Do mnie to pisze tylko na laptopie – powiedziałem szybko.

– Jak był mały i kiedy gdzieś ze szkołą byli, to zawsze pisał. No i teraz… Taka niespodzianka. Kto dziś jeszcze kartki wysyła? Może zrobił to, dlatego że wzięłam tego…

Nie dokończyła. Usłyszałem coś, co przypominało charknięcie. Pomyślałem, że dźwięk pochodzi z telewizora albo jakieś gry komputerowej. Kobieta drgnęła. Charknięcie przemieniło się ni to w ciche wycie, ni to w płacz. Było w tym odgłosie coś przejmującego, ludzkiego i nieludzkiego zarazem. Był to dźwięk z innego świata, wydobywający się, nie miałem teraz wątpliwości, z gardła dziewczyny.

– Proszę nas zostawić. – Popławska patrzyła na mnie chłodno. Przestała mówić mi na „ty”, w jednej chwili powróciły trzeźwość i opanowanie. – Niech pan idzie, już!

Nie zaczekała, aż wyjdę, tylko pobiegła do pokoju.

Stałem bez ruchu. Płacz zamienił się w cichy jęk, wreszcie ucichł. Wydawało mi się, że słyszę, jak dziewczyna wymawia samogłoskę „a” i powtarza ją kilka razy.

– On już nie przyjdzie – usłyszałem głos matki. – On już naprawdę nie przyjdzie.

Szepnęła coś jeszcze, ale nie usłyszałem co.

Zbiegałem po schodach, przeskakując po kilka stopni. Jechałem szybko, wymijałem kratery na drodze i nie myślałem o tym, że uszkodzę samochód. Odjeżdżałem z listą niezadanych pytań i wiedziałem, że kolejnej szansy nie będzie.

W głowie wciąż rozbrzmiewał mi skowyt Łucji, a w kieszeni bojówek pobrzękiwały klucze do mieszkania Daniela Okońskiego.

12

Mój nauczyciel w liceum plastycznym powtarzał nam nieustannie, że żyjemy w czasach, gdy wzrok ostatecznie pokonał wszystkie pozostałe zmysły. Patrzyliśmy na niego ze znudzeniem albo bezczelnością typową dla naszego wieku, ktoś w ławce na końcu przysypiał, a ja rysowałem wieżowce i wciąż jeszcze wierzyłem, że pójdę w ślady ojca. A potem, gdy ku jego rozpaczy nie zostałem ani architektem, ani przynajmniej średniej klasy pacykarzem przelewającym emocje na płótno i zacząłem studiować filozofię, poznałem poglądy zarówno tych, którzy zgodziliby się z moim nieodżałowanym nauczycielem rysunku, jak również takich, którzy głośno roześmialiby mu się w twarz. Kiedy rozpocząłem pracę w policji i później, gdy zacząłem poszukiwać ludzi znikających z własnego wyboru lub nie, zrozumiałem, że biskup Berkeley miał rację. *Esse est percipi*. Być to znaczy być postrzeganym. Ludzie pozostawiają po sobie mnóstwo śladów: zdjęcia, wizytówki, notatki, rachunki i paragony sklepowe. Znaki dla nich istotne oraz traktowane jak śmiecie. Im bardziej chcą zatrzeć po sobie ślady, tym bardziej rzucają się w oczy te, które przeoczyli. Tak po prostu jest.

Więc kiedy Helena Popławska wspomniała o chomiku, którego trzeba było zabrać z mieszkania Okońskiego, i spojrzała na wieszak, wiedziałem, co tam znajdę. Gdy wyszła, by przynieść pocztówkę z Pragi, zobaczyłem trzy komplety kluczy. Jeden różnił się od pozostałych i to on pobrzękiwał teraz w mojej kieszeni. I gdyby nie atak płaczu, który nastąpił nagle w pokoju, pewnie raz jeszcze spojrzałaby na wieszak i zobaczyła, że klucze znikły. Czasami trzeba mieć szczęście. A jeśli go brakuje, należy imać się innych sposobów. Miałem więc w samochodzie komplet wytrychów, fałszywe identyfikatory RWE Stoen oraz firmy farmaceutycznej, które umożliwiły mi wejście na dziesiątki pozamykanych klatek schodowych

i przełamały opory podejrzliwych staruszek. Cieszyłem się jednak, że tym razem nie będę musiał ich używać.

Zaparkowałem przy zbiegu Miedzianej i Siennej, koło budynku typu Lipsk należącym od niepamiętnych czasów do Domu Słowa Polskiego. Byłem tam kiedyś na wycieczce szkolnej w czasach głębokiej podstawówki i do dziś dźwięczał mi w głowie huk maszyn. Słońce załamywało się w niebieskich i poszarzałych prostokątach elewacji, a otoczenie przestało być takie brzydkie, gdy zauważyłem zgrabną dziewczynę w pastelowej sukience. Towarzyszył jej morderca. Trzymany na smyczy amstaf obrzucił mnie leniwym spojrzeniem i był dobrym powodem, bym przestał bujać w obłokach. Pięć minut później znalazłem się w mieszkaniu Okońskiego.

Zacząłem od łazienki i szafy. Pianka do golenia, tonik, krem do twarzy, szampon przeciw wypadaniu włosów i inne kosmetyki stały równo niczym żołnierze na warcie. W niewielkim mieszkaniu panował zaskakujący porządek. Szafa wypełniona ubraniami, kilka par dżinsów równo złożonych na półce, trzy garnitury, czyściutkie koszule. Przejrzałem kieszenie, ale niczego w nich nie znalazłem. Książki ustawiono na półce w porządku alfabetycznym, ale po żadną z nich raczej bym sam nie sięgnął. Musieliby mi zapłacić. *ABC marketingu politycznego* sąsiadowało z *Tao Coachingu*, a zaraz obok stał opasły tom w języku angielskim o upadku banku Lehman Brothers. Fascynujące. Ta ostatnia książka nieco wystawała. Wyjąłem ją i przekartkowałem. Na podłogę wypadło zdjęcie, a gdy je podniosłem, popatrzyła na mnie uśmiechnięta piwnooka blondynka z grzywką zaczesaną w lewą stronę. Schowałem fotografię do kieszeni, raz jeszcze obszedłem mieszkanie, ale nie zauważyłem śladów obecności kobiety. W łazience i na schludnie zasłanym łóżku nie natrafiłem ani na blond włosy, ani na kolorowe pisma o życiu czwartorzędnych aktorów z trzeciorzędnych seriali. Koło łóżka wisiały natomiast dwa plakaty w antyramach. Na jednym blondyn w angorowym swetrze pochylał się nad gitarą, a napis: „Nirvana MTV Unplugged” nie pozostawiał wątpliwości, z kim mam do czynienia. Obok Kurta Cobaina brodaty mężczyzna o uśmiechu Giocondy. Święty epoki 2.0. Steve Jobs. A może zajob albo Hiob. Na stoliku w rogu pokoju dostrzegłem puste opakowanie po karmie dla gryzoni i rozrzucone wiórki.

Podszedłem do biurka. Pochyliłem się i moje oczy znalazły się na wysokości blatu pokrytego warstewką kurzu. W jednym miejscu, dziesięć centymetrów od krawędzi, widniał ciemniejszy prostokąt. Prawdopodobnie

tutaj stał laptop, który niedawno został zabrany. Ktoś go wziął, ale zapomniał zetrzeć kurz. Albo nie miał na to czasu. Przy nodze biurka leżała listwa stabilizacyjna i to potwierdziło moje przypuszczenia. Otworzyłem szuflady i przejrzałem trzy segregatory. Trochę wydruków z komputera, kilka e-maili, odręczne notatki zrobione drobnym równym pismem. Postanowiłem je zabrać. Nigdzie nie znalazłem pendrive'ów ani innych nośników, na których można zapisywać pliki.

W ślepej kuchni także panował porządek. Ściereczka była równo przewieszona przez kran, zamrażarka wypełniona równo poukładanymi produktami, a w lodówce resztki jedzenia zawinięte w folię. Za kuchennymi drzwiami na barowym stołku stał telefon. Wydało mi się to nieco dziwne, że trzydziestolatek używa stacjonarnego telefonu. Czerwona lampka wskazywała, że ktoś zostawił wiadomości na sekretarce. Włączyłem przycisk odtwarzania.

„Daniel? – rozległ się kobiecy głos. – Odezwij się, proszę, to ja". Drugie słowo wymówione było z pewnym trudem, a całe zdanie nieco rozciągnięte. Rozpoznałem głos Heleny Popławskiej. Chyba była trochę wstawiona i, zdaje się, był to jej naturalny stan, jeśli mogłem ocenić go na podstawie naszej krótkiej znajomości.

Odtworzyłem drugą wiadomość. Tym razem nikt się nie odezwał. Usłyszałem westchnienie, jakby ktoś nabierał powietrza, a może się zawahał. W tle słychać było klakson i szum samochodów. Przewinąłem nagranie i odsłuchałem jeszcze raz. Kobieta czy mężczyzna? Kobieta. Nie, właściwie to nie wiem.

Wróciłem do pokoju i wyjrzałem przez okno na ponure podwórko otoczone ze wszystkich stron odrapanymi ścianami kamienic. Przy klatce schodowej naprzeciwko ktoś napisał białą farbą „miej wyjebane będzie ci dane". Manifest dobry jak i każdy inny. Uznałem, że nic tu po mnie. Nikt mnie nie zaczepił, gdy znalazłem się na klatce schodowej, a potem zszedłem do piwnicy, w której, poza dwoma pustymi słoikami po ogórkach i butelce po piwie, nie znalazłem niczego interesującego. Za to na tablicy ogłoszeń dostrzegłem plakacik z twarzą przerażonego mężczyzny, nad którym unosił się komiksowy dymek. „Nie zapłaciłem czynszu. Jak spojrzę teraz sąsiadom w oczy?". Na dole czerwonymi, krwistymi cyframi zapisano numer windykacji.

Gdy znalazłem się na podwórku studni przy kapliczce z Matką Boską, odwróciłem się i spojrzałem w okno mieszkania Okońskiego. Dzisiejsze dwie wizyty sprawiły, że zebrało się sporo pytań, na które powinienem poszukać odpowiedzi. No i czułem, że będę musiał skorzystać z czyjejś pomocy, bez tego się nie obejdzie.

– Pan też go szuka? – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się gwałtownie. Nie lubię takich niespodzianek. Przede mną stał sześćdziesięcioletni mężczyzna. Jego policzki pokrywała siwa szczecina, uśmiechał się do mnie, ukazując uzębienie, które natychmiast skojarzyło mi się ze slalomem. Tyczka – odstęp – tyczka – odstęp, i tak szusujesz do końca.

– Tego pana Daniela pan szuka. – Znów się uśmiechnął i wskazał głową okno. – Czyż nie?

– Czyż tak – odpowiedziałem. – Jestem jego przyjacielem. A co to znaczy, że też go szukam? To szukał go ktoś jeszcze?

Nie odpowiedział, tylko zastygł bez ruchu i wpatrywał się w okno Okońskiego tak intensywnie, jakby spodziewał się, że powędruje tam Matka Boska z kapliczki.

Oto, dlaczego noszę bojówki. Sięgnąłem do jednej z przepastnych kieszeni i wyjąłem paczkę papierosów. Sam nie palę, ale przez lata nauczyłem się, że ludzie dzięki fajkom stają się nieco rozmowniejsi. Wysunąłem papierosa i wyciągnąłem rękę z paczką w stronę mężczyzny.

Ani drgnął.

Westchnąłem i podałem mu całą paczkę. Bez słowa schował ją do kieszeni, a jednego papierosa włożył do ust.

– Masz pan ogień? – Klepnął się po kieszeniach. – Pytał o niego jeden. Taki przyjaciel jak i pan.

Nie miałem zapalniczki ani zapałek. Przy kapliczce płonęła lampka. Sięgnąłem po nią i podstawiłem ją pod papierosa. Mężczyzna roześmiał się, przeżegnał i wciąż trzymając papierosa między palcami, pogroził mi, westchnął i zapalił.

– Urwis z pana. Tak, z tydzień temu to było. Pytał mnie, czy widziałem pana Daniela ostatnio. Taki wysoki, szczupły, koło czterdziestki pewnie, wyższy od pana o głowę, o tyle.

Uniósł rękę nad moją głową.

– O coś jeszcze pytał?

– Nie. Ale wiesz pan co? On potem wsiadł do samochodu. Takiego nowiutkiego. Cacko, ale marki nie zapamiętałem. I dziwnej muzyki słuchał.

– Samochód Daniela jest gdzieś tu?

– Nie ma. Pan Daniel po drugiej stronie ulicy go trzymał, tam, na parkingu. Z psem tam chodzę, to patrzę sobie. Jego samochodu na pewno tam nie ma.

– A ten facet… Co to znaczy, że słuchał dziwnej muzyki?

– No bo na ogół, jak gówniarze tu podjeżdżają, to rap jakiś czy hip-hop wrzucają, łupanina taka, ja się na tym nie znam. Zresztą rap to mam w domu, jak mi stara ujada.

– No, a tamten?

– A tamten jakieś opery czy symfonii słuchał. Takie to…

Chciał powiedzieć coś jeszcze, a może by i zaśpiewał, ale w kamienicy po prawej stronie otworzyło się okno, z którego dobiegł wrzask. Dowiedziałem się, że mój rozmówca ma na imię Henryk. A chwilę później wiedziałem też, kim, zdaniem krzyczącej kobiety, była jego mamusia.

– Nie mów tak do mnie bezludna kurwo, bo ci ubliżę! – odkrzyknął Henryk. – Rozłożył bezradnie brudne ręce, jakby chciał powiedzieć: „Sam pan widzisz”, zaklął pod nosem, grzecznie podreptał w stronę klatki i tyle go widziałem.

Raz jeszcze spojrzałem na kapliczkę. Płomień u stóp Madonny syknął, lampka zgasła, a wątła nitka dymu zygzakiem wzbiła się ku niebu.

13

Gdy wróciłem na Jazdów, koło furtki czekała dziewczyna, a ja wiedziałem, że jej odwiedziny nie wróżą niczego dobrego. Widzieliśmy się cztery, może pięć razy. Zawsze wtedy, gdy mojemu bratu się pogarszało i gdy ona zamierzała oświadczyć: „Dość, nie dam dłużej rady”.

– Już miałam sobie pójść. – Przygryzła wargę w charakterystyczny dla siebie sposób i uśmiechnęła się.

Dziewczyna o Smutnym Uśmiechu. Tak ją nazywałem. Dziewczyny, z którymi wiązał się mój dzielny, wojujący po całym świecie brat, nazywałem na indiańską modłę. Większość z tych określeń nie nadaje się do publicznego przytoczenia, Dziewczyna o Smutnym Uśmiechu stanowiła chwalebny wyjątek.

– Miło cię widzieć – mruknąłem i weszliśmy do domu.

Stanęła na środku pokoju i rozglądała się niepewnie,

jakby była u mnie pierwszy raz. Zaproponowałem coś do picia, odmówiła, usiadła i znów przygryzła wargę. Nalałem sobie lodowatej wody mineralnej i wkroiłem do niej limonkę. Chciałem dać dziewczynie trochę czasu, sam nie do końca wiem na co. Z Mikołajem nie rozmawiałem, od kiedy pokłóciliśmy się przez telefon. Zasugerowałem wtedy, a była to tylko luźno i beztrosko rzucona uwaga w moim stylu, że może powinien jednak pójść na terapię do ośrodka zamkniętego, że to nic szczególnego i może spotka tam kolejną kobietę swego życia, taką charakterną w stylu siostry Rachel z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Zapomniałem powiedzieć, że mój brat z kolejnych misji, od Iraku w 2004 roku poczynając, a potem z wypraw fotoreportera wojennego, cenionego przez najlepsze światowe magazyny i agencje, przywiózł nie tylko pogłębiające się milczenie, samotność i zdjęcia, ale także PTSD – zespół stresu pourazowego, którego doświadczał w różnych stadiach i odmianach.

Porucznik w stanie spoczynku Mikołaj Hłasko był żywym dowodem na to, że w człowieku mogą zagnieździć się demony wojny. Że może w nim zamieszkać pełne bestiarium. Był też ilustracją powiedzenia, że każda pomyślna passa kiedyś się kończy. W dobrych czasach w niewielkim domku, który obaj odziedziczyliśmy po rodzinie mamy, urządził sobie ciemnię, choć dzisiaj, w dobie wszechwładnych cyfrówek, mało który fotograf korzysta z takiego miejsca. Teraz tę przeklętą i nieużywaną ciemnię traktowałem jak metaforę jego pogarszającego się stanu, podobnie jak znajdujący się w pobliżu domu zrujnowany, od wielu lat niedziałający i straszący przeszłością szpital psychiatryczny.

– On cierpi – odezwała się wreszcie. – Bardzo cierpi.

– Coś się wydarzyło?

Patrzyłem na nią uważnie. Pojawiła się przed rokiem. Miała być kolejną pielęgniarką, która zajmie się Mikołajem, a stała się kimś więcej. Nie do końca rozumiałem tę relację, mój brat uparcie milczał, a ja nie miałem ochoty drążyć tematu. Nie moja sprawa. Mikołaj zawsze miał upodobanie do efemerycznych, lejących się przez ręce kobiet, podczas gdy ja wolałem raczej typ sprężysty i sportowy. Substancjalnie to taka różnica, jak między jedzeniem sushi i sznycla wiedeńskiego. Pamiętam, że obruszył się, gdy mu to powiedziałem.

– Poza tym, że ostatnio wdrapał się na dach i szukał miejsca, z którego mógłby oddać celny strzał, nic nadzwyczajnego. Ale znam go, i widzę, że cierpi bardziej. Nie wiem… nie wiem już, jak mu pomóc.

Przysunąłem moje krzesło do jej krzesła. Nasze kolana stykały się i poczułem ciepło jej ciała. Dotknąłem jej ramienia.

– Ale chcesz mu pomóc? Nadal chcesz?

Pokiwała głową.

– Myślę, że robisz wszystko, co można. Spróbuj namówić go na terapię w szpitalu. Może ty go przekonasz.

– Nie chce o tym słyszeć. Ostatnio… Ostatnio, gdy…

Nie dokończyła. Dopiero teraz, z bliska, zauważyłem, że spod makijażu przebija żółty ślad na policzku.

– Uderzył cię?

Nie odpowiedziała.

Najwyraźniej melancholia i milczenie odsłaniało tylko jedną twarz mojego brata. Okazało się, że jest i druga. Czułem przez skórę, choć nigdy

tego głośno nie powiedziałem, że to agresywne oblicze kiedyś weźmie górę.

– Chcesz, żebym ci pomógł? Mam z nim porozmawiać?

Znów pokiwała głową.

– Tyle że on nie chce z tobą rozmawiać. Powiedział, że zamierzasz zamknąć go w wariatkowie i przejąć dom, bo stąd cię wyrzucą.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak.

Zaschło mi w gardle. Upały w tym roku są jednak nieznośne. Nalałem sobie wody. „Zobacz, jaki fajny domek", usłyszałem przez otwarte okno dziecięcy okrzyk zachwytu. „Tak, ciekawe, na czym się dorobił", odpowiedział męski głos. Wyjrzałem. Wzorcowa czteroosobowa rodzina patrzyła na mnie jak na zoologiczny okaz. Zresztą osiedle domków fińskich na Jazdowie jest właściwie ogrodem zoologicznym w sercu miasta. Chciałem im coś odpowiedzieć, wykrzyczeć albo chociaż wysunąć w ich stronę środkowy palec, ale dałem sobie spokój. Pomyślałem o bracie.

– Jak sobie radzicie? – zmieniłem temat.

– Ciężko jest – wydusiła dziewczyna po dłuższej chwili. – Czasem ktoś zgłosi się po jakieś zdjęcie. Ale ostatnio cisza. Mikołaj powiedział nawet, że znów musi pojechać w teren… Na jakąś wojnę…

– A ty mu zagroziłaś, że gdy wróci, to ciebie już nie będzie.

Wstałem i poszedłem do drugiego pokoju. Po chwili wróciłem, trzymając w ręku garść banknotów. Wiem,

wyglądało to fatalnie, ale w tym momencie miałem to gdzieś. Zupełnie jakbym tymi pieniędzmi chciał wybielić siniaka na jej twarzy i zatuszować wyrzuty sumienia. A może naprawdę uważałem, że lepiej kogoś kupić, niż uprawiać tani szantaż emocjonalny. Sam nie wiem. Miałem mętlik w głowie.

– Weź, bardzo cię proszę. Weź. – Zacisnąłem jej dłoń na banknotach. – On ma tylko nas. Teraz bardziej ciebie niż mnie. Jeśli uznasz, że już nie dajesz rady… Zrozumiem to. Naprawdę.

Bałem się, że wybuchnie albo się na mnie rzuci. Lub przynajmniej popatrzy z pogardą. Odbierze to jako kolejne upokorzenie, jakie spotkało ją ze strony braci Hłasków. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wstała bez słowa, jakby była w transie. Popatrzyła na mnie jak na powietrze i wyszła.

14

Musiałem odreagować stres. Obejrzałem kolejny odcinek *House of Cards* i znów podziwiałem aktorkę grającą żonę Kevina Spacey. Smakowałem ten kobiecy chłód, bezwzględność i wyrachowanie, które były przeciwieństwem krystalicznie czystej bezradności, z jaką się dziś zetknąłem. Poczułem głód, a ponieważ lodówka świeciła pustkami, udałem się na spacer, na Polną koło klubu Remont, by odstać swoje w kolejce, a następnie kupić w okienku belgijskie frytki. Mówią, że to najlepsze miejsce w Warszawie. Odzyskałem energię i mogłem wrócić do moich spraw. A najlepiej myśli mi się, gdy leżę.

Musiałem odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Pierwsze zadała Helena Popławska. „Kto dziś jeszcze wysyła pocztówki?”. Zwłaszcza gdy nie robił tego przez dziesiątki lat. Nie jestem grafologiem, nie znam się na badaniu pisma, ale mogłem przyjąć, że pocztówkę rzeczywiście wysłał Okoński. Jakby chciał zostawić czytelny ślad. *Esse est percipi*. No właśnie. Tylko po co? I gdzie jest teraz? Bo przecież nie w Pradze. Pozostawała jeszcze ewentualność, i wcale jej nie wykluczałem, że ktoś go zmusił do napisania tych kilku słów. Dzięki nim zniknięcie przemieniało się w zwykły turystyczny wyjazd, nikt nie podniesie alarmu, a już z pewnością nie zgłosi zaginięcia. Wszystko wskazywało na to, że Helena Popławska z jakichś powodów trzyma się z daleka od policji i wszelkich możliwych służb, ale serce matki to serce matki i niepokój mógłby wziąć górę nad niechęcią do gości w mundurach. Widziałem już takie historie.

Wiele przemawiało za tym, że Daniel Okoński nie zniknął z własnej woli. Facet prowadzi uporządkowane, pedantyczne życie, ma dobrą robotę, dostaje niezłe zlecenie i nagle rezygnuje z tego, co z takim trudem zdobył. Z drugiej strony jednak widział się z matką, przekazał klucze i Jobsa-Hioba, planował więc dłuższy wyjazd. Coś tu nie grało.

Pytań było więcej. Ktoś, już pod jego nieobecność, zabrał z mieszkania laptop i wszelkie nośniki. Czy to możliwe, by trzydziestolatek, który chce zatrzeć ślady, nie zabrał albo nie ukrył laptopa? Mało prawdopodobne. Zatem albo nie zdążył, albo bał się wrócić do domu. I kim był ten mężczyzna, miłośnik muzyki klasycznej, który go szukał? Znów spojrzałem na zdjęcie dziewczyny. Jasne tło, żadnego punktu zaczepienia, który pozwoliłby określić, w jakich okolicznościach je zrobiono. Może coś więcej powiedzą mi koledzy Okońskiego. Wstałem i odszukałem adres firmy PolisPro Poland. To będzie mój następny ruch.

Im dłużej myślałem o Okońskim, tym wyraźniej docierało do mnie, że całe to uporządkowane życie, z równo jak pod sznurek ustawionymi kosmetykami i książkami, może okazać się fasadą. Powoli wychwytywałem trudny do określenia dysonans. Spojrzałem na trzy plakaty wiszące na ścianie naprzeciwko kanapy. Dwa powiesił mój ojciec, ale najwyraźniej z jakichś względów pasowały też do mnie, skoro ich przez te wszystkie lata nie zdjąłem. Na jednym, stworzonym przez genialnego Renato Casara, widniała finałowa scena z *Casablanki*. To był ulubiony film mojego starego. Bogart, jedna ręka w kieszeni prochowca zaciśnięta na kolbie pistoletu, w drugiej zapalony papieros, w tle Ingrid Bergman jako uosobienie niewinności w białych rękawiczkach, wsparta o samochód, a na drugim planie zarys samolotu. W tej scence przeniesionej na plakat tliła się cała dramaturgia filmu. A być może zawarto też w nim tę dawkę szlachetnego cynizmu, z którym jakoś mi po drodze. Drugi plakat to też rarytas. Kazimierz Deyna w koszulce Legii z lat siedemdziesiątych i ledwie widoczny po kilkudziesięciu latach autograf maźnięty niebieskim długopisem. Tak, bywałem na Żylecie jako młody chłopak, ale Deyny oczywiście w akcji nigdy nie widziałem. Odkąd nad Łazienkowską rozbłysnął znak Pepsi, odpuściłem sobie kibicowanie. Poza tym jakoś mi nie po drodze z wygolonymi byczkami podskakującymi rytmicznie i zwróconymi plecami do boiska, a od święta zapalającymi znicze żołnierzom wyklętym. Nie moje klimaty. Trzeci plakat kupiłem sam. Była to reprodukcja obrazu Edwarda Hoppera *Midnight Hawks*. Kilka samotnych postaci w barze, który za chwilę zamkną. Ostatni drink tej nocy. Wieczorami długo wpatrywałem się w tę scenkę z życia miejskiej dżungli i wymyślałem różne dialogi między namalowanymi bohaterami. Mężczyźni w kapeluszach. Trochę jak detektywi z czarnego kryminału, trochę

podrywacze spragnieni kobiecego towarzystwa. Czasami przypatrywałem się tym postaciom z zewnątrz, ale niekiedy czułem, jakbym znalazł się w środku akcji, a Hopper, nieświadomy przecież mojego istnienia, tworzący w innej epoce i innym miejscu, opowiedział coś ważnego o mnie.

No właśnie. Plakaty wiszące u Okońskiego coś o nim mówiły. I o ukrytej w nim młodzieńczej ekscytacji, która nie licowała z eleganckimi garniturami wiszącymi w szafie. Pal licho Steve'a Jobsa. Zastanawiała mnie Nirvana. Nie znam się zbyt dobrze na muzyce, ale tak, to musiało być ze dwie dekady temu, gdy Kurt Cobain stał się idolem, a następnie strzelił sobie w łeb. Okoński miał wtedy z dziesięć lat. I wówczas ten plakat powinien wisieć u niego na ścianie. No i jeszcze chomik. Który trzydziestolatek trzyma chomika? To nie miało sensu.

Usłyszałem sygnał komórki. Numer prywatny. Odebrałem od razu, jakbym przeczuwał, kto się odezwie po drugiej stronie.

– Jak postępy? – zapytała.

– Myślałem, że o tej godzinie śmiga pani na motocyklu na Żeraniu w nielegalnych wyścigach.

Roześmiała się.

– Za wcześnie. Wyścigi zaczynają się w nocy. Jak panu idzie?

– Melduję, że Daniel Okoński był w Pradze. Nie „na" Pradze, tylko „w" Pradze. Przynajmniej wszystko na to wskazuje. Wiecie o tym?

– W Pradze? – A więc nie wiedzieli albo udawali, że nie wiedzą. – Co tam robił?

– Pojechał wysłać pocztówkę. Takie ma hobby. A jego mieszkanie odwiedził pewien mężczyzna, wielbiciel poważki.

– Czego?

– Muzyki poważnej.

Opisałem faceta.

– To ktoś od was?

– Nie. – W jej głosie wyczułem wahanie. – Czy potrzebuje pan pomocy?

– Nie. Chociaż właściwie tak. Zamierzam wybrać się jutro do tej firmy, jak to tam szło… PolisPro Poland, i pogadać, z kim trzeba, a oni zawsze w takich miejscach sprawiają wrażenie cholernie zajętych. Może ułatwicie mi wejście, a pan Król użyje swoich potężnych wpływów, bo inaczej…

– Bo inaczej co?

– Bo inaczej będę musiał tam kogoś uderzyć albo zastraszyć… Poleje się krew. Sama pani rozumie.

– Nie, nie rozumiem, ale spróbujemy coś z tym zrobić.

– Aha, jeszcze jedno. Wie pani, nie mogę jakoś ogarnąć tej przestrzeni wokół i może przydałoby się spojrzenie perfekcyjnej pani domu. Pomyślałem, że mogłaby pani na tym śmigaczu…

– Dobranoc – przerwała mi i się rozłączyła.

Przewracałem się z boku na bok i nie mogłem zasnąć. Coś w sprawie Okońskiego nie dawało mi spokoju. A może nasłuchiwałem warkotu motocykla? Przysnąłem, ale mój mózg wciąż chyba pracował na pełnych obrotach, bo nagle otworzyłem oczy.

Dlaczego Okoński? Dlaczego tak się nazywa? Dlaczego nie Popławski? Może to ważne, a może bez znaczenia. Powtórzyłem te pytania raz jeszcze, jakbym nie chciał ich zapomnieć.

A potem zasnąłem i spałem do rana.

15

– Czujesz?

Poprowadził mnie w stronę ogrodzenia, gdzie stał kontener na śmieci.

– Nic nie czujesz? – Przypatrywał mi się zza grubych szkieł.

– Nic.

– To dobrze. – Odetchnął z ulgą. – Jest szansa, że ona też nie wyczuje.

„Ona” była w jego wieku, koło czterdziestki, i miała w sobie tyle delikatności i subtelności, ile zamek typu Gerda. Poza tym była wspaniała, tak jak on. Małżeństwo byłych policjantów. Bożena i Czesław. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś użył tych imion. Bonnie i Clyde. Tak ich nazywałem.

Jest grono osób, które mnie nienawidzą. Jest też grupka tych, którzy coś mi zawdzięczają. Numery telefonów tych ostatnich staram się pamiętać. Są czymś w rodzaju mojej polisy na życie. Ale po kolei.

Dziś zrezygnowałem z porannego biegania. Po wysłuchaniu seta reklam, w których wciąż powtarzały się słowa „hemoroidy”, „prostata”, „dojrzały mężczyzna”, zrezygnowałem ze słuchania radia. Przez pół godziny dręczyłem ciało TRX-em i w tym czasie przyszła wiadomość. Odsłuchałem ją, popijając kawę. Ten sam głos, który umilił mi wczorajszy wieczór. Tak, Andrzej Matus, szef PolisPro Poland przyjmie pana. Zrobi to mimo nawału zajęć i pilnych zobowiązań. Wyczułem lekkie rozbawienie, a może po prostu chciałem je usłyszeć. Zapisałem nazwisko i teraz sam wykonałem dwa telefony. Spróbowałem raz jeszcze dodzwonić się do Monique i tym razem odbiłem się od jej cudownego akcentu zachęcającego do pozostawienia wiadomości. A potem sięgnąłem po moją starą wysłużoną nokię. W ciągu ostatnich lat dzwoniłem z niej tylko na siedem numerów, które znałem na pamięć. Jeden z nich należał do Clyde’a.

– Więc naprawdę nic nie czujesz? – spytał.

Podeszliśmy do kontenera. Zobaczyłem kawałek mięsa rozłożonego na folii aluminiowej. Clyde machnął ręką i w powietrze wzbiło się kilka much.

Skrzywiłem się.

– Jest szansa. – Otarł pot z czoła. – Poprzednie dwa ochłapy zjadł pies sąsiadów, mały czarny skurwysynek. Ale teraz wzmocniłem siatkę.

Rzeczywiście, narożnik ogrodzenia szpeciły nierówno ułożone deski. W konkursie na najbrzydszy ogród Bonnie i Clyde byliby na szczycie listy.

– Dzwoniłem już do znajomego profesora z Poznania.

Powiedział mi: „Panie Czesławie, gdy tylko pojawią się żółte łebki, proszę mięcho przywozić”. – Zatarł ręce.

– I co wtedy zrobicie?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– No jak to co? Wrzucimy to mięso do trupska. W ciało jakiegoś *no name’a*. Prześledzimy proces inkubacji. Każdy ma taką trupią farmę, na jaką sobie zasłużył.

Odetchnąłem głęboko. Może nawet poczułem, że resztki kawy wracają mi do przełyku.

– No to mam nadzieję, że żółte łebki nie pojawią się w ciągu najbliższych godzin, bo jest sprawa – powiedziałem.

Weszliśmy do domu. Panował w nim idealny porządek kontrastujący z burdelem w ogrodzie. W kuchni grało niewielkie radyjko tranzystorowe. Każde muzeum techniki chciałoby mieć w swoich zbiorach coś takiego. Trzeszczało, a jakaś staruszka trzęsącym się głosem opowiadała o przeżyciach sprzed miesiąca, gdy na Stadionie Narodowym widziała ojca Boshaborę. Na koniec przypomniała o zbliżającej się miesięcznicy katastrofy smoleńskiej. Clyde słuchał takich audycji. Wolno mu. Jest w końcu u siebie. Mówił, że gdy słucha radia, czuje więź z kosmosem. Obiecałem sobie już dawno temu, że jakoś zniosę jego dziwactwa.

Poznaliśmy się w czasach, gdy pracowałem w Biurze Spraw Wewnętrznych. Bonnie i Clyde, młode małżeństwo policjantów, zajmujące się przestępstwami gospodarczymi, brało w łapę. Dowody wydawały się mocne. Na tyle, że zawieszenie w czynnościach dopiero zwiastowało lawinę kłopotów. Czasem jednak trzeba mieć w życiu szczęście i Bonnie z Clyde’em wyciągnęli właściwy los, bo to ja prowadziłem ich sprawę. Inny pewnie by odpuścił, ale uparłem się, że dwoje ludzi tak odklejonych od świata i kolegów z firmy i tak zapatrzonych w siebie, to nie jest

właściwy trop. Po miesiącach okazało się, że miałem rację. W tę sprawę byli zamieszali zupełnie inni ludzie, w tym jedna szycha, a dowody spreparowano po mistrzowsku. Nie śledziłem, co się stało z tamtymi, choć może powinienem wiedzieć, co robią ci, którym zniszczyłem kariery i wygodne życie.

Potem Clyde wyjechał do Stanów, a ponieważ nieszczęścia chodzą parami, ten mężczyzna o rybich ustach i w okularach ze szkłami jak denka od butelek, wyglądający na podstarzałego nerda, o ile w ogóle wiedziałem coś na temat typowych nerdów, wylądował w areszcie stanowym podejrzany o napad na bank. Do końca nie wiem, jak się w tę sprawę wmieszał, nie mam też pojęcia, jak się z niej wyplątał, a już w ogóle nie rozumiem, dlaczego na pożegnanie dostał od współwięźniów to małe radyjko wciąż produkowane przez firmę Sony z myślą o jedynej grupie docelowej. Przezroczysta obudowa sprawiała, że nic nie można było w środku ukryć. Energooszczędność powodowała, że jedna bateryjka starczała na wiele godzin, a resztę kasy więźniowie przeznaczali na fajki.

– Jest sprawa – powtórzyłem i przeszliśmy z kuchni do pokoju.

Nawet w ciągu dnia zawsze były tu opuszczone rolety i pomieszczenie rozjaśniało tylko mdłe światło z ekranu komputera oraz kilku laptopów. Klimatyzator pracował cicho. Usłyszałem lekkie skrzypnięcie, gdy Clyde zagłębił się w fotelu. Wydawało się, że przed monitorem przechodzi jakąś przemianę. Kojarzył mi się z niewinną postacią z kreskówek, której nagle wręczono magnum 44.

Wyjaśniłem, o co chodzi. Daniel Okoński. Lat trzydzieści. Powiedziałem wszystko, co wiem, a nie wiedziałem zbyt wiele. Clyde wklepywał jakieś dane, a robił to jak sprawny pianista grający etiudę Chopina.

– Znajomi jacyś? – zapytał. – Okońskich jest jak psów. Chwilę to potrwa. W pierwszym strzale nic nie wyskakuje.

– Nic nie wiem o znajomych. Jest pewna dziewczyna, ale mam tylko jej zdjęcie. Aha, poszukaj też pod Daniel Popławski. To nazwisko jego matki. Może coś wyskoczy.

Umówiliśmy się na telefon. Wiedziałem, że jestem tu zbyteczny. Clyde zastygł nad klawiaturą i wyglądał jak zwierzę, które chwyciło trop. W tym momencie miliony bajtów i pikseli wygrywały z żółtymi łebkami. Wycofałem się, odpaliłem samochód i pojechałem do centrum.

16

Zbliżało się południe i mimo że były wakacje, straciłem kwadrans, by znaleźć wolne miejsce w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Puławskiej. Siedzibę PolisPro Poland znalazłem bez trudu. Po prawej stronie sklep z winami, po lewej, w przeszklonym skrzydle, biuro producenta filmowego, kancelaria adwokacka i firma, której szukałem. Trzy błękitne litery PPP na złotawym tle.

Takie same litery ozdabiały recepcję. Drobna brunetka w śnieżnobiałej bluzeczce uśmiechnęła się do mnie, otaksowała mnie spojrzeniem, szybko wykluczyła z grona potencjalnych klientów, a ja wiedziałem, co powie. Rozejrzałem się. Moją uwagę przykuł napis wysmażony wyszukaną czcionką. „Świat byłby lepszy bez polityków. Ale skoro tak nie jest, niech przynajmniej politycy będą lepsi”.

– Dzień dobry. – Odchrząknęła. – W czym mogę pomóc?

– Chciałbym być lepszy.

Otworzyła szeroko oczy.

– Chciałbym, by uczyniła mnie pani lepszym. – Zbliżyłem się do lady.

Wreszcie załapała.

– No… nie wiem, czy to możliwe…

– A czy pan Matus mógłby uczynić mnie lepszym? Chciałbym się z nim.

– Obawiam się, że nie – przerwała mi i zrobiła zatroskaną minę. – Niestety, szef ma…

– Mnóstwo zaplanowanych spotkań i zobowiązań – tym razem ja wszedłem jej w słowo. – Między innymi ma zaplanowane spotkanie ze mną.

– Pana godność? – Ściągnęła brwi i spojrzała na ekran komputera.

– Proszę powiedzieć, że przybył wróżbita Maciej. A jeśli da mi pani rękę, też chętnie powróżę.

Zacisnęła odruchowo piąstkę, ukrywając paznokcie pomalowane ognistym czerwonym lakierem.

Uznałem, że czas wygłupów się skończył, i podałem jej wizytówkę. Minutę później znalazłem się w królestwie PPP.

Była to kraina ludzi energicznych. W pomieszczeniu podzielonym na cztery duże boksy kotłowało się kilku młodych mężczyzn, a zza uchylonych drzwi dobiegała ożywiona rozmowa. Straż pożarna postawiona w stan gotowości mogłaby im pozazdrościć, trenerzy fitnessu także. Jeden podbiegł do mnie i potrząsnął moją ręką. Bardzo energicznie.

– Szef zaraz pana przyjmie. Mamy dziś sytuację kryzysową.

Pchnął mnie w stronę kanapy i dokądś pognał. Na ekranach dwóch telewizorów umieszczonych na wysięgnikach migały kanały informacyjne. Żółty pasek z napisem: „Pilne” dotyczył jakiegoś pożaru. Informacja się rozwijała, gdy stanął przede mną mężczyzna w niebieskim garniturze.

– Bardzo przepraszam. – Spojrzał na zegarek, jakby ten gest miał wszystko wyjaśniać. – Andrzej Matus. Zapraszam pana do gabinetu.

Fetyszyści, motocykliści i inni wielbiciele skór byliby wniebowzięci. Usiedliśmy przy małym stoliczku na skórzanej kanapie, co miało nadać naszej rozmowie niekrępujący charakter. Ale by nie było tak familarnie, z olbrzymiej fotografii umieszczonej na ścianie patrzył na mnie pan prezydent ściskający dłoń mojego gospodarza. Matus zaproponował kawę, a ja grzecznie odmówiłem.

– Co to znaczy, że macie dziś sytuację kryzysową? – spytałem.

Twarz Matusa o jasnej cerze była zaczerwieniona, a włosy na czole sklejone potem. Wyglądał jak rozemocjonowany kibic, który ogląda mecz ulubionej drużyny.

– To znaczy, że klient zgłasza się do nas w sytuacji, gdy nie można już rozbroić bomby. Bomba wybuchnie, no więc próbujemy kierować odłamki w inną stronę albo przynajmniej zmniejszyć siłę rażenia. Rozumie pan?

– Nie jestem pewny…

– A teraz jeszcze – wydawało mi się, że Matus mówi do siebie, ignorując moją obecność – mieliśmy sesję kju and aj.

– Co mieliście?

Dopiero teraz dotarło do niego, że nic nie rozumiem. Sięgnął po pilota leżącego na szklanym stoliczku i włączył telewizor.

– Jan Długosz – powiedział i rozluźnił węzeł krawata. – Mówi to panu coś?

– *Kronika Polska* – odpowiedziałem z dumą, jakbym występował w teleturnieju.

– Nie ten. – Matus machnął ręką. – Polityk. Ultrakatolicki. Nazywają go Jan Paweł Długi, wiedział pan?

Nie wiedziałem.

– No więc – ciągnął – mamy sytuację kryzysową. Żona oskarżyła go o znęcanie się.

– A znęca się?

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiedział Matus pytaniem. – Niech pan jednak pomyśli: ultrakatolik, wartości rodzinne… Kju and aj – poprawił się w fotelu – to *questions and answers*. Pytania i odpowiedzi. Za chwilę będzie briefing Jana Pawła Długiego, a my, jeszcze przed chwilą, telefonicznie, przygotowywaliśmy go na trudne pytania.

Na ekranie pojawiła się twarz sześćdziesięcioletniego mężczyzny i kilka mikrofonów podsuniętych mu pod usta. Matus podgłośnił.

– Sami państwo możecie ocenić – polityk patrzył prosto w kamerę – czy te rewelacje można uznać za wiarygodne. Dokładnie takie same zarzuty moja żona stawiała poprzedniemu mężowi – zamachał jakimiś papierami – i prokurator nie dał im wiary. Mam wrażenie, że ta oszczercza kampania nie przypadkiem rozpoczęła się w chwili, gdy wystąpiłem z inicjatywą stworzenia na Trakcie Królewskim kalwarii smoleńskiej i umieszczenia stacji pątniczych złożonych z fragmentów.

Matus wyłączył głos.

– No, tak to mniej więcej działa. Inaczej mówiąc, chodzi o to, by stworzyć taką narrację, która przykryje inną narrację. Strategia świeżej krwi, na którą rzuci się dziennikarska horda – powiedział z wyraźnym uczuciem wyższości. Sam pewnie kiedyś był dziennikarzem. – Ale rozumiem, że pan nie przyszedł w tej sprawie?

– Nie. Nie interesuję się kalwarią smoleńską. Jak pan zapewne wie, ktoś niepokoi się losem Daniela Okońskiego. Pan nie sprawia wrażenia szczególnie zatroskanego tym, że zniknął pański pracownik.

Matus wyprostował się w fotelu. Pierwszą rundę mieliśmy za sobą. Zaczynało się kolejne starcie.

– Nie jestem pewny, czy jest pan właściwą osobą, by oceniać, co czuję.

– Dobra, przepraszam. – Machnąłem ręką. – Nie było pytania. Proszę powiedzieć: długo u pana pracował?

– Cztery lata. Jak na tę branżę, to długo. Zaczynał jak prawie każdy. Studiował stosunki międzynarodowe i wypatrzył go jeden z wykładowców. Mamy takich swoich łowców głów. Odwdzięczamy się, potem ci wykładowcy prowadzą u nas szkolenia. Za dobre pieniądze. Daniel kręcił się przy partyjnych młodzieżówkach, nosił teczkę za jakimś posłem, ale uznał, że nie tędy droga. Trafił do jednej firmy z branży, potem do większej, wreszcie do nas, a my, bez fałszywej skromności, jesteśmy największym…

– Dobry był?

– Czy był dobry? – Matus popatrzył mi w oczy. – Był świetny! Miał rewelacyjne pomysły. Pamięta pan Rydzaka, tego przedsiębiorcę z Krakowa? Facetowi zrujnowano życie bezpodstawnymi oskarżeniami, podważono jego wiarygodność biznesową, a takie błoto, gdy raz przylgnie, to szybko się nie odklei. I wie pan, co wymyślił Okoński? Owce.

– Owce?

– Owce. Wymyślił, żeby Rydzak, bezpodstawnie niszczony i napiętnowany, zajął się hodowlą owiec. Żeby powiedział, że jest spełniony i przeżył życie jak należy. Owieczki. Łagodność. Niewinność. Biel. Dobroć. Tak tworzyliśmy wokół Rydzaka pozytywną aurę, rozumie pan? No i udało się go wizerunkowo odbudować.

– Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nie martwi pana zniknięcie takiej gwiazdy.

Szef PolisPro Poland odetchnął głęboko i pomasował się po brzuchu.

– Widzi pan, tajemnicą naszego sukcesu jest to, że pracujemy zadaniowo. Ja nikogo z godzin nie rozliczam. Ma robić swoje. Kropka. I za to płacę. Dobre pieniądze. A Daniel w maju powiedział mi, że dostał prywatne zlecenie i przez chwilę będzie miał mniej czasu.

– Mówił, co to za zlecenie?

– Nie. A ja nie pytałem.

Jak na moje wyczucie, powiedział to zbyt szybko.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie dziewczyny.

– Wiem pan, kto to jest?

Popatrzył z zainteresowaniem.

– Nie. Nie znam jej. A powinienem?

– Zdaje się, że niewiele pan wie o swoim pracowniku… Nie chodziliście razem do pubu? Nie oglądaliście Euro?

– Może pana zaskoczę, ale nie piję alkoholu. To jedna z tajemnic mojego sukcesu. Szczególnie zaskoczeni są politycy, ale to szanują. Nie blatuję się, nie potrzebuję zapasowej wątroby, zachowuję niezależność…

Rozległo się ciche pukanie, a w mojej kieszeni zawibrował telefon. Ten, z którego dzwonię na siedem numerów. Weszła drobna brunetka z tacką, a ja odczytałem wiadomość:

Na razie nic. Dziwne. Jest na zdjęciach z Piotrem Markiewiczem, dziennikarzem. C.

– Kawa dla pana prezesa – powiedziała dziewczyna.

– Jeśli pani chce – schowałem telefon do kieszeni – mogę powróżyć z fusów.

Jedną rękę zacisnęła na pustej tacy, a palce drugiej znów zwinęła w piąstkę i wyszła.

– No to niewiele mi pan pomógł. – Przeciągnąłem się leniwie na kanapie. – Znakomita skóra. – Pogładziłem obicie. – A kto to jest Piotr Markiewicz?

Matus drgnął. Strzał był celny. Tym razem nie mógł się wycofać.

– Taki dziennikarz. – Skrzywił się. – Rzeczywiście, przypominam sobie, Daniel mówił coś o nim raz czy dwa. Gdzieś razem byli…

– Wie pan, gdzie go znajdę?

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że namierzy go pan bez problemu w jakiejś modnej knajpie albo klubie. A czy ja mogę zadać panu pytanie?

Kiwnąłem głową.

– Jan Król to mocna postać. Mało o nim wiadomo, ale to niezły zawodnik. Gdyby nie jego telefon, nie rozmawialibyśmy. Dlaczego pana do mnie przysłał i co Daniel ma z nim wspólnego?

Rozłożyłem ręce i wstałem.

– Nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości. Natomiast mam prośbę: gdyby miał pan jakąś wiadomość od Daniela, proszę dać znać. Pan Król się ucieszy. I z pewnością to zapamięta.

Nie wydawał się zmartwiony moją odpowiedzią. Z nowego skórzanego portfela wyjął wizytówkę. W tej branży, i paru pokrewnych też, mają taki

zwyczaj, że wciskają człowiekowi tę makulaturę na powitanie, zamiast „dzień dobry”. Matus sięgnął po pióro, dopisał prywatny adres e-mailowy i numer komórki. Chyba powinienem uznać to za najwyższy wyraz zaufania i dobrych intencji.

Uścisnął mi rękę, ale jego głowa powędrowała w górę, w kierunku telewizora.

– Znowu jakaś sytuacja kryzysowa? – zainteresowałem się.

– Nie. Czytam o tym pożarze.

Spojrzałem na przesuwający się pasek z informacjami, a na ekranie pojawiły się obrazki doszczętnie spalonego mieszkania.

– Straszna historia, nie? Dwie osoby nie żyją. Spłonął on i jego matka. Ten poseł, Wiślicki, może pan kojarzy. Piszą, że wadliwa instalacja była. Swoją drogą pomór jakiś tego lata. Najpierw Młynarczyka zastrzelili, teraz ten…

Być może chciał powiedzieć, że traci kolejnych potencjalnych klientów, ale problemy szefa PolisPro Poland niewiele mnie obchodziły.

CZĘŚĆ TRZECIA

17

Byłem głodny. Życie nie lubi przestojów i uwaga ta odnosi się zarówno do gastronomii, jak i innych dziedzin życia. Po latach panowania w Warszawie kebabów zaszła zmiana i do łask powróciły hambuksy, a jedna z najbardziej znanych hamburgerowni znajdowała się przy ulicy Dąbrowskiego. Po trzech minutach szybkiego marszu byłem na miejscu. To już nie te czasy, co ćwierć wieku temu, gdy pojawiły się pierwsze budy z mięsem nie do końca wiadomego pochodzenia. Najlepszej jakości wołowina, bułki specjalnie zamawiane w piekarni albo pieczone na miejscu, starannie dobrane dodatki, burgerownie na kółkach podjeżdżające późną nocą pod oblegane kluby – tak to teraz wygląda.

Najpierw odstałem swoje w kolejce, by złożyć zamówienie, a gdy to zrobiłem, dowiedziałem się, że będę czekał około dwudziestu minut. Jak w porządnej restauracji. W każdym razie z fast foodem nie miało to wiele wspólnego. Usiadłem na wolnym miejscu, przy samej szybie, i obserwowałem uwijającą się w środku ekipę. Przypomnieli mi się ruchliwi garniturowcy z PPP, którzy równie energicznie przemieszczali się między swoimi boksami. Wszystko w ruchu. Takie czasy.

Zastygłem nad butelką lodowatej wody mineralnej i rozmyślałem.

Andrzej Matus to facet kuty na cztery nogi. Kłamstwo goniło kłamstwo. Widocznie weszło mu to w krew i w tej branży nie da się inaczej. Jeśli Okoński rzeczywiście był taki dobry, a w tym przypadku pan prezes chyba wyjątkowo powiedział prawdę, należało się zaniepokoić, popytać to tu, to tam, sprawdzić służbową pocztę. Może popełniłem błąd i powinienem pogadać z kimś niższego szczebla. Albo pognać z czerwonym lakierem do tej czarnej ślicznotki. Drugi raz Matus skłamał, gdy zapytałem, cóż tak pochłonęło Okońskiego, że odrzucił inne zlecenia. Po jakie złote runo postanowił się wyprawić? Coś tu się nie zgadzało. Z pewnością nie było to

zlecenie od tajemniczego biznesmena z okolic ulicy Romantycznej. Okoński dostał jakąś fuchę wcześniej, w maju, i nad nią pracował. A z kolei Matus sprawiał wrażenie człowieka, który lubi mieć wszystko pod kontrolą i wiedzieć, co się wokół dzieje. Różnie można określić ludzi, których u niego widziałem, ale z pewnością nie była to brygada luzaków pracujących z uśmiechem na ustach. O Piotrze Markiewiczu, tym dziennikarzu, też by nie wspomniał, ale go zaskoczyłem. Aby zachować wiarygodność, musiał coś powiedzieć. No i ciekawe, dlaczego pytał o Jana Króla. Odniosłem wrażenie, że była to zwykła ciekawość pomieszana z jakimś trudnym do uchwycenia lękiem. Pomyślałem ze złością o Monique. Nadal nic nie wiedziałem o moim tajemniczym pracodawcy.

Kilku szczęśliwców odebrało upragnione hamburgery. Jeszcze z dziesięć minut, i moja kolej. Odprowadziłem wzrokiem kobietę w kostiumie. Miała jak na mój gust zbyt szerokie biodra, a trzy torby z kanapkami, które niosła, nie wróżyły jej figurze niczego dobrego. Pożądasz tego, czego nie masz. Hambuks podany po dwudziestu minutach smakuje o niebo lepiej niż wysmażony w trzy minuty. Okoński miał dobrą pracę – patrząc na jego matkę, można nawet powiedzieć, że był dzieckiem szczęścia, skoro się od niej urwał. Powinien trzymać się kurczowo roboty, bo czasy ciężkie, i cieszyć z tego, co ma. A jednak jakaś pokusa okazała się silniejsza. Jaka?

Jeszcze pięć minut. Wyjąłem z kieszeni komórkę i zadzwoniłem do Clyde’a.

– Strasznie się spieszysz – powitał mnie, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

Clyde. Człowiek poza czasem i przestrzenią. Z dala od sytuacji kryzysowych i tempa fast foodów.

– Trochę. Zaraz dostanę hamburgera.

– No to krótko. Twój facet właściwie nie istnieje. Na fejsie cisza, na goldenlajnach i innych branżowych portalach także, na Instagramie i podobnych, o ile coś ci to mówi, też nie, chyba że coś przeoczyłem. Jako Daniel Popławski również nie figuruje. I powiem ci, że ta jego nieobecność, biorąc pod uwagę to, czym się zajmował, bardziej rzuca się w oczy, niż gdyby był w sieci.

– A ten Markiewicz? Wydaje mi się, że to dobry strzał.

– Z Markiewiczem to zupełnie inna historia. Lansik bez trzymanki. Facet sprawiał wrażenie, jakby miał łapy przyspawane do klawiatury.

– Dlaczego: „sprawiał”?

– A, to też ciekawe, jego aktywność nagle się urywa. Zaraz… Pod koniec czerwca. I od tamtej pory ani śladu.

– Możesz wskazać mi miejsca, w których bywał?

– Chłopie, a gdzie on nie bywał! – Clyde się roześmiał. – Ale już ci mówię… Plac Zbawiciela. Karma… To jakiś lokal. Karma pojawia się najczęściej… Są tu jakieś zdjęcia z Planu B. I coś z Powiśla… To ostatnio.

Magicy od hambuksów pomachali mi przez szybę. Odebrałem wytęsknioną zdobycz i moje zęby mogły się wreszcie w coś wbić, a dzięki Clyde’owi znalazłem punkt zaczepienia.

– Sprawdź mi, proszę, jeszcze dwóch facetów. – Wolną ręką odwijałem kanapkę. – Jeden nazywa się Andrzej Matus, jest szefem firmy, w której właśnie byłem. Drugi to Jan Król. Biznesmen. Koleś koło osiemdziesiątki. Daj mi znać i życz smacznego.

– I powiem ci, jak tam żółte łebki.

Zakląłem do słuchawki, a parka czekająca w kolejce na swoje szczęście spojrzała na mnie z niesmakiem.

Zrobiłem minę niewiniątka i zanurzyłem zęby w dobrze wysmażonej wołowinie.

18

Coś było nie tak. Zacząłem rozglądać się po moim małym domku i musiałem wyglądać jak spłoszone zwierzę.

Nie powiem, hamburger uśpił moją czujność, a drugi sprawił, że zaległem na kanapie. Trawiłem wołowinę i rozmowę z prezesem kłamczuszkiem. Spuścił mnie gładko i bezboleśnie. Przynajmniej tak mu się wydawało. Popatrzyłem na brązową torebkę i pudełeczko, designerskie cacko, w które zapakowano mi hamburgera. Marketing polityczny i hambuksy. I w jednym, i w drugim przypadku opakowanie jest równie istotne, co zawartość, a może bardziej. Forma ostatecznie dominuje nad treścią. Sam nie postępuję inaczej, odgrywając mój teatrzyk tajnego agenta i z zafrasowaną miną szukając podsłuchów w siedzibach albo domach klientów. Ale wciąż łaknę prawdziwego życia. Jeśli o to chodzi, dominuje wrażenie niedosytu.

Dziś czekała mnie jeszcze wyprawa na plac Zbawiciela. I tam znów, w zagłębiu warszawskiego, a tym samym polskiego hipsterstwa, opakowanie będzie się liczyć. W mojej wychudzonej szafie nie miałem szelek, kamizelki w kratkę i ogólnie tego wszystkiego, co kojarzyło mi się z wiejskim weselem. Nie miałem okularów w grubych oprawkach, bo wychodzę z założenia, że gdy człowiek dobrze widzi, to nie nosi szkieł, a obudowy mojego laptopa nie zdobiło nagryzione jabłuszko. Nie miałem też torby konduktorki ani kolarzówki, którą mógłbym śmignąć wieczorem. W moim przypadku wybór był niewielki. Zdecydowałem się na znoszone conversy i T-shirt, który sam zaprojektowałem, a wykonała go ekipa w podziemiach Dworca Centralnego. Dziewczyna w bikini uśmiechała się promiennie, a krople wody na jej ciele zwrócone były w odwrotną stronę, przecząc prawu ciążenia. Nad jej głową widniał napis: „Jezus Chrystus

zmartwychwstał”. Ciekawe, czy ktoś na placu Zbawiciela, poza bezpośrednio zainteresowanym, doceni ten koncept?

Rozmyślałem o takich głupotach i wtedy, w drodze do łazienki, mój wzrok padł na mały stoliczek w rogu pokoju.

Ludzie w chwili zagrożenia, działając pod wpływem stresu, postępują odruchowo. Gdy ktoś się włamie do twojego domu, w pierwszej kolejności sprawdzasz, czy nie zabrał tego, co dla ciebie najcenniejsze. Błąd. Trzeba powstrzymać ten odruch, który wykorzystał już stary dobry Sherlock Holmes w starciu z Ireną Adler. Nie daj się nabrać na taką sztuczkę. Najpierw sprawdź teren i zobacz, czy zagrożenie minęło.

Tym razem przyłożyłem się do roboty. Pot lał mi się z czoła i przez dwie godziny sprawdzałem, czy nie mam zainstalowanego podsłuchu lub kamery. Nigdy nie można mieć pewności, ale teren raczej był czysty. Dopiero wtedy zajrzałem do ukrytego sejfu. Walther i pieniądze od Króla były na miejscu. Włączyłem laptop. Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale chyba nikt do niego nie zaglądał. Przejrzałem teczkę z dossier Okońskiego. Kartki były ułożone w tej samej kolejności, w jakiej je zostawiłem.

Mój dom nie jest twierdzą i łatwo do niego wejść. Nie mam też paranoi. Choć przeczytałem wiele powieści szpiegowskich, to wychodząc z domu, nie wsuwam w drzwi nitki ani włosa, nie mam alarmu ani kamer. A jednak ktoś tu był, i to na tyle śmiały, że wszedł w biały dzień. Sprawa nabierała nowego wymiaru. Dopóki chodziło o Okońskiego, traktowałem ją jak zwykłe profesjonalne zlecenie, w którym Pan od Zaginięć musi się wykazać. Teraz jednak sam stałem się obiektem czyjegoś zainteresowania. Musiałem przewrócić jakąś kostkę domina, a za nią poleciały następne.

Stoliczek stojący w rogu pokoju ma pod blatem szufladę. Ktoś próbował ją otworzyć i wtedy to się stało. Jednego byłem pewny. Ktoś potrącił stojącą na blacie szachownicę.

Czasami grywam w szachy. Odtwarzam sobie stare partie, szczególnie lubię te sprzed drugiej wojny światowej. I wiem jedno: w tej, którą rozgrywał Capablanca w Nowym Jorku w 1927 roku, a ja rozgrywałem ją ponownie, w końcówce wieżowej po sześćdziesięciu dwóch posunięciach biały król stał na polu f1. Od dłuższego czasu myślałem nad kolejnym ruchem kubańskiego mistrza i ten układ na szachownicy znałem na pamięć. Ktoś, kto tu był, przestawił króla na czarne pole w lewo. Przesunąłem go na właściwe miejsce.

Raz jeszcze zastanowiłem się nad swoim położeniem. A ponieważ nie wymyśliłem niczego mądrego, wzruszyłem ramionami i w towarzystwie dziewczyny w skąpym bikini ruszyłem w miasto.

19

Tak, proszę pana, pan porozmawia z tamtą dziewczyną w różowej bluzce, która siedzi na leżaku, ale radzę się pospieszyć, bo zbyt długo to ona nie będzie siedziała sama. Dziękuję, proszę pana, naprawdę, naprawdę drobiazg. Chłopak w czarnym T-shircie z nadrukiem „Karma” zmiął pięćdziesięciozłotowy banknot, a zrobił to z wprawą Davida Copperfielda, ja zaś przykucnąłem przy wskazanym leżaku. W ręku trzymałem Pinki – owocowy koktajl z sokiem jabłkowym, malinami, miodem i Bóg wie czym jeszcze.

Hipsterskie zagłębie nie było mi obce, a poznałem je przy okazji pewnego zlecenia. Syn jednego z moich szefów zaczął otrzymywać SMS-y z pogróżkami. Zwykle nie biorę takiej roboty i nie bawię się w bodygaurda, ale tym razem miało być łatwo i przyjemnie. A w dodatku dobrze płacili. Włóczyłem się więc za młodym, który z macintoshem pod pachą, wylegując się na portfelu ojca, razem z podobnymi znajomymi zajmował się społecznym wykluczeniem, biedą, trzecim sektorem i ogólnie zbawianiem świata. Zaczynałem więc dzień w Charlotcie, wcinając granolę z jogurtem albo inne fit-śniadanie przy „stoliku socjalnym”, specjalnie wymyślonym po to, by ci, którzy jeszcze nie poczuli więzi z innymi, mogli wreszcie ją poczuć. Potem, gdy byliśmy już dostatecznie połączeni z ludzkością, szliśmy do Karmy, by podziwiać bohomazy kolejnej utalentowanej malarki z Ukrainy i zjeść halloumi wegeburgera. Czasami wpadaliśmy do Corso. To takie miejsce, gdzie jest ciemniej, brudniej i biedniej, ale porządny hipster idzie tam na rurki z bitą śmietaną. Aby nikt nie miał wątpliwości, gdzie jest, na drzwiach, obok wiekowego logo lokalu, przyczepiono kartkę „Płatność tylko gotówką”. Raz zajrzeliśmy nawet do Warszawskiej – lokalu dla prawdziwych twardzieli, gustujących w surowych wnętrzach, tatarze i wódeczce pitej na stojaka oraz piwie, jak

na stoliczne warunki, za pół ceny. No i po którymś kieliszku, gdy chłopak zaczął się do mnie przystawiać, sporo się wyjaśniło, a i pogróżki wysyłane przez zawiedzionego kochanka stały się dla mnie oczywiste i wreszcie w pełni czytelne. Naprawdę, gdy człowiek bawi się w ochroniarza, czekają na niego różne niespodzianki i rzadko kiedy jest nią Whitney Huston.

Teraz usiadłem na jednej z wielu poduszek rozrzuconych po Karmie, bez słowa podałem dziewczynie koktajl owocowy i tkwiąc przy leżaczku, wyglądałem jak pies pilnujący swojej pani.

Dziewczyna siorbnęła przez słomkę, kiwnęła głową i dopiero wtedy się odezwała:

– Widzę, że co nieco pan o mnie wie.

– Mamy też wspólnych znajomych, proszę pani.

Na gołej stopie kołysał się vans. Półkole w lewo i łuk w prawo. Raz jeszcze w lewo. I w prawo.

– Na fejsie? – Znów siorbnęła.

– Nie, w realu. Piotr Markiewicz, dziennikarz. Zna go pani dość dobrze.

Mimo późnej pory miała oczy ukryte za okularami przeciwsłonecznymi. I teraz te ciemne szkła po raz pierwszy zwróciły się w moją stronę.

– Kawał drania – mruknęła. – Powiedział, że załatwi mi robotę w redakcji. Że zostanę riserczerką. Ri-ser-czer-ką. I wiesz co? – Przeszła na „ty”. – Gówno z tego wyszło. Jak zwykle zresztą.

Witamy w Karmie. Lokalu dla aktorów z pobliskiego teatru i studentek z ambicjami.

– Ale bolą mnie nogi. – Dziewczyna klepnęła się w opalone udo. – Ale to nie od tego, o czym pan myśli.

Nic nie myślałem. Albo inaczej: chciałem nic nie myśleć.

– To od tańca. Wytańczyłam się wczoraj za wszystkie czasy.

– A czy przy okazji wpadła pani w trans?

– Noo – rozciągnęła sylabę i kiwnęła głową.

– To znaczy – powiedziałem głosem znawcy – że była to muzyka transowa.

W ciemnych szkłach znów odbiła się moja twarz, a dziewczyna wybuchła śmiechem.

– Niezły z pana *freak*.

– Widziałaś go ostatnio? – przeszedłem do rzeczy.

Półkole zatoczone stopą w lewo i łuk w prawo.

– Markiewicza? A co? Ciebie też chciał wsadzić na minę? Za stary jesteś trochę na ri-ser-cze-ra. – Roześmiała się, ukazując szereg bielutkich zębów. – A może chodziło o koks? – Jej głowa znów odwróciła się w moją stronę.

– Koks? – zdziwiłem się.

– Chciał się dowiedzieć, czy ktoś na Zbawiksie rozprowadza koks i amfę. Artykuł zamierzał napisać. Demaskatorski. Tak powiedział. Miałam mu w tym pomóc i wskazać, kogo trzeba. To, kotku, bomba będzie i takie tam sranie w banię…

– A Okońskiego znasz?

– Kogo?

Powtórzyłem nazwisko. Nie, nie słyszała o takim. Chciałem zapytać o coś jeszcze, ale mieliśmy gościa.

– Cześć, Pussy. – Dziewczyna z konduktorką przewieszoną przez ramię pochyliła się nad moją rozmówczynią, cmoknęła ją w policzek i podsunęła jej kartkę i długopis.

– A pan podpisze? – Zwróciła się do mnie.

– Ale co?

– Tu taką petycję mamy. W sprawie tęczy. Chcemy, by każda dzielnica miała taką tęczę, i zbieramy w tej sprawie podpisy. Wie pan, taka akcja.

Podrapałem się w głowę. Ale podpisałem. Co mi tam.

– A pani da mi w zamian swój numer telefonu? Roześmiała się i popatrzyła na koleżankę.

– Fajny gość. I to – wskazała mój T-shirt – też niezłe jest.

I pognała walczyć o tęczową Warszawę. Popatrzyłem za nią i moje spojrzenie napotkało wzrok chłopaka stojącego przy wejściu. Speszył się i odwrócił głowę. Albo tak mi się wydawało.

– Jak ona cię nazwała? Pussy? – spytałem. Dziewczyna obciągnęła bluzkę. Na niezłym zresztą biuście widniały dwa słowa: „Ruby Pussy”.

– To moja ksywa – wyjaśniła z dumą. – Po matce. Rubinowa cipka. Urocze. Chciałem, by moja twarz niczego nie wyrażała, ale chyba nie za bardzo mi się to udało.

– Matka była *gruppie*. Włóczyła się za tymi Niemenami i innymi. Wołali na nią Ruby Thuesday. To tytuł jakiejś piosenki.

– Zdaje się, że nie masz najlepszego zdania o swojej mamusi.

Kilka osób koło nas witało się wylewnie i zagłuszyło moje ostatnie zdanie.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że to piękna rodzinna tradycja. Nie wiesz, gdzie znajdę Markiewicza?

Stopa zatrzymała się w połowie łuku.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie widziałam go tu ostatnio. Zajrzyj na Powiśle. Może tam. I zapytaj o dziennikarkę Ewę Ciszewską. To jego laska. Jedna z wielu. A gdy go spotkasz, to…

Zbliżyła usta do mojego ucha.

Spojrzałem na nią i pokręciłem głową.

– Nie… tego mu nie powtórzę. Nawet nie wiedziałem, że takie słowa istnieją.

Raz jeszcze błysnęła zębami. Poławiacze pereł w każdym zakątku świata byliby zachwyceni.

Rozstaliśmy się jak starzy dobrzy znajomi.

20

Przy stacji PKP Powiśle zabawa trwała w najlepsze. Co chwila zatrzymywała się taksówka dowożąca imprezowiczów, dwaj rowerzyści przypinali holendry do barierki. Zdaje się – wskazywały na to rozwieszone bannery – wręczano jakieś nagrody, ale nikt mnie nie pytał o zaproszenie albo wejściówkę. Po tej stronie alei 3 Maja, pod filarami mostu Poniatowskiego, straszyły szkielety niewybudowanych pawilonów, teraz przejęte przez chłopaków z deskorolkami. W sobotnie przedpołudnia teren zamieniał się w targowisko. Zastanawiałem się nawet, co by było, gdyby te dwa żywioły, handlarzy i hipsterów, jednego dnia ze sobą połączyć.

Ewę Ciszewską odnalazłem bez większych problemów. Zapytałem o Markiewicza. Widziałem, jak jej uśmiech gaśnie, usta się ściągają, a kości policzkowe stają jeszcze bardziej wydatne. Miała czekoladowe oczy, jakby została poczęta w fabryce Wedla, i widziałem, że te oczy także pociemniały. Zbliżała się do trzydziestki, ale tego w przypadku kobiet nigdy nie można być pewnym. Bez dwóch zdań Piotr Markiewicz miał dobry gust. I bez dwóch zdań jego nazwisko psuło dziś ludziom humory.

– Co z nim? – zapytała, gdy stanęliśmy z boku. – Wie pan, gdzie on jest? I dlaczego właściwie go pan szuka? – Zarzuciła mnie pytaniami, w których więcej było niepokoju niż ciekawości.

Odpowiadałem cierpliwie, patrząc w czekoladowe oczy. Nie, tak naprawdę szukam kogoś innego, Daniela Okońskiego, można go pani zna, a tak w ogóle, to nic się nie stało, jeden z polityków, znanych, więc nie mogę powiedzieć który, słyszał, że to zdolny człowiek i chciałby złożyć pewną propozycję, a Piotrowi przy okazji też.

– Od polityki to niech on się trzyma z daleka – przerwała mi gwałtownie. – Albo raz na zawsze z daleka ode mnie. – Machnęła rudym końskim ogonem.

– A co się stało?

Sięgnęła do torebki i wyjęła papierosy. Zapaliła, zaciągnęła się kilka razy i zmrużyła oczy, jakby chciała w ten sposób przywołać wspomnienia.

– To był naprawdę dobry dziennikarz. Najlepsi mówili, że ma nosa do mocnych tematów. Że Grand Press i gwiazdorski kontrakt to tylko kwestia czasu. Kilka tekstów napisaliśmy razem. O tych dwóch, które dotyczyły koncernów farmaceutycznych, było naprawdę głośno, na pewno pan czytał.

Pokiwałem głową.

– Byliśmy nawet czymś w rodzaju pary, choć w dzisiejszych czasach to skomplikowane. I wtedy pojawił się ten gówniarz. – Skrzywiła się. – Hieronim Molenda. Kojarzy pan?

– Nie.

– Taki śmieć. Asystent posła. Młynarczyka.

– Tego zastrzelonego w Gdańsku?

Przytaknęła.

To było coś nowego.

– Piotr się zmienił. Zaczął znikać. Często wyjeżdżał, i to było normalne, ale zaczął znikać na dobre, rozumie pan?

– Zaczął znikać i kontakt się urywał. O to chodzi?

– Weźmie mi pan jeszcze jedno piwo? – spytała zamiast odpowiedzieć.

Przecisnąłem się do baru. Zorientowałem się, że wręczają nagrody. Kwasy Roku, cokolwiek to miało znaczyć. Koleś w rozpiętej kraciastej koszuli z krótkimi rękawami wykrzykiwał do mikrofonu pytanie: „Czy jesteście kwaśni?”. „Tak!” – ryczał tłum. Jakiś facet złapał mnie za ramię i powiedział, że to on jest najbardziej kwaśny. Nie zaprzeczyłem. Pijana dziewczyna wskazała mój podkoszulek i powiedziała, że jest bardzo *swag*. Nie wiedziałem, o co chodzi. Z ulgą wycofałem się na zewnątrz, trzymając szklankę z piwem.

Ewa Ciszewska rozmawiała z jakimś chłopakiem. Przedstawił mi się i nieustannie poprawiał saszetkę na pasku, jakby się bał, że ktoś mu ją ukradnie. Usta mu się nie zamykały. A wiesz, jestem z wykształcenia filozofem, no to witamy w klubie, prawie mi się wyrwało, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem, no i, mówił szybko, rozmyślałem, co zrobić ze swoim życiem, jak to filozof, prawda, aż wreszcie znalazłem.

– Co znalazłeś?

– Tożsamość żydowską – odpowiedział, a gdy zobaczył, że nie rozumiem, znów zaczął strzelać we mnie słowami. – To teraz – wskazał imprezowiczów – stało się bardzo modne. Każdy chce mieć żydowskie korzenie. Zaraz nawet skini będą chcieli takie mieć. No i ja wtedy pomagam.

Znów dotknął zawieszonej na biodrze nerki.

– Odnajduję żydowskich przodków, wysyłam na obozy tożsamościowe, wiesz, takie *Jewish camp.*

Rozsunął zamek nerki i podał mi wizytówkę.

– Więc gdybyś potrzebował… – Zmrużył oczy i przypatrywał mi się z uwagą. Mlasnął językiem. – Zresztą widzę, że w twoim przypadku nie będzie problemu. No, pędzę, bo z klientami się tu umówiłem.

I tyle go widziałem. Odruchowo dotknąłem twarzy, a Ewa Ciszewska wybuchnęła śmiechem i upiła łyk piwa. Przeszliśmy na „ty”.

– Nie pijesz? – zdziwiła się.

– Nie mogę. Antybiotyki. – Skrzywiłem się z bólu i tym samym mistrz kłamstwa znów wkroczył do akcji. Pewnie, że bym się z nią napił, ale po dzisiejszych tajemniczych odwiedzinach w domu wolałem zachować trzeźwość umysłu. – Więc co z tym Molendą? – spytałem.

– To był właśnie problem. Mówią, że jeśli zadajesz się ze starymi politykami, musisz mieć zapasową wątrobę. Ale ci młodzi mają już inne rozrywki. Poszli białą ścieżką.

– Wciąganie krechy i amfa? I myślisz, że Piotr.

– Ja nie myślę, ja to wiem. I nie umiałam mu pomóc.

Niedawno słyszałem takie zdanie. Nagle Ewa Ciszewska na mgnienie oka przemieniła się w Dziewczynę o Smutnym Uśmiechu. Dziewczynę mojego brata.

– Pytałeś o Okońskiego. Widziałam go raz. Sympatyczny facet. Ponoć pracował nad jakąś książką…

Lekko się zachwiała i wsparła na moim ramieniu. Nigdy nie wiesz, które piwo okaże się tym jednym za dużo. Ciszewska najwyraźniej osiągnęła granicę swojej wyporności. Kątem oka dostrzegłem wolny leżak, ale nic nie powiedziałem. Jeśli ją tam położę, to z pewnością zaraz zaśnie.

– Pracował nad książką?

– Tak mi powiedział. I poprosił Piotra o pomoc. A gdy go widziałam, znaczy Piotra, ostatnio, powiedział mi, że ma prawdziwą…

– Bombę?

– Tak. Skąd wiesz?

– Tak się mówi. A dziennikarze to specjaliści od prawdziwych bomb. Prawie jak saperzy.

– Masz rację – zgodziła się. – To było zresztą straszne. Ręce mu drżały i widziałam, wyraźnie widziałam…

Nie dokończyła zdania. Upiła kilka łyków piwa.

– Miał bombę, ale pracował razem z Okońskim nad tą… nad tą książką? O czym miała być?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Powiedzieli mi, że to tajemnica. I że dziennikarka od razu wszystko wygada. Miałam się spotkać z Piotrem w moje urodziny, pierwszego lipca. Nie odezwał się. Nie jesteśmy razem, mimo to zabolało, nie powiem. Kilka dni temu zadzwoniłam do niego, ale miał wyłączony telefon. Podjechałam nawet do jego mieszkania. Sąsiadka nie widziała go od dwóch tygodni. Mówiła, że kręcili się jacyś ludzie i pytali. On znowu gdzieś znikł. Boję się, że będą kłopoty. Niby to nie moja sprawa, ale…

Nie chciałem być prorokiem, ale miałem podobne odczucia.

– Kiedy widziałaś Okońskiego?

– Maj… Tak to musiało być w maju… A może na początku czerwca… Nie pamiętam dokładnie. Jakoś tak…

– A kiedy widziałaś Piotra po raz ostatni?

– A to wiem. Dwudziesty czerwca.

– Ten cały Molenda… Można go namierzyć?

– To jest akurat proste. Dobrze go prześwietliłam, a raz nawet spotkałam i powiedziałam, żeby dał Piotrowi spokój. Wyśmiał mnie… Wielbiciel Harendy. Koło czternastej go tam zastaniesz, a jeśli go nie będzie, to znaczy, że umarł. Albo że i jego zastrzelili.

Starałem się wszystko zapamiętać. Wymieniliśmy się telefonami. Zapisałem też numer Markiewicza. Tak, jeśli będę coś wiedział, dam znać. I ty też, gdyby odezwał się do ciebie. No pewnie, niech skończą tę książkę, tak byłoby najlepiej, a o tej propozycji, o której mówiłem na początku, zapomnijmy.

Podniosła pustą szklankę po piwie.

– Nie dziwisz się, że ci to wszystko opowiedziałam?

– Dziwię.

Była to jedna z nielicznych szczerych odpowiedzi, jakich udzieliłem tego wieczoru.

– Po prostu czasem muszę się przed kimś wygadać. A najlepiej przed nieznajomym. Poza tym dobrze ci z oczu patrzy.

Impreza trwała w najlepsze i ze środka dobiegł gromki rechot. Pomyślałem, że to idealny komentarz do jej ostatnich słów.

– No, pędzę, bo klienci czekają – powiedziała, naśladując głos tropiciela żydowskich korzeni.

Ziewnęła, zasłaniając usta ręką.

– Jeszcze jedno, Ewo. – Przytrzymałem ją za rękę. – Co to znaczy, że mój T-shirt jest *swag?*

Roześmiała się.

– To znaczy, że jest spoko. *Cool*. W dechę. Tak pewnie mówiłeś, gdy bawiłeś się z kolegami na trzepaku.

Machnęła rudym końskim ogonem i obróciła na pięcie. Na chwilę straciła równowagę, ale szybko ją odzyskała i zniknęła w czeluściach klubu.

21

Chciałem ruszyć w swoją stronę i wtedy ich dostrzegłem. Dwóch mężczyzn uważnie mi się przypatrywało. Jeden z nich skinął głową w moją stronę. Nie, nie mogłem się mylić. To był ten sam, którego widziałem w Karmie.

Odwróciłem się powoli. Z drugiej strony drogę zastąpił mi łysy byczek, którego łatwiej było przeskoczyć niż obejść. Rozłożył powoli ręce niczym amerykański futbolista albo pracownik firmy spedycyjnej, trzymający pod pachami pakunki. Zapytałbym go, cóż tam niesie, ale nie miałem czasu. Sześć kroków, cztery, trzy i gdy mój nos wychwycił odór potu wydobywający się z masywnego cielska, ruszyłem do przodu i wymierzyłem kopniaka. Facet dostał tam, gdzie celowałem, ja zaś poczułem ból w stopie. Kafar złapał się za krocze, wrzasnął i padł na kolana niczym pielgrzym w Licheniu. A ja już byłem dziesięć metrów dalej.

To była moja szansa. Tych dwóch podniosło grubasa i zyskałem kolejne sekundy. Rzucili się za mną w pogoń.

Gdybym pobiegł wzdłuż mostu, natknąłbym się na siatkę i byłoby po mnie. Przebiegłem pod filarem i parkową ścieżką pędziłem pod górę. Pulsowanie w prawej stopie nie ustawało. Z tyłu słyszałem ciężkie oddechy i wiedziałem, że tych trzech łatwo nie odpuści. Skręciłem w prawo. W oddali widziałem cztery różowe kropki i literę „T”, znak firmy telekomunikacyjnej umieszczony na jedynym wieżowcu przy Smolnej. Znalazłem się koło kamiennej mozaiki ozdobionej fragmentem wiersza Słonimskiego i podobizną jakiejś dziewczyny. Ból w nodze się nasilił. Biegałem dobrze, czułem jednak, że oni są coraz bliżej. Kamienie mozaiki chrupnęły pod czyimiś stopami. Usłyszałem przekleństwo. Któryś z moich prześladowców musiał się przewrócić. Podziękowałem Słonimskiemu oraz nieznanej warszawiance i wbiegłem na schody. Kontuzja sprawiła, że

szybko, szybciej, niż myślałem, opadałem z sił. Moja przewaga polegała na tym, że znałem teren jak własną kieszeń. Schody się rozwidlały. Gdybym skierował się w lewo, minąłbym napis nasmarowany wodoodpornym pisakiem. Anonimowy autor wyznawał, że długo szukał siebie, aż wreszcie odnalazł miłość. Gdybym się tam skierował, znalazłbym się przy Muzeum Wojska Polskiego i musiałbym kierować się w stronę palmy przy rondzie de Gaulle'a albo przebiec przez ulicę i tory tramwajowe, by znaleźć się koło irlandzkiego pubu. Mój oddech stał się krótszy, a dziewczyna na podkoszulku na dobre przylgnęła mi do ciała. Popędziłem w prawo. Trzy, dwa, jeden stopień, i znalazłem się na peronie dworca Powiśle. Spojrzałem za siebie – pusto. Nie zastanawiałem się.

Wskoczyłem do drugiego wagonu stojącego pociągu. Mógł jechać do Pilawy, ale równie dobrze do Yumy. Było mi to obojętne. Dyszałem ciężko, stojąc w przejściu między przedziałami. Wtedy ten z Karmy wbiegł na peron. Chwila wahania. Rzut oka w lewo, rzut oka w prawo. Nie wiem, czy mnie zauważył, ale podjął właściwą decyzję. Wpadł do ostatniego wagonu i wtedy rozległ się sygnał do odjazdu. Cztery, trzy, dwie sekundy. Wyskoczyłem na peron, a chwilę później drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył, a ja widziałem wściekłą twarz przyklejoną do szyby. Pewnie za chwilę się otrząśnie, sięgnie po komórkę i zadzwoni do kumpli. Przebiegłem peronem i zszedłem po schodach. Znów znalazłem się w pobliżu klubu wypełnionego kwaśnymi ludźmi. Kilka osób przyglądało mi się ciekawie, ale żadna z nich nie miała złych zamiarów. Próbowałem wyrównać oddech, ale nie było to łatwe. W ciągu minuty nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Poczułem pulsowanie w uszach, a potem wszystko wróciło do normy. Pościg się zakończył. Wyglądało to tak, jakby zapętlił się czas.

Utykając, ruszyłem w stronę Jazdowa. Obszedłem mój domek, nie zauważyłem niczego podejrzanego, więc wszedłem do środka. Odruchowo spojrzałem na szachownicę. Figury stały na właściwych miejscach. Zrzuciłem podkoszulek, który nie był już tak bardzo *swag*, jak jeszcze godzinę temu, i przemyłem twarz lodowatą wodą.

I wtedy zadzwoniła. Z tym samym pytaniem, co poprzednio. Postanowiłem przemilczeć ostatnią przygodę.

– A wie pani co? Bawiłem się dzisiaj w taką grę *Znajdź różnice*. Zna ją pani?

Czekała, co jeszcze powiem.

– Ktoś przeszukał mój dom. Tylko że zrobił to nieudolnie. To był ktoś od was.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – To nie był nikt od nas, jak pan to ujął…

– Mam dosyć tej zabawy – warknąłem. – To pani wiedziała, że odwiedzę dziś firmę zajmującą się naszą polityczną elitą. W tym czasie ktoś u mnie był. Czego tak naprawdę szukacie?

– Nikogo od nas nie było. Zapewniam pana.

– Ta sprawa śmierdzi. Czuję to. W takich przypadkach mam nos jak Pinokio. Poza tym – chciałem, by zabrzmiało to twardo – mam dość tych sprawdzających telefonów i kontaktu w jedną stronę. Też chciałbym zadać jakieś pytania i…

– Pan nie może zadawać żadnych pytań – przerwała mi. – Pan nie zna mojego szefa. Na tym polega dyskrecja, chyba nie muszę tego tłumaczyć. Takie były warunki i chyba całkiem niezłe pieniądze.

Nie wytrzymałem.

– Pierdolę.

– Słucham?

– Pierdolę taką dyskrecję. Pieniądze pierdolę i pani szefa też pierdolę.

Rozłączyłem się.

Miałem w lodówce piwo. Z trudem powstrzymałem się, by go nie otworzyć. „Wieczór jeszcze się nie skończył, wieczór jeszcze się nie skończył”, powtarzałem na głos. Woda z limonką wygrała z pokusami. Zdjąłem buty i obejrzałem stopę. Staw skokowy był lekko opuchnięty, ale na szczęście cały. Skruszyłem lód wyjęty z zamrażarki, położyłem nogę na krześle i zrobiłem sobie okład. Odetchnąłem.

Tak. Coś tu śmierdzi. Bardziej niż śmiecie, z których sortowaniem miała ostatnio problem Warszawa i reszta Polski. Bardziej niż mięso Clyde’a. Najbardziej niepokoiła mnie w tej sprawie rysująca się symetria. Okoński i Markiewicz. Dwóch zdolnych facetów. Obaj znikają bez śladu. Telefony wyłączone. Zero kontaktu. W przypadku Okońskiego jakieś tajemnicze zlecenie od faceta, który mnie zatrudnił. W przypadku Markiewicza polityka, amfa i koks w tle. Razem nad czymś pracowali. Nad książką? Jakoś nie mogłem w to uwierzyć. I jeszcze szczegół. Gdy zacząłem bliżej przyglądać się całej sprawie, ktoś się mną zainteresował. Kim byli ci trzej dzisiaj? Mogłem mieć nadzieję, że to znajomi Rubinowej Cipki, *gruppie*

drugiej generacji, i że chcieli tylko, żebym nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Ale mogło być zupełnie inaczej. Okoński i Markiewicz. Młodzi i zdolni, którzy rozpłynęli się w powietrzu. Regularność dająca do myślenia, bo nie mogła być dziełem przypadku.

Czułem narastające rozdrażnienie. Ktoś, nie wiedziałem jeszcze kto, nadepnął mi na odcisk, a tego nie lubię. Przestaję być niesfornym chłopcem skaczącym przez życie, bo nagle oprócz tej wydmuszki, która zwykle nas otacza, coś dzieje się naprawdę, a ślina ma smak nie tylko gumy do żucia, ale też krwi. Wtedy powraca nieustępliwość, która wyróżniała mnie, gdy byłem dziesięć, piętnaście lat młodszy i gdy zależało mi bardziej niż dziś. Nie tęsknię za tamtymi czasami i moją zaciętą twarzą. Nagle wszystko zaczyna dziać się inaczej i naprawdę. I wtedy nie chcę, ale muszę. Na tym to polega.

Zawibrował telefon. Przeczytałem SMS-a.

Jeśli będzie chciał się pan z nami skontaktować, proszę pod ten numer. Nikt od nas u pana nie był.

W pierwszym odruchu chciałem odpisać, ale dałem sobie spokój.

Przygotowałem nowy kompres. Zaatakowano mnie dzisiaj dwa razy. Do trzech razy sztuka. Nie zamierzałem czekać na kolejną niespodziankę. Pokuśtykałem do sejfu. A potem zasnąłem z nogą obłożoną lodem i pistoletem leżącym pod T-shirtem, na wyciągnięcie ręki.

22

Obudził mnie telefon. Była siódma rano.

Niepewność w głosie. I chrypka.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam cię… chciałam pana zapytać, jak minął wieczór.

Przypomniałem jej, że przeszliśmy na „ty”.

– Nie wszystko pamiętam – wyznała. – Prawdę mówiąc, niewiele.

Zapamiętała natomiast dobrze dwóch facetów. Grubasa i chudego? Flipa i Flapa? Tak, to oni, fajnie ich określiłeś. Wypytywali o ciebie i byli wściekli. Odruchowo sprawdziłem, czy dziewczyna w bikini wciąż tuli pistolet.

– No i co powiedziałaś tym szybkim i wściekłym?

– Generalnie kazałam im spadać. Wiesz, co to za jedni?

– Nie bardzo. Ale ostatnio cieszę się sporą popularnością. Wkrótce napiszą o mnie na „Pudelku”.

Ni to śmiech, ni jęk.

– Czy to może… czy to może mieć jakiś związek z tym, o czym rozmawialiśmy? Chyba zresztą… Niepotrzebnie ci o tym wszystkim opowiedziałam.

Poranne wyrzuty sumienia i kac to nie najlepsza kombinacja. Od paru lat zdecydowanie wolałem to pierwsze.

– Dobrze, że to zrobiłaś. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyś mogła podłączyć się teraz do kroplówki z witaminą C. – Starałem się, by mój głos brzmiał beztrosko.

Tym razem tylko jęk.

– Zdaje się, że… pytałeś o tego Okońskiego.

– Jednak z twoją pamięcią nie jest tak źle.

– No, ale nie powiedziałam ci, że był z nimi jeszcze jeden facet. Pracuje w księgarni. Przy Chmielnej. Witryna Narodowa albo jakoś tak…

– Dziwna nazwa.

– Dziwne miejsce.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Tak, raz jeszcze obiecuję, gdy tylko będę coś wiedział, masz to u mnie jak w banku. A potem poczułem ukłucie zazdrości, że chyba jednak bardziej interesował ją los Piotra Markiewicza niż mój.

23

Opuchlizna na nodze zeszła i uraz nie okazał się zbyt poważny. Schowałem broń do sejfu, zadzwoniłem do Clyde’a, który nie miał dla mnie żadnych nowych informacji – tak, nawet ten twój Król jest w sieci prawie nie do namierzenia, a to, co jest, to jakieś duperele – przejrzałem stronę internetową Witryny Narodowej i utwierdziłem się w przekonaniu, że to dość dziwna księgarnia, a potem ruszyłem w miasto, tym razem samochodem. Upały nie odpuszczały, wszystko wskazywało na to, że dzisiejszy dzień będzie dość długi.

Witryna Narodowa mieściła się na Chmielnej, na odcinku między Nowym Światem a Marszałkowską. Bar z bałkańskim żarciem, znajdujący się naprzeciwko, był jeszcze zamknięty, za to dom uciech, reklamujący się na jednej z szyb nad księgarnią, zapewne pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przy księgarni kilka wlepek przyklejonych przez kibiców Legii i jedna namawiająca na „rabotu w Polsze” z podanym numerem telefonu.

Wszedłem do księgarni i grzecznie powiedziałem „dzień dobry”. Spodziewałem się, że za ladą będzie stał weteran wojny z bolszewikami albo przynajmniej jakiś wyrośnięty skin, tymczasem odkłonił mi się drobny piegowaty mężczyzna koło czterdziestki z włosami związanymi w kucyk.

Zacząłem przeglądać tytuły. *Kto zabija Polskę. Antypolacy. Wysadzić Rosję. Dzienniki snajpera*. Ale także *Jak pokonać alzheimera.*

– Słucham? – usłyszałem uprzejmy głos. – Czy mogę panu pomóc?

Rozejrzałem się po księgarni. W jednym rogu wisiała polska flaga, w drugim, nie wiedzieć czemu, flaga wojsk Południa z czasów wojny secesyjnej.

– Wcześnie otwieracie – zauważyłem.

– Bo nasi klienci dość wcześnie wstają – odparł. – To aktywni ludzie. Zaproponowałbym coś z nowości. Może *Wysadzić Rosję*?

– Jak dla mnie, to w tych tytułach trochę za dużo przemocy. Chyba się boję. Ale ja w innej sprawie. Obaj znamy Daniela Okońskiego. Wspomniał mi kiedyś o panu. Nie wie pan, co u niego, bo nie odbiera telefonu…

Zrobiłem Najbardziej Zmartwioną Minę Roku.

– Nie mam pojęcia. Piotr. – Podał mi rękę. Nagle się ożywił i chyba ucieszył, że nie bardzo interesuje mnie to, kto zabija Polskę i czy robią to anty-Polacy, a tak w ogóle, to nie Piotr, tylko Mokry, taka stara ksywa z czasów punkowej załogi i jaboli. Tak, znają się, razem studiowali, parę browarów wspólnie wypili i od czasu do czasu wpadają na siebie na mieście, bo Daniel w tym szałowym garniaku krąży często po Trakcie Królewskim, a księgarz tu się przecież zakotwiczył.

– A ta dziewczyna? Wiesz, ta, z którą był.

Skrzywił się.

– Justyna? Weź, lepiej zapomnij! Raz to się nawet przy mnie pokłócili, w sumie to nie tak dawno, przykro było słuchać.

– A taką zgraną parą się wydawali… – Hłasko, ten znawca życia, pokiwał głową.

– Ona do niego, że ładuje ją w trąbę, tak powiedziała, wyjęła jakieś klucze i machnęła mu przed nosem, a on pobladł, no i że to nie jego.

– A czyje?

– Jego szefa. Do jakiegoś domku, no i taki kit jej wciskał. – Uśmiechnął się. – A ona zawinęła się i dała w długą.

– Jak to: dała w długą?

– No, spotkałem Okonia potem jeszcze raz, chodził jak struty, bo ta cała Justa wyjechała. Do Londynu, do jakiegoś swojego byłego. Tak to już jest. Dlatego ja w stosunku do mojej jestem świętszy od papieża.

Poprawił kalendarz ze zdjęciem pary prezydenckiej. Tej poprzedniej.

– A swoją drogą, jeśli go spotkasz, przypomnij mu o mnie – dodał. – Mam coś dla niego, a on pewnie zapomniał.

Rozmowę przerwał nam klient. Do lady zbliżył się szybkim krokiem mężczyzna po pięćdziesiątce.

– *Spiskowa historia Polski*, tom piąty. Macie?

Mokry podał mu egzemplarz, a mężczyzna odetchnął.

– Tego szukałem. – Uśmiechnął się do nas jak do najlepszych przyjaciół. – Słyszałem… – przełknął ślinę – słyszałem, że jest jeszcze bardziej spiskowy od poprzednich.

– Jest superspiskowy, proszę pana – zapewniłem. – A nie myślał pan o niszczarce?

– O czym? – zamrugał zdziwiony.

– Niszczarka. Takie urządzenie do niszczenia dokumentów. Bo gdy już pan przeczyta, to może dobrze byłoby zniszczyć egzemplarz.

Księgarz odwrócił się do nas plecami i zaczął gwałtownie kaszleć.

– Panie, a co pan mi z takimi tekstami wyjeżdża. – Mężczyzna zacisnął ręce na *Spiskowej historii Polski* i przypatrywał mi się podejrzliwie. – Co? Znowu coś sprzedać, kupić, rozprzedać? Geszefcik? Interes jest do zrobienia? No coś pan!

Wyciągnął portfel, wysupłał lekko drżącymi dłońmi dokładnie trzydzieści osiem złotych i pięćdziesiąt groszy, wziął książkę i wyszedł.

– Niezły cyrk. – Popatrzyłem na księgarza. – Sorry, że zapytam… Czy ty… – powiodłem palcem po półce z książkami. – Czy ty w to wierzysz?

Popatrzył na mnie.

– Jest takie powiedzenie, że ornitolog nie musi umieć latać. Znasz je?

Znałem.

– Czasy ciężkie, trzeba pracować. Podobno żadna praca nie hańbi.

No właśnie. Przekonałem się o słuszności tego powiedzenia nie raz i nie dwa na własnej skórze.

24

Tego dnia temperatura osiągnęła szczyt, ciepło oddawane przez roztopiony asfalt mieszało się ze smrodem spalin kursujących po Krakowskim Przedmieściu autobusów. Przy pomniku Kopernika rozłożono węża zwanego, nie wiedzieć czemu, kurtyną wodną. Co chwila ktoś podbiegał, by się schłodzić. Pies podskakiwał, łapiąc w powietrzu krople. Zjadłem francuskiego rogalika, wypiłem kawę, wykonałem telefon. Tak, Clyde, trzeba zacząć działać inaczej. Tak jak tygrysy lubią najbardziej. Nie jesteś tygrysem? A trochę go przypominasz, mówi się też o tygrysach gospodarki, ponoć my takimi jesteśmy, no to nara. Przejrzałem artykuły sprzed dwóch tygodni o zabójstwie posła Młynarczyka. Temat powoli cichł. Dziennikarze dreptali w kółko, wciąż pisząc o tym samym, tylko w inny sposób. Najwyraźniej jednak impet informacyjny osłabł, brakowało świeżego mięsa, a faza odgrzewanych kotletów się kończyła. Upewniłem się po raz trzeci, że mam ze sobą wszystko, co będzie mi dziś potrzebne. Odmówiłem trzem naciągaczom „Jest, Szefie, Taka Sprawa” drobnych – dwóch przyjęło odmowę z godnością, a jednemu musiałem posłać wiązankę uprzejmości.

Poszedłem na Oboźną sprawdzić, czy nikt nie wlepił mi mandatu albo nie odholował seata. Miałem wprawdzie lewy identyfikator, ale nigdy nie wiadomo, czy w sercu miasta nie trafi się jakiś służbista i nadgorliwiec. Rano naczekałem się na odpowiednie miejsce, a i tak miałem szczęście, że zwolniło się już po dwudziestu minutach. Ruszyłem Krakowskim i raz jeszcze uporządkowałem wszystko, co wiedziałem o Danielu Okońskim. Zaczynałem od jednego punktu, gdy sprawa wydawała się względnie prosta, teraz zaś kręgi zaczęły się niepokojąco rozszerzać. Za chwilę sam znajdę się w wirze zdarzeń. A może już się w nim znalazłem, tylko jeszcze o tym nie wiem? Dlatego po wczorajszych przygodach postanowiłem

wyprzedzić nieco bieg wydarzeń. Przejrzałem książki na wystawie Księgarni Uniwersyteckiej, przeczytałem klepsydrę wiszącą przy Akademii Sztuk Pięknych, ale nazwisko zmarłego profesora malarstwa nic mi nie mówiło. Zrobiłem zdjęcie parze Japończyków i wyjaśniłem, gdzie jest serce Chopina. A tak w ogóle, *dear friends*, powiedzcie mi, kim, do diabła, był ten Chopin, bo wiele osób z waszego kraju o niego pyta? Szkoda, że nie widzieliście ich min.

W okolicach Pałacu Prezydenckiego krążyło kilku policjantów więcej niż zwykle. Spod namiotu dobiegł przez megafon głos mówcy. Głośniki trzeszczały, jakby eksploatowano je ponad możliwości, wyłapałem tylko powtarzające się regularnie trzy słowa: „kłamstwo", „klika" i najtrudniejsze – „kondominium". Wszystkie na „k". Jak Ku-Klux-Klan. Po stronie pałacu siedział bard z gitarą i śpiewał o tym, że Rzeczpospolita Piąta, piękna i niespętana, zrzuci ruski łańcuch, nie padnie na kolana. Jakoś tak to szło. Obok grajka stały dwie kobiety, na oko pięćdziesiąt plus, i wpatrywały się w niego z zachwytem. Pomyślałem, że raczej żadna z nich nie jest mamą Rubinowej Cipki, a każdy ma takie *gruppies*, na jakie zasługuje. Trochę na uboczu kobieta wyzywającym spojrzeniem lustrowała przechodniów. Głowę osłaniała czapeczką zrobioną z gazety, ale nie mogłem dostrzec, z której, a w rękach trzymała tekturową tabliczkę: „Prezydent i prezydentowa – obaj do śmieci". Dlaczego „obaj"?

Przygotowania do kolejnej miesięcznicy katastrofy smoleńskiej toczyły się w najlepsze. Przydałby się jeszcze jeden transparent: „Witamy w piekle". Zwłaszcza w tych pięknych okolicznościach przyrody.

A potem w Harendzie uszczupliłem zawartość portfela. Nie, nie znam go, proszę pana, a no tak, już sobie przypomniałem, ten poseł, no tak, trzeba było tak od razu. Nie jest posłem? Ale mówi, że jest, tak, prawie codziennie do nas wpada, o, tam siedzą, przy tamtym stoliku pod zadaszeniem, zresztą dziś też mamy dla niego rezerwację. Tylko mam prośbę, proszę pana, jakby co, to ja nic nie mówiłem, zresztą nic nie powiedziałem, prawda?

Prawda.

Rozejrzałem się po pustawym jeszcze lokalu, przeszedłem tu i tam, zamówiłem piwo, pierwsze i ostatnie, a potem czekałem.

Przedstawienie rozpoczęło się kilka minut później. Najpierw na scenę wkroczył trzydziestolatek w spranych dżinsach, z nażelowanymi włosami i lekką beżową marynarką przewieszoną przez ramię. Idealnie

wypastowane czarne buty lśniły w słońcu. Zresztą on cały lśnił. Towarzyszył mu zwalisty Murzyn, którego zdjęcie widziałem niedawno na jakimś portalu informacyjnym. Wkrótce pojawił się jeszcze jeden, starszy od nich, przezroczysty i pozbawiony jakichkolwiek znaków szczególnych. Gdyby ktoś robił reklamę powietrza, ten trzeci wygrałby casting w cuglach.

Przy pierwszym piwie trzymali jeszcze fason, Murzyn opowiadał, jak to pojechał ostatnio do Singapuru na jakąś konferencję. A skąd mam wiedzieć jaką? – mówił prawie nienaganną polszczyzną. Po angielsku gadali, ale przynajmniej wycieczka była, nie? A Pustak przyjdzie? Przyjdzie, ale pić nie może. Miesięcznica dziś, wiesz, co by się działo, gdyby go prezes zobaczył. I tak jest odważny. No to struty będzie siedział, ale, wiecie co, coś śmiesznego ostatnio powiedział, że nie lubi spotykać się z facetami o małych dłoniach, bo w małych dłoniach mieści się niewiele banknotów. A potem pojawił się facet o strutym obliczu, a z nim jeszcze jeden. Mówili coraz głośniej i nie przejmowali się moją obecnością. Było trochę docinków i przekomarzania się. Nowo przybyły nazywał Murzyna upartym pruskim wołem, co brzmiało dość osobliwie, poleciały dwa dowcipasy o premierze, w tym jeden niezły, i że z rudego to i mięso gorzkie, trajkotali o przewałach przy budowie odcinka autostrady i o tym, jak to jeden załatwił sobie tłuczeń do swojego ogrodu i, no tak, zapomnij, młody – to było do tego w beżowej marynarce – o ile jeszcze nie zapomniałeś, że jest jakaś czysta gra, bo tylko wódka jest czysta, a i to nie zawsze. Ten starszy i nijaki miał pewną irytującą cechę: wchodził pozostałym w słowo, ciągle komuś przerywał. Ten, który przyszedł z Pustakiem, odzywał się najrzadziej, monosylabami, za to śmiał się tak głośno jak pozostali. Gdy kończyli drugie piwo, przepijając nim kolejną wódkę – no to w imię ojca i syna, i ty wspomóż nas Najjaśniejsza Panienko, na pohybel wszystkim skurwysynom – więc gdy kończyli, zorientowałem się, że jestem świadkiem politycznej ekumenii, gdy przy jednym stole zgodnie siedzą przedstawiciele różnych sił, którzy na sejmowej sali na potrzeby publiczności poprzegryzaliby sobie gardła. Teraz natomiast tworzyli wesołe koło parlamentarne muminków-skurwysynków. Wiązanka bluzgów pod adresem jakiegoś faceta, o którym nigdy nie słyszałem. Patrz, młody, tam takie dwie laski siedzą, studentki pewnie, o, u mnie to by długo zaliczały, oj, długo, no co ty, mnie mówisz, że rok akademicki już się skończył, co ja na studiach nie byłem? Może nie orientalistyka, tak jak ty, ale na dziewczynach się znam i widzę, że chętne,

no, może byś tak spróbował. Najmłodszy ruszył do dziewczyn, te go zignorowały, a gdy wrócił do stolika, przywitało go wycie, ryk śmiechu i tupanie. Ogólny rozgardiasz wzmagał się jeszcze dzięki festiwalowi sygnałów i fragmentów melodyjek z telefonów komórkowych.

Po godzinie byłem napompowany ich błyskotliwą radością niczym balon startujący w zawodach o puchar Gordona Bennetta.

Skończyłem piwo, wytarłem resztki piany z kącików ust i podszedłem do nich. Dopiero po chwili zorientowali się, że pojawiło się jakieś obce ciało.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zwróciłem się do Hieronima Molendy.

– On już ma żonę, psa i polisę ubezpieczeniową. – To starszy i przezroczysty odezwał się pierwszy. – Akwizytorom dziękujemy.

Usłyszałem pomruk zadowolenia. Murzyn siedział z przymkniętymi oczami. Trwał z uśmiechem na ustach i wyglądał, jakby właśnie rozwiązał problem głodu w Afryce.

– Jak się czujesz jako ronin? – zwróciłem się do Molendy. – Ronin to taki samuraj, który stracił pana, ale studiowałeś orientalistykę, więc pewnie wiesz. A ty przecież straciłeś swojego pana. Niedawno… W Gdańsku.

Zapadła cisza. Kątem oka widziałem, że dwie dziewczyny wreszcie skierowały wzrok w naszą stronę.

– O co ci, kurwa, chodzi? – wycedził Molenda. – I kim, łazęgo, jesteś?

Poseł, nazywany Pustakiem, wstał. Rzeczywiście miał potężne dłonie, które teraz zacisnęły się w pięści.

– A zanim pan przyszedł – spojrzałem na niego – wie pan, jak pana nazywali?

– Czas zrobić z tym porządek – mruknął i zrobił krok w moją stronę.

– Zostaw go – rzucił przezroczysty. – To pewnie jakiś dziennikarzyna, który szuka tematu w sezonie ogórkowym. Założę się – zaczął się rozglądać – że zaraz złapie cię jakiś paparazzi i będzie, że pijani posłowie skatowali czwartą władzę.

Pustak namyślał się przez chwilę, a potem sapnął.

– Dobra, masz rację. Coś ty za jeden?

– Przyjaciel Piotra Markiewicza. Mam cię – zwróciłem się do Molendy – od niego pozdrowić.

– Piotra Markiewicza? Nie znam.

Pogroziłem mu palcem.

– Niełądnie tak kłamać. Wstyd ojczyźnie przynosić. Więc mam cię pozdrowić i powiedzieć, że stęsknił się i za tobą, i za białym pielgrzymem…

– Za kim? – nie wytrzymał przezroczysty. Przyłożyłem wierzch dłoni do nosa i wciągnąłem powietrze, jakbym brał działkę koksu.

Nawet Murzyn przestał się uśmiechać.

– Piotr musiał nagle wyjechać. Prosił, żebyście w różnych sprawach kontaktowali się ze mną.

Rozłożyłem na stoliku wizytówki. Moje imię. Nazwisko. Numer telefonu. Nic więcej.

– Chyba przestaniemy tu przychodzić, no nie, młody? – Pustak popatrzył na Molendę. – Dziwni kolesie tu przychodzą. Zaczepia taki palant, prowokuje, czegoś chce… Na nerwy działa… Niepotrzebnie się uniosłem. Praktykujący katolik wybacza. Nawet komuś takiemu jak pan.

Poseł wyciągnął do mnie dłoń na pożegnanie. Wyglądała jak średnich rozmiarów mięsisty krab. Podałem mu rękę. Znikła w potężnych szczypcach, ale wytrzymałem uścisk.

– No bo, proszę pana – sapnął – po co te nerwy. Po co sobie zatruwać dzień duperelami? Wie pan, czego nauczyłem się w polityce? – Zawiesił głos, jakby miał za chwilę zdradzić numer konta w banku szwajcarskim. – W polityce nauczyłem się, że nawet do chuja czasem warto się uśmiechnąć.

Więc się do niego uśmiechnąłem.

25

Oddaliłem się szybkim krokiem. Sprawdziłem, czy żaden za mną nie idzie, i wsiadłem do samochodu, który zamienił się w nagrzaną puszkę.

Nie mogłem jednak otworzyć okien ani włączyć klimy. Żadnego hałasu i zakłóceń. Jakoś wytrzymam. Ze schowka wyjąłem małe tranzystorowe radio i nastawiłem na fale ultrakrótkie.

Byłem policjantem po przejściach. Wewnętrznym uchem, które przeniosło się do Biura Spraw Wewnętrznych i zaczęło dobierać się do swoich, a ci w jednej chwili przestali być kolegami. Wybrałem nietypową drogę. Tak się złożyło. Ratowałem wtedy własną dupę i życie, ale mniejsza o to. Upał jest, nie chce mi się o tym opowiadać. Innym razem. I na pewno nie będę się nad sobą rozczulał.

Pracując w Biurze Spraw Wewnętrznych, dowiedziałem się o podsłuchach wszystkiego, i jeszcze trochę więcej. Dlatego pierwsze, co zrobiłem, to rozejrzałem się po Harendzie i oceniłem sytuację. Zasada rozchodzących się kręgów. Zajmowałem się Okońskim, ale to nazwisko Markiewicza poruszało czułe struny. Liczyłem, że tak będzie i tym razem. Że sprowokuję tego narwanego Molendę do działania. Wyobraziłem sobie, że odchodzę od stolika muminków-skurwysynków, a chłopak czuje, że musi gdzieś zadzwonić. Odbyć ważne i poufne rozmowy. Wstanie więc od stolika i nie pójdzie przecież do środka ani tam, gdzie najwięcej klientów. Skieruje się gdzieś bliżej wyjścia. Tam, gdzie stoi wielka doniczka z kwiatem i zainstalowaną przeze mnie pluskwą.

Mała rzecz, wielkości jednozłotówki, a cieszy. I, co ważne, nie wyprodukowano jej w Chinach.

Nie pomyliłem się. Usłyszałem trzask i zbliżyłem radyjko do ucha. Podkoszulek przylepił mi się do pleców, z trudem oddychałem.

Usłyszałem głos Hieronima Molendy.

„Tak, rozmawiałem z nim przed chwilą”.

Cholera, a więc zdążył już z kimś porozmawiać, zanim tu dotarłem.

„Pojawił się dziś w Harze jakiś facet. O zabójstwie Młynarczyka mówił. I że zna Markiewicza. Jesteś tam? Tak… Słyszysz wyraźnie… No nie wiem, co za jeden, zaraz… Hłasko jakiś… Janowiak twierdzi, że to może być dziennikarska prowokacja, Pustak też tak uważa, ale Pierwszy już nie. No tak… rozmawiałem z Pierwszym…”

Obok mnie przejechało nowiutkie audi i zadudniła muzyka. Trzaski w radyjku zakłóciły kilka kolejnych słów Molendy. Skrzywiłem się, jakbym poczuł nagły ból zęba. No, dalej.

„Umówiliśmy się na dziewiętnastą. Tak, dziś. Początkowo chciał na jakiejś stacji, ale w końcu na cmentarzu. Powiedział, że będzie u rodziców na Bródnie i że tak najlepiej… Tak… Tak… W tym miejscu, które wskazał ostatnio. Prawie tuż przy wejściu”.

Znowu trzaski i rozmówca się rozłączył.

– Dobrze, chłopaku – mruknąłem. – Dobrze się spisałeś.

Zdaje się, że rozbiłem imprezę. Odkręciłem szyby, założyłem bejsbolówkę i osłoniłem twarz daszkiem. Pierwszy wytoczył się Mandingo. Za nim dwóch, najbardziej gadatliwy i ten milczący. Pustak i Molenda siedzieli najdłużej. Zobaczyłem, jak chłopak rusza, wciąż z marynarką przerzuconą przez ramię, wreszcie wytoczył się ten, który nie lubi zatruwać sobie dnia duperelami.

Wróciłem do Harendy i wygrzebałem pluskwę z donicy.

– Naprawdę dobrze, chłopaku – powtórzyłem do siebie i odpaliłem seata.

26

Zobaczyłem ich o wiele wcześniej niż oni mnie. Samochód stał przy wjeździe w uliczkę. Jednego, lekko zgarbionego, zauważyłem przez okno.

Szybko. To była pierwsza myśl. Bardzo szybko się uwinęli.

Pojechałem do domu, żeby się przebrać. Ubranie było przepocone, a poza tym nie powinienem pokazywać się dziś tak samo ubrany.

Gdy wszedłem do środka, obaj siedzieli na kanapie.

– No jak to? Tak bez pukania? – Rozłożyłem ręce.

– Pukaliśmy, ale nikt nie otwierał – powiedział ten, który trzymał w ręce dossier Okońskiego.

Obaj równocześnie wstali i jak na komendę wyjęli legitymacje. Nawet nie spojrzałem, nie było sensu. Równie dobrze mogłoby być tam napisane, że jeden z nich to kapitan Nemo, a drugi Ahab. Młodszy, z ogoloną na zero głową, stanął przy drzwiach. Tyle że ja nie zamierzałem wychodzić. Jeszcze nie teraz. Na dworze czekał z pewnością trzeci, a poza tym to i tak miło, że spotykaliśmy się u mnie. Mogłem wyobrazić sobie kilka miejsc, w których czułbym się zdecydowanie mniej komfortowo.

– Bojaźń i drżenie – powiedziałem.

– Co? – padło spod drzwi.

– Bojaźń i drżenie – powtórzyłem. – Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Usiadłem na krześle i czekałem.

Łysy zbliżył się do mnie.

– Na początek zapytamy cię o to, co już wiemy. Potem o to, czego nie wiemy, ale co chcielibyśmy od ciebie usłyszeć. A na koniec sam powiesz całą resztę.

Ściągnąłem brwi i kiwnąłem głową w stronę tego starszego.

– Skąd on ten tekst wytrzasnął? Na jakich kursach uczą takiej gadki? Macie u siebie kółko dramaturgiczne czy co? Jestem pod wrażeniem. Poza

tym powiedz mu, że mówi do oficera.

Wysoki szczupły mężczyzna ubrany w granatowy garnitur uśmiechnął się.

– Z pana taki oficer jak ze mnie król Brunei. Dla mnie osobiście jest pan nikim.

– Sułtan – wtrąciłem uprzejmie. – W Brunei mają sułtanat.

Łysy chciał coś powiedzieć, otworzył usta, trwał tak przez chwilę, po czym zrezygnował. Zawsze w takich przypadkach jest taka gra – kto kogo wyprowadzi z równowagi. Wysoki najwyraźniej znał jej reguły. Leniwie rozprostował długie ręce. Wyglądał jak przeciągający się pająk.

– Grzebie pan – powiedział.

– Na razie to pan grzebie. – Wskazałem teczkę, którą trzymał w rękach.

– Co pan wie o Piotrze Markiewiczu?

– Dziennikarz. Zdolny. Do niedawna dziecko szczęścia. Ale coś mi mówi, że to się już skończyło.

– Dlaczego pan się nim interesuje?

Wzruszyłem ramionami.

– Wcale się nim nie interesuję.

Wyjaśniłem – to znaczy powiedziałem tyle, ile mogłem – że tak naprawdę interesuje mnie Daniel Okoński. A Markiewicz pojawił się zupełnie przypadkiem. Mam prywatne i delikatne zlecenie, proszę wybaczyć, ale nie mogę powiedzieć, kto jest moim zleceniodawcą. No i dowiaduję się, że ten Markiewicz zniknął. Okoński także. Ale dlaczego? I gdzie są? Razem czy osobno? Zrobiłem zmartwioną minę.

– Czy słyszał pan o Sławomirze Młynarczyku?

– O tym pośle? Słyszałem. Ktoś odstrzelił go na Wybrzeżu.

– A o Grzegorzu Wiślickim, też pośle, pan słyszał?

– To ten, który spalił się w mieszkaniu? Naprawdę czarna seria polskiego parlamentaryzmu… Pan pozwoli, że teraz ja o coś zapytam. Czy ten Markiewicz jest zamieszany w śmierć Młynarczyka? I obaj obsypali sobie paluszki białym proszkiem? Do tego Wybrzeże, przemyt… Wszystko się zgadza…

Chciałem, by w moich pytaniach wyczuli groźbę. Tak, wiem trochę więcej i podzielę się moją wiedzą. Na przykład z dziennikarzami. Niech złapią nowy trop. Więc lepiej mnie nie denerwować.

Nie odpowiedział na moje pytania.

– Pan naprawdę niepotrzebnie grzebie. I, nie ukrywam, martwi mnie to. Pojawił się pan nagle i teraz utrudnia nam pracę swoim wścibstwem i pytaniami.

– A jak sprawuje się laptop? – Postanowiłem przejść do ataku.

– Jaki laptop?

– Ten, który zabrał pan z mieszkania Okońskiego. Zapomnieliście wytrzeć kurz na biurku.

Patrzył na mnie w milczeniu. Trwaliśmy tak minutę albo dwie. Kto kogo. Rozmowa zaczynała się przeciągać, a ja miałem jeszcze coś do zrobienia. Wyjąłem telefon, zerknąłem na wyświetlacz, jakbym sprawdzał, czy przyszła nowa wiadomość, i schowałem go do kieszeni.

– Patrzył pan na zegarek? Spieszy się pan?

Miałem nadzieję, że ten trzeci nie przeszukuje teraz mojego samochodu. I że nie znalazł radyjka oraz pluskwy.

Zrobiłem beztroską minę.

– Szczęśliwi czasu nie liczą. Świetnie się z wami rozmawia, chłopaki.

Łysy kręcił się przy drzwiach. Zachowywał się jak zdezorientowany bokser, którego trener nie chce wypuścić z narożnika na kolejną rundę.

– Pański kolega – wskazałem na niego – ma ADHD. Powinniście nad tym popracować.

– Pracujemy zupełnie nad czymś innym. Proszę się wyłączyć z tej sprawy. Tak po przyjacielsku pana proszę. Na razie.

Spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Az innej beczki. Ma pan zdrowe kolana? – zapytałem.

– Co? Tak. Zdrowie dopisuje.

– No to może mi pan naskoczyć.

Łysy ruszył w moją stronę, ale starszy powstrzymał go ruchem ręki. Skrzywił się i cienkie blond wąsy się uniosły.

– Niezły z pana kogucik. Ale na mnie te popisy nie robią wrażenia.

Zbliżył się do szachownicy i patrzył na ustawienie figur. Poruszyłem się niecierpliwie. Cholera, miałem coraz mniej czasu. Jeśli to spotkanie potrwa dłużej, cały mój plan weźmie w łeb.

– Ciekawa końcówka – mruknął.

Wziął czarnego króla i położył go na szachownicy.

– Naprawdę, proszę na siebie uważać – dorzucił.

27

Musiałem się spieszyć. Wyjąłem z szafy wymiętą koszulę w kratkę, do plastikowej butelki nalałem wody, znalazłem szmatkę i wrzuciłem to wszystko do torby z Lidla. Wsiadłem do samochodu. Radyjko i pluskwa leżały w schowku, raczej nikt w seacie nie grzebał. Nie mogłem mieć pewności, że chłopcy ze służb nie założyli mi podsłuchu, a w samochodzie nie zamontowali innych zabawek, ale, po pierwsze, nie miałem czasu, by teraz to sprawdzać, a po drugie, ton odbytej rozmowy wskazywał, że nie traktowali mnie poważnie. Raczej mnie sprawdzili i próbowali zniechęcić, tak jak odgania się natrętną muchę. A gdy to się nie uda… Przypomniałem sobie czarnego króla położonego na szachownicy.

Ledwie ruszyłem, zatrzymał mnie policjant.

– Co jest? – Wychyliłem się przez szybę.

– Zbierają się na marsz. Musi pan poczekać. Zaraz przejdą.

Faktycznie, gdzieś o tym czytałem. Jedni mieli dziś miesięcznicę, drudzy marsz milczenia przeciwko przemocy i mowie nienawiści. I za przestrzeganiem standardów w życiu publicznym. Jeszcze jeden rykoszet po śmierci tego posła w Gdańsku. Swoją drogą, nieźle to wymyślili. Może to sprawka tego Matusa z PolisPro Poland. Uśmiechnąłem się, wspominając szefa PPP, choć wcale nie było mi do śmiechu. Minuty biegły nieubłaganie i miałem coraz mniej czasu.

Zgasiłem silnik. Wszystko wskazywało na to, że sam też oberwałem rykoszetem. Chciałem mieć prawdziwe życie, no to je wreszcie mam. Marzenia się spełniają.

Kurwa mać.

Poruszyłem się niespokojnie w fotelu. Miałem zająć się Okońskim, a tymczasem jego kumpel okazał się ważniejszy. Czy to Markiewicz strzelał w Gdańsku? Ludzie, gdy chcą mieć dostęp do towaru, są zdolni do

wszystkiego, ale to wyjaśnienie byłoby zbyt proste. Sprawą zajmowaliby się zwykli kryminalni, a nie ci przemili chłopcy, którzy mnie dziś odwiedzili. Powód musi być inny. I właśnie ta nieznana mi jeszcze przyczyna sprawiała, że Molenda skamieniał, gdy wymieniłem nazwisko dziennikarza. A potem zrobił to, co przewidziałem. Wciąż nie potrafiłem połączyć z tym Okońskiego, ale cierpliwości, wszystko w swoim czasie.

Moja cierpliwość została wreszcie wynagrodzona. Policjant machnął ręką i ruszyłem. Kilka razy uważniej spojrzałem w lusterka, ale nic nie wskazywało na to, że mam ogon. Dojechałem do cmentarza Bródnowskiego i zaparkowałem seata przy murze, tyle że po stronie, po której kiedyś rozciągał się PGR. Słyszałem, że chcieli tam robić drugą część cmentarza, ale odstąpili od tego szalonego pomysłu.

Politykom brakuje wyobraźni. Jak nie stacja benzynowa, to cmentarz jako miejsce schadzek. Zrobił się kwadrans po siódmej i miałem nadzieję, że *rendez-vous* wciąż jeszcze trwa. Nasunąłem na głowę czapkę, ruszyłem biegiem i zwolniłem dopiero przy bramie.

Znalazłem ich bez trudu. Stali w alejce odchodzącej na lewo od głównej alei. Pochyliłem głowę i przykucnąłem koło jednego z nagrobków po drugiej stronie. Pomnik zasłaniał mnie dość dobrze i mogłem obserwować, co się dzieje. Hieronim Molenda stał zwrócony do mnie bokiem, a obok niego ten, którego też widziałem dziś w Harendzie. Ten małomówny. Trzeci mężczyzna, znacznie starszy od nich, ubrany w ciemny garnitur, zaciągał się papierosem. Gdzieś już tę twarz widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Czwarty, najniższy, mignął mi tylko, gdy Molenda się przesunął.

Wyjąłem z torby szmatkę i butelkę z wodą, żeby wyglądało, jakbym przyszedł posprzątać grób kogoś bliskiego. Słońce przeświecało spomiędzy drzew, a delikatny, od dawna wyczekiwany przeze mnie podmuch wiatru wywołał szum liści. Molenda coś mówił, jednak z tej odległości nic nie słyszałem. Beżowa marynarka spadła mu z ramienia, podniósł ją i otrzepał. Starszy mężczyzna zgasił papierosa i spojrzał na zegarek.

W ręku trzymałem komórkę. Włączyłem aparat i powiększyłem obraz. Cztery głowy, w tym jedna wciąż częściowo zasłonięta, mieściły się w kadrze. Pstryknąłem zdjęcie. I jeszcze jedno, by uchwycić tło. Narada została zakończona. Rozchodzili się po dwóch. Najstarszy szedł z Molendą. Położył mu dłoń na ramieniu i coś tłumaczył. Wreszcie przyjrzałem się

temu czwartemu. Drobny mężczyzna koło czterdziestki, w lekkiej sportowej kurtce. Wcześniej go nie widziałem. Korciło mnie, by zrobić jeszcze jedną fotkę, ale uznałem, że to zbyt ryzykowne. Pochyliłem się nad nagrobkiem i pracowicie pucowałem płytę wilgotną szmatką.

W samochodzie obejrzałem zdjęcia. Wyszły nie najgorzej. Ten najstarszy… Skąd ja go mogę znać? Pokręciłem głową. On tu rządził. I to o nim Molenda mówił przez telefon. Zapewne rozmawiał wtedy z tym czwartym.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i niemal w tym samym momencie zgasiłem silnik. Zaraz. Jak to było? Umówiliśmy się w miejscu, które wskazał ostatnio. Chyba tak powiedział. A zatem już tam wcześniej byli. Dlaczego właśnie tam?

Wróciłem na cmentarz już bez kraciastej koszuli i czapki. Lewa alejka, charakterystyczne miejsce, tuż obok duża figura anioła ze złamanym skrzydłem. Przy nagrobku, gdzie się przed chwilą spotkali, leżały dwa niedopałki. Popatrzyłem na pękniętą tablicę i litery zniszczone przez czas, a także brak troskliwej ręki. Odczytałem nazwisko – trzy sylaby. Czternaście lat temu. Porównałem datę narodzin i śmierci. Pokręciłem głową. Byłem tak samo mądry jak przedtem.

W domu wziąłem prysznic. Nic nie wskazywało na to, by ktoś mnie odwiedził. Sprawdziłem, czy sympatyczni chłopcy ze służb zostawili jakieś pluskwy, ale niczego nie znalazłem. Popatrzyłem na zrobione po południu zdjęcia i wpadłem na pewien pomysł.

Nie musiałem długo czekać na jej telefon.

– Skąd je masz?

– Lubię włóczyć się po cmentarzach. Ciekawych ludzi można tam spotkać.

– No, ciekawych. No i ten menda Harenda Molenda.

– A ci pozostali? Znasz ich? – spytałem.

– Jak to? Nie poznajesz? To poseł Maj. Szemrana postać. Taki obrotowy, był już chyba we wszystkich możliwych partiach, mógłby z takim wynikiem startować do Księgi Guinnessa. Mało mówi, za to o nim mówią, że jest jak bank informacji. Wie wszystko o wszystkich.

– A ten starszy?

– No nie wygłupiaj się! To Gilbas. Wiceminister sprawiedliwości Józef Gilbas.

Pstryknąłem palcami. Jasne. Widziałem go w sieci, jak grzmiał po śmierci Młynarczyka. Jak to szło? Dla mordercy lub morderców mam złą wiadomość: nie zaznacie spokoju. Przyjdziemy po was. Chyba tak to szło.

– Co oni tam robili?

– Rozmyślali o przemijaniu. O kruchości życia.

– Mogę… mogę to wykorzystać? – zapytała niepewnie Ewa Ciszewska. – Jest taki portal poświęcony polityce, ostra rzecz i…

– Nie – przerwałem jej. – Nie możesz. Jeszcze nie teraz. Czuję, że będziesz miała coś lepszego. Zachowaj te fotki, ale nie pal tematu.

– Jakiego tematu? Jaki to ma związek z Markiewiczem i Okońskim?

– Wciąż krążę po omacku. Ale czuję, że wkrótce się rozjaśni.

Dwie godziny później znów zadzwonił telefon. Numer prywatny. Wiedziałem kto.

– Już zacząłem za panią tęsknić. Ale pani pewnie za mną bardziej.

Cisza.

– Halo?

Nic. Więc ja też milczałem. Ja i ten ktoś wsłuchiwaliśmy się w ciszę. Trwało to może dziesięć sekund. Potem połączenie zostało przerwane.

Podreptałem do sejfu i wyjąłem walthera. Tak na wszelki wypadek. Próbowałem oglądać *House of Cards*, ale nie mogłem się skupić. Tym razem Kevin Spacey nie okazał się moim sprzymierzeńcem.

Dochodziła północ. Zadzwoniłem do Clyde’a, tak jak się umawialiśmy.

– Wszystko gra – powiedział. – Gotowi do startu. Chciałbym widzieć jego minę.

– Nie zobaczysz, niestety, ale ci opowiem. Widujesz się ze starymi kolegami?

– A co?

– Jeszcze jedna rzecz.

Podałem nazwisko.

– Tak, to chyba nie jest przypadek. Umarł dość młodo. Szesnasty listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Spróbuj się dowiedzieć, może coś mają.

Obejrzałem jeszcze jeden odcinek serialu. Tym razem poszło mi lepiej. Zbliżała się pewnie druga w nocy, gdy zasnąłem.

Śnił mi się cmentarz. Stałem i patrzyłem na nagrobek obcego człowieka. Trzymałem papierosa, choć nie palę od wielu lat. Nasycone jesiennymi

kolorami liście wirowały w powietrzu i opadały na płytę. Aż wreszcie całkiem przesłoniły nazwisko. Obraz rozmył się i zamienił w pulsującą w jednostajnym rytmie plamę. A potem plama zamieniła się w światła policyjnych radiowozów i usłyszałem syrenę. Ktoś krzyczał. Jacyś ludzie nieśli mnie na noszach. TRX. TRX. Głos dobiegał z oddali. Ktoś wymówił imiona mojego brata i ojca.

Obudził mnie sygnał telefonu. Numer prywatny. I znów cisza.

– Klub Dyszących w Słuchawkę jest z ciebie dumny – warknąłem. – Mistrz. Naprawdę mistrz.

Zasnąłem nadspodziewanie szybko. Sen już nie powrócił.

CZĘŚĆ CZWARTA

28

Była dziesiąta rano i firma PolisPro Poland dopiero budziła się do życia. Recepcjonistka poznała mnie i obrzuciła spojrzeniem, jakim traktuje się wystający gwóźdź w bucie. Chciałem jej coś powiedzieć, coś krzepiącego, tak na dobry początek dnia, jak w telewizji śniadaniowej, ale właśnie zadzwonił telefon. Dałem więc spokój, wysłuchałem natomiast, jak spławia jakiegoś natręta, no bo szef, no tak, niestety, szef ma dzisiaj spotkanie za spotkaniem.

Pierwsze miał mieć ze mną.

Poprowadziła mnie do gabinetu, mijając zaspanych menedżerów, którzy kawą próbowali zwalczyć kaca. Poza tym nie działo się nic, co zasługiwałoby na uwagę.

Znalazłem się w gabinecie i od razu wiedziałem, że jest dobrze. Andrzej Matus zignorował mnie i wpatrywał się w ekran laptopa. Usiadłem grzecznie w moim ulubionym fotelu dla fetyszystów, splotłem dłonie, kręciłem młynka kciukami i patrzyłem na niego.

– Wie pan – odezwałem się w końcu – zastanawiam się czasami…

Jakby mnie nie było.

– Jakiś kłopot? Ma pan jakiś problem z laptopem?

Otarł czoło.

– Co jest… – mruknął. – Co jest, do…

Wpatrywał się w monitor jak zahipnotyzowany.

– Wie pan, zastanawiam się, co będzie, jak to wszystko kiedyś pierdolnie?

– Jak co? – Wreszcie udało mi się przykuć jego uwagę.

– Jak pierdolnie – powtórzyłem spokojnie. – Wie pan – ruchem ręki próbowałem wzmocnić moją wizję – ta cała elektronika… Laptopy, fejs, konta bankowe, ściany płaczu z kasą. Elektrownie, zdalne systemy

zarządzania wszystkim i niczym. Komórki. Interfejsy. Hardware. Software. To będzie jakaś globalna katastrofa. Cybernetyczne tsunami, no nie?

Nie słuchał już mojego wywodu i znów wpatrywał się w monitor.

Spojrzałem na telefon. Godzina zero wybiła.

– Zdaje się, że przyszła do pana jakaś wiadomość. Ważna, jak sądzę…

Minęło kilka sekund, nim zrozumiał sens moich słów. Kliknął nerwowo myszką.

– Co to? – wyszeptał. – Co to wszystko znaczy?! – Podniósł głos.

– O ile się nie mylę, są tam filmiki. Dużo nieletnich, ale Walt Disney by się raczej nie ucieszył… Bardzo wielu bardzo nieletnich…

– To pan? – Skrzywił się. – Pan to zrobił? Zaraz każę…

Wstałem i podszedłem do biurka.

– Nic pan nie każe. To, co pan widzi, jest niewinną zapowiedzią tego, co nastąpi. Za siedem minut… – spojrzałem na wyświetlacz komórki – tak… już za sześć minut te filmiki znajdą się na stronie pańskiej firmy. Za dziesięć zadzwonią pierwsi dziennikarze. Nie minie pół godziny, a będzie tu policja…

– No to doskonale – mruknął. – Poczekamy.

– I powiem panu, co zrobią – ciągnąłem. – To w ogóle ciekawe, bo odkrywam w sobie jakiś profetyczny dar. I krystalicznie widzę przyszłość. – Przymknąłem oczy. – Przyjadą i przetrzepią wszystkie komputery. Prywatne laptopy też. Ciekawe, co tam znajdą? Zawsze przecież coś się znajdzie, pan i pańscy obrotni chłopcy z pewnością macie niejedno za uszami. A zanim pan dowiedzie, że nie ma z tym nic wspólnego, będzie pan skończony. W oczach klientów także. Nikt nie odważy się współpracować z pedofilem. Wielu ludzi czeka na pańskie potknięcie, a gdy się doczeka, podskoczy z radości. Zostało pięć minut…

Rozległo się pukanie.

Drzwi się uchyliły i do gabinetu wsunął głowę jeden z menedżerów.

– Szefie, coś dziwnego dzieje się z naszą siecią. Wszystkie komputery zaczęły wariować…

– Wiem! – ryknął Matus. – Wyjdź, no już!

A gdy drzwi się zatrzasnęły, popatrzył mi w oczy.

– Dobra. Wygrałeś. Czego chcesz, skurwysynu? Zrób coś z tym – dodał błagalnie.

– Ostatnio, gdy tu byłem, urządził pan sobie Dzień Kłamczuszka…

– Zatrzymaj to! – Matus nie wytrzymał. Szarpnął mnie za ramię. – Zatrzymaj to jakoś! Słyszysz?

Popatrzyłem na jego czerwoną twarz i popękane naczynka w oczach. Z ociąganiem sięgnąłem po drugi telefon, połączyłem się i zaraz rozłączyłem.

– Tsunami może powrócić – ostrzegłem. – Wszystko zależy od odpowiedzi, jakie usłyszę. A najpierw chcę wiedzieć, nad czym pracował Okoński.

– Nie mam pojęcia, naprawdę. – Rozłożył ręce. – Sam chciałem wiedzieć, mam… mam tylko to – dodał szybko.

Gdy otwierał szufladę, drżały mu ręce. Wyjął pendrive’a i niepewnie wsunął do gniazdka, jakby nie był pewny, co tam zobaczy.

– Raz Okoński zostawił to na swoim kompie. Była jakaś szybka akcja, którą musiał się zająć. Zgrałem to, nim zauważył. Wie pan, lubię wiedzieć, czym zajmują się moi ludzie, i staram się trzymać rękę na pulsie. Ale to jakieś starocie… Bez sensu… Nic mi to nie mówi…

Spojrzałem na ekran.

Skan czarno-białego zdjęcia. Odręczna notatka napisana na kartce w kratkę małymi literkami. Kilka cyfr. To wszystko.

Wyciągnąłem rękę. Bez słowa wręczył mi pendrive’a.

– I o to tyle zachodu? O to? Co z tym Okońskim? – spytał.

Sam chciałbym wiedzieć. Swoją drogą, to się nazywa troskliwy szef.

– A Markiewicz? – zbyłem jego pytania. – Znał go pan jednak dość dobrze…

– Wcale nie dobrze.

Ruszyłem do drzwi.

– Widzę, że jednak się nie dogadamy. Zostawiłem samochód po drugiej stronie Puławskiej. – Wskazałem okno. – Popatrzę, jak podjeżdża policja i wóz TVN-u. Zaczyna się martwy sezon, będą mogli sobie na panu pouży wać. Może nawet znajdzie się pan na pierwszych stronach tabloidów. Moje gratulacje. Chyba że znów ktoś umrze i to pana uratuje.

– Proszę poczekać. Daje pan słowo honoru, że to pozostanie między nami? Słowo?

– Pan jeszcze myśli, że ja mam jakiś honor? W dodatku lizus z pana. To jest naprawdę… jak to nazywacie – szukałem w pamięci – sytuacja

kryzysowa. – Podszedłem do niego. – Naprawdę musimy do końca odbyć naszą sesyjkę kju and aj. W przeciwnym razie…

– Dobra. – Matus szybko skinął głową. – Coś z tego miałem.

– Z czego? Ze związków Markiewicza z politykami i koksem w tle?

– Dałem mu ten domek.

– Domek?

– Mam taki. W Magdalence. Oni tam ostro imprezowali. Poprosił mnie kiedyś o spotkanie. Wiedziałem, czym się zajmuje. To menda. Staram się trzymać z daleka od takich spraw. Powiedział, że poprzednie lokum się nie nadaje. Spalone. Że sąsiedzi nabrali podejrzeń. No to dałem mu klucze w marcu. Prosił, powiedział, że tylko na kilka miesięcy. I tak tam wiosną nie jeżdżę, dopiero latem…

– Co tam się działo? Kto bywał w tym domu?

– Nie wiem. Nie imprezowałem z nimi. Czasami lepiej nie być ciekawskim.

I kto to mówił? Popatrzyłem na Matusa.

– Co Markiewicz dawał w zamian?

– Kontakty. Naprawdę dobre kontakty. Dzięki temu – rozejrzał się po pokoju, jakby obawiał się, że zamontowałem gdzieś podsłuch – mam mieć kompleksową obsługę kampanii wyborczych, a zbliżają się wielkimi krokami. To prawie klepnięte…

Miałem gdzieś jego interesy i dalekosiężne plany.

– Adres?

Zamrugał zdziwiony.

– Jaki adres?

– W Magdalence. Pan pozwoli, że trochę się rozejrzę.

Co mógł zrobić? Pozwolił.

– Jakieś kamery? Alarmy?

Nic z tych rzeczy. Dowiedziałem się, że zostały zdemontowane, gdy pojawił się Markiewicz ze swoimi gośćmi.

– Klucze do domu. – Wyciągnąłem rękę.

– Nie mam. Nie noszę ze sobą. Trzymam w mieszkaniu, a jeden komplet wciąż ma Markiewicz.

– A Okoński? Jemu też dawał pan klucze do tego królestwa?

– Nie, nigdy.

Stałem przy drzwiach i przypatrywałem się prezesowi PolisPro Poland. Milczeliśmy. Uznałem, że więcej z niego nie wycisnę. Obraz, który do niedawna był zamglony, nieco się rozjaśnił. Wreszcie ruszyłem do przodu.

– Tej rozmowy nie było. Mnie tu nie było. Jak słowo honoru, jeśli to dla pana coś znaczy… A tak poza tym – rozłożyłem ręce jak kaznodzieja, a potem wskazałem laptop – to naprawdę kiedyś skończy się piękną katastrofą.

Minąłem bez słowa recepcję, ale po chwili się cofnąłem.

– Znaki na niebie i ziemi szepczą mi – machnąłem ręką w stronę gabinetu – że dzisiaj będzie miał zły dzień. Proszę nie wchodzić mu w drogę.

Jakby na potwierdzenie moich słów z gabinetu dobiegł głos Andrzeja Matusa:

– Nie ma mnie dziś! Nie ma mnie dla nikogo! Nawet dla mnie samego mnie nie ma!

Rozległ się gardłowy śmiech. Prezes próbował jakoś ratować sytuację i rozładować napięcie, bo dało się odczuć, że w boksach przeskakują iskry, a kac ostatecznie wyparował. Miałem tylko nadzieję, że Andrzej Matus nie zwariował. Szaleńcy robią głupstwa.

Marcin Hłasko. Urodzony szantażysta. Moralista. Prorok. Gdybym tak reklamował swoje usługi, miałbym u stóp cały świat.

A swoją drogą ciekawe, co prezes chomikuje w laptopie? Naprawdę ciekawe…

29

Czy jeśli Jezus urodziłby się w Pyrach, tak, tych malowniczych Pyrach między Warszawą i Piasecznem, byłby tym, kim był? Myślałem o tym w studenckich czasach, gdy kontaktowałem się mentalnie z Timothym Learym i innymi piewcami odmiennych stanów świadomości, oni zaś poklepywali mnie po ramieniu i byli ze mnie dumni. Konkluzji tamtych rozważań nie pamiętałem, ale tak to już jest z psychodelią. I ten problem, tak ważny dla ludzkości, przypomniał mi się nagle teraz, w drodze do Magdalenki.

Zanim wyruszyłem, zajrzałem do domu. Na osobnej kartce wydrukowałem zdjęcie w powiększeniu, na drugiej kilka zeskanowanych zdań wraz z dopiskami poczynionymi malutkimi literami. Obejrzę to sobie po drodze. Pendrive'a schowałem do sejfu.

Nie utknąłem w korku, nie miałem więc okazji, by przyjrzeć się, nad czym pracował Okoński. Zresztą i tak większe nadzieje wiązałem z tym, że natrafię na coś ciekawego w Magdalence. Sprawnie pokonałem Puławską, minąłem najpiękniejszą galerię sztuki na świeżym powietrzu, na ciągnącym się kilometrami murze toru wyścigów konnych. Przypomniałem sobie kilku debili, którzy chcieli, dla komercyjnych potrzeb, go zniszczyć. Pomyślałem, że nawet dziś nie wszystko jeszcze jest na sprzedaż, i ta myśl wydała mi się krzepiąca. Raz drogę zajechał mi opel z szalikiem Legii wczepionym w tylną szybę. Tego lata obnoszenie się z klubowymi barwami stało się modne, wiele razy widziałem tak ozdobione auta. W Lesznowoli zatrzymały mnie samochody ochrony pogranicza. Byłem tu jakiś czas temu, w strzeżonym ośrodku dla cudzoziemców, gdy poszukiwałem pewnego Ormianina. Wypiłem wówczas kawę z podpułkownikiem, miłym i konkretnym facetem pilnującym tego przybytku, i przekazałem pozdrowienia od naszego wspólnego znajomego. Był to jeden z tych

siedmiu ludzi, do których dzwoniłem z telefonu do spraw nagłych, pilnych i awaryjnych.

GPS znów odmówił współpracy i Krzysztof Hołowczyc milczał jak grób. Zbliżałem się do Magdalenki. Kiedyś uprawiano tu politykę i tworzono wielką historię, pijąc toast za toastem. Potem doszło do prawdziwej jatki, która podważyła prestiż chłopaków w kominiarkach i polskich służb specjalnych. Podczas spapranej akcji kilka osób straciło życie i zdrowie, a znacznie więcej ciepłe posadki. A teraz, tak słyszałem, Magdalenka stała się ulubionym miejscem rozmaitych gwiazd i gwiazdeczek telewizji, jurorów, showmanów, pogodynek i prezenterów. Takie czasy. Mówiono, że jedno z opanowanych przez nich osiedli nazywa się Małpiarnią.

Zatrzymałem się przy sklepie. Obok kartki informującej o zakazie spożywania alkoholu stało dwóch mężczyzn otoczonych czterema pustymi butelkami po piwie. Zapytałem o drogę i wręczyłem dowód wdzięczności pozwalający chłopakom kontynuować dobrze rozpoczęty dzień.

– A wiesz, Jurek, co? – zagadnął jeden, nie wiadomo dlaczego nazywając mnie Jurkiem.

– No co?

– Taki wczorajszy wciąż jestem. Taki zakręcony. Zakręcony jestem jak jaja barana.

Obaj się roześmiali, a ja, Jureczek, serdeczny kumpel, zawtórowałem. Gdybyśmy kiedyś naprawdę połączyli siły, Monthy Pyton miałby konkurencję, a nasze kabarety poszłyby na bezrobocie.

Ruszyłem dalej, lecz trochę się obawiałem, czy zwichrowane błędniki tych dwóch zakręconych nie wyprowadzą mnie na manowce. Minąłem ulice Jesionową, Grabową i kilka innych wymyślonych przez miłośników dendrologii i wreszcie dotarłem na miejsce.

Musiałem przyznać, że ten Markiewicz dobrze to wymyślił. Dom stał na skraju lasu i z dwóch stron był osłonięty drzewami. Zielonkawa dachówka i drewniane ogrodzenie sprawiały, że doskonale wtapiał się w otoczenie. Zaparkowałem samochód nieco dalej i wyjąłem komplet wytrychów.

Furtkę pokonałem bez problemu. Rozejrzałem się.

Rzeczywiście nigdzie nie dostrzegłem dodatkowych zabezpieczeń. Alejka wysadzana tujami i wysypana żwirem prowadziła do schodów, na których stała olbrzymia donica. Ktoś zrobił sobie z niej popielniczkę.

Obejrzałem niedopałki. Na dwóch, tych z filtrem, były ślady szminki. Dwie minuty później znalazłem się w domu.

Tu naprawdę przydałaby się Perfekcyjna Pani Domu z telewizji.

Wąski hol wyłożony deskami poprowadził mnie do kuchni. Ominąłem zaschniętą kałużę koloru zaschniętej krwi oraz rozbitą butelkę po winie. Koło zlewu walały się opakowania po sushi. Policzyłem: dziesięć porcji. Zapamiętałem nazwę firmy cateringowej. Na stole ciągnęła się zielona smuga, pewnie po wasabi. Za to za nogą stołu, przy ścianie, dostrzegłem coś ciekawego. Schyliłem się i podniosłem dwa kryształki. Zmrużyłem oczy i obejrzałem je pod światło. Najwyraźniej każdy zaspokajał głód jak chciał.

W salonie panował mrok. Żaluzje opuszczone, ale i tak widać było bałagan. Potrąciłem pustą butelkę po whisky, która potoczyła się w stronę kina domowego. Pośrodku salonu stała potężna plazma, wokół niej leżały płyty DVD. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wszystkie o tematyce przyrodniczo-ginekologicznej. Dla każdego coś miłego.

Opadłem na potężną kanapę. Ze szpary między siedziskiem i oparciem wygrzebałem zużytą prezerwatywę. Schyliłem się i natrafiłem na foliową torebkę ze śladami proszku w środku.

Obszedłem pozostałe pomieszczenia. W łazience, w koszu na brudy, znajdowało się sześć ręczników, na piętrze w sypialniach zmiętolona pościel i dwie sztuki damskiej bielizny z różnych kompletów.

Raz jeszcze obszedłem cały dom, tym razem jednak przyjrzałem się lampom. I ta w salonie, i te w sypialniach na górze wyglądały tak samo. I, co najważniejsze, ze wszystkich zwisały dodatkowe druciki.

Fuszerka. Ktoś nie pomyślał. Zdemontował kamery, ale zapomniał o przewodach. Albo zamierzał wszystko posprzątać, lecz nie zdążył.

„Grasował tu kapitan Hak”, mruknąłem pod nosem. Ktoś zbierał haki. I to w wersji *all inclusive*. Wóda. Żeńskie dziwki. Męskie dziwki. Amfa. Koks. Pomyślałem o odstrzelonym pośle. Jedni ludzie umarli, inni zniknęli, a są jeszcze tacy, którzy wpadli w panikę i zbierają się na cmentarzu. Ci wydawali się najmniej obliczalni. Tak czy inaczej, było sobie gniazdko uciech i coś nagle zaczęło się sypać.

Przyda się chwila przerwy i obejrzę sobie dom jeszcze raz. Świeżym okiem. Wróciłem do kuchni, wyjąłem z lodówki butelkę wody mineralnej, odkręciłem i powąchałem. Postawiłem szklankę na stole, a obok niej

położyłem dwie kartki. Co ma z tym wspólnego Okoński? Markiewicz był kimś w rodzaju alfonsa, narajał klientów, zwoził ich tu, a potem nagrywał. Kolega, młody geniusz zajmujący się marketingiem politycznym, na pewno był pomocny. Gdyby obaj zniknęli w tym samym czasie, sprawa byłaby oczywista. Jednak o Okońskim słuch zaginął wcześniej. I jeszcze ta pocztówka z Pragi…

Pochyliłem się nad fotografią. Pomyślałem o Okońskim.

Nad czym pracowałeś? Czym się zajmowałeś, gdy nie zbierałeś tutaj haków i gdy nie było cię w PolisPro Poland? I co robiłeś dla Króla, który płaci mi dużo, bardzo dużo, żebym cię odnalazł? Pytania powracały kolejny raz, a ja wciąż nie znałem odpowiedzi.

To było bardzo stare zdjęcie. Młody mężczyzna w berecie wpatrywał się w obiektyw. Prawą rękę opierał na trzonku łopaty wbitej w ziemię. Mogła być wczesna wiosna, gleba była zaorana, gdzieniegdzie bielały resztki śniegu. Na drugim planie, w oddali, ktoś klęczał wpatrzony w ziemię i zupełnie nieświadomy, że znajdzie się na zdjęciu. Jeszcze dalej, za nim, fotograf uchwycił plamę, która mogła być konturem jakiegoś budynku, wozem, ale równie dobrze czymś innym.

Przyglądałem się twarzy. Coś w niej przykuło moją uwagę. Grymas albo spojrzenie. Udręka? Ten człowiek, ubrany w płócienne spodnie i gumofilce, sfotografowany podczas jakichś wykopków, wydawał się zmęczony. Pozował do fotografii, ale wcale tego nie chciał, jakby ktoś go zmusił. Lekko zgarbione plecy. Jak pod niewidzialnym ciężarem. Było w rysach jego twarzy jeszcze coś, nie potrafiłem jednak tego nazwać.

Spojrzałem na notatkę. Rzymska trójka i rok 1953. Dwa charaktery pisma. Wyblakły tekst pisany większymi, pochyłymi literami, oraz pismo, które znałem: kilka cyferek napisanych ręką Okońskiego:

67.694.627

Zadzwoniłem do Clyde’a.

Więc, Clyde, stary świntuchu, doskonale się spisałeś. Jakie miał oczy? Wielkie i wystraszone. Jak nutria. A jakie ja miałem, gdy zobaczyłem, co mu podrzucisz? W sumie wyszło świetnie, a teraz jestem w Magdalence, w orgietkowym domu, spodobałoby ci się tu, no i tak w ogóle Liz Salander byłaby z ciebie dumna. Nie wiesz, kto to jest? To niezwykłe, że są jeszcze

mężczyźni, którzy nie znają *Millenium*. Liz lubi i chłopców, i dziewczynki, tak jak ci tutaj. I ma tatuaże, zupełnie jak ty. Że co? Nie masz tatuaży? I że mam się walić? Ale zanim to zrobię, zaczekaj.

– Jeszcze jedno.

Podyktowałem mu osiem cyfr z kartki.

– Nie wiem, co to jest. Nawet nie wiem, czy ma jakieś znaczenie. Numer telefonu, kod do sejfu, fragment rachunku bankowego albo IP komputera? A może szczęśliwy numerek w lotto. Twoja w tym mądra głowa.

Wróciłem do notatki. III 1953.

W mojej kieszeni zadzwoniła komórka. Popatrzyłem na wyświetlacz i ściągnąłem brwi. Zanim odebrałem, wiedziałem już, że coś się stało.

– Nie ma go – wyszeptała. – Zniknął. Nie wiem, gdzie jest.

W jednej chwili Magdalenka przestała być ważna.

30

Ruszyłem w stronę Otwocka. Po drodze złamałem wszystkie możliwe przepisy, tak mi się przynajmniej wydawało.

Musiała słyszeć zbliżający się samochód, bo wybiegła do odrapanej furtki. Spojrzałem w oczy czerwone od płaczu. Dziewczyna o Smutnym Uśmiechu. Nie, tu już nawet smutku nie było. Tylko beznadzieja i rozpacz.

Weszliśmy do domu. Ja pierwszy, a ona za mną, z ociąganiem, jakby bała się przejść przez próg.

Kazałem jej usiąść. Zrobiłem sobie kawę, żeby nie musiała sama mocować się z ekspresem, zaproponowałem także jej, ale odmówiła ruchem głowy.

Krucha dziewczyna, której delikatność została teraz złamana na pół.

– A teraz spokojnie – przemawiałem jak terapeuta do pacjenta – raz jeszcze opowiedz mi, co się stało.

Rano pojechała do Warszawy spotkać się z koleżanką. Nieistotne. Wróciła później, niż planowała, bo w Aninie kolejka się popsuła. Nieistotne. Najpierw myślała, że poszedł na spacer, czasem przecież to robił, choć ostatnio rzadziej. Nieistotne. Gdy minęły dwie godziny, zaczęła się niepokoić, zadzwoniła, by sprawdzić, co się dzieje, ale miał wyłączony telefon. Wiedziałem o tym. W drodze do Otwocka sam kilka razy zderzyłem się z pocztą głosową. A potem zobaczyła, że nie ma zielonego plecaka. Tego, który zawsze zabierał na wyjazdy. Istotne. Selekcjonowałem informacje. Ta była ważna. Wojskowy plecak był dla mojego brata czymś w rodzaju talizmanu i towarzyszył mu podczas wszystkich wypraw reportera wojennego.

Rozejrzałem się po jego pokoju, a potem zszedłem do ciemni. Od razu go zauważyłem. Tyle razy o nim słyszałem. Na stole, między obiektywami

i dziesiątkami nieznanych mi gadżetów, leżał jego ulubiony aparat. Istotne. Gdyby planował dłuższy wyjazd, zabrałby go ze sobą.

Jeszcze w Magdalence przemknęło mi przez głowę, że zniknięcie Mikołaja może mieć jakiś związek ze sprawami, które prowadzę. Przeszukują mój dom, nękają głuchymi telefonami. Dziarscy chłopcy ze służb raczą umoralniającą, ostrzegawczą gadką.

Skoro Król, mój tajemniczy klient, wiedział o bracie, to wiedzą też inni. Gdy wyjeżdżałem z Warszawy, porzuciłem jednak tę myśl. Należy dobierać środki odpowiednie do okoliczności. Uprowadzanie członków rodziny w celu zastraszenia to zawsze jest gruba sprawa, a bywa, że sprawy przybierają niespodziewany obrót, zaczynają mnożyć się problemy, trzeba przewozić uprowadzonego z miejsca na miejsce lub się go pozbyć. Takich przypadków było mnóstwo. I dlatego najlepiej trafić na zawodowców, bo oni stosują metody odpowiednie do celów.

Odrzuciłem więc myśl o uprowadzeniu…

– Jak sądzisz… Czy on… Czy on chce coś sobie zrobić? – spytała Dziewczyna o Smutnym Uśmiechu.

– Nie wiem. Naprawdę. Powiedz mi, jak się ostatnio zachowywał?

Odjęła dłonie od twarzy.

– Masz papierosa?

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Czasami. Gdy jestem zdenerwowana.

Poklepałem się po pustych kieszeniach. Tego nie przewidziałem.

– Dobra, nieważne… Jak się zachowywał? Głównie milczał. Patrzył w okno. I milczał… Wczoraj przez cały dzień powiedział jedno zdanie.

Istotne. Szukałem zapalnika. Czegoś, co poruszyło mojego brata.

– Włączyłam *Trudne sprawy*. Wiesz, taką bzdurę w telewizji. Nie mogłam już znieść tego milczenia. Chciałam, by coś do mnie gadało. A on usiadł i patrzył. Tępo. A w końcu powiedział, że wszystko byłoby inaczej.

– Jak powiedział?

– Że wszystko byłoby czy potoczyłoby się, nie pamiętam dokładnie, inaczej.

Wiedziałem, że odnalazłem zapalnik. Odetchnąłem z ulgą, ale nie dałem nic po sobie poznać. Pokręciłem się jeszcze po domu. Zadałem kilka nieistotnych pytań. Prawie na pewno wiedziałem, gdzie jest. Oszacowałem czas potrzebny na dojazd.

Wziąłem ją za nadgarstki.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze. Że jeszcze dziś wróci.

– Skąd wiesz?

– Czuję to. Znam go w końcu trochę dłużej niż ty. A tak przy okazji, te *Trudne sprawy* to o czym były?

– Jakaś historyjka o facecie, który po latach spotyka na ulicy swoją szkolną miłość.

No właśnie. Pożegnaliśmy się, a ja obiecałem, że będziemy w kontakcie.

Miałem dzisiaj dzień rajdowca. Przebijałem się w kierunku autostrady do Łodzi. W Warszawie ruch zgęstniał, musiałem odczekać swoje. Najwyraźniej miałem też dziś do czynienia ze zjazdem lokalnych patriotów. Kierowca przede mną nad lewymi światłami umieścił kotwicę, symbol powstania warszawskiego, i napis: „Pamiętamy”. Nie wiem dlaczego, ale przypomniała mi się rozmowa z ojcem. Starszy facet, który, jak wielu z osiedla na Jazdowie, pracował w Biurze Odbudowy Stolicy i podnosił miasto z ruin, miał jasne poglądy. „Powiem ci tylko, że najlepsze powstanie to zrobili Czesi. W Pradze”. „Ale tam nie było powstania”. „Właśnie o tym mówię”. Zgadzałem się z nim. Może dlatego z dystansem podchodziłem do bohaterskich popisów. To była nasza ostatnia rozmowa. A potem ojciec zniknął. Tak po prostu. Nigdy go nie odnaleziono. Był rok 1989, Polska się zmieniała, a ja wraz z nią. Może dlatego zostałem policjantem. Myślałem, że natrafię kiedyś na jego ślad. Nigdy nie powiedziałem tego głośno, ale tak, wiele przemawiało za tym, że wydarzenie sprzed prawie ćwierćwiecza przesądziło o moim losie.

Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Pomyślałem o Mikołaju. Gdy za dużo wypił, powracały wspomnienia i wtedy o niej mówił. Tyle że po latach szkolną miłość mógł spotkać już tylko na cmentarzu. Pojechała na narty. I już nie wróciła.

Wiedziałem, dokąd mam jechać. Dwa razy zawoziłem go tam, cztery razy stamtąd przywoziłem. Rok temu siedział na ławeczce przy grobie i zapytał mnie, dlaczego zostałem policjantem. „Kiedyś chciałem opisywać świat, a jeszcze wcześniej, w liceum, chciałem robić to kolorami. Ale mówią, że świat trzeba zmieniać”. „I jak ci wyszło to zmienianie?” „Szału nie ma. Kapitan Ameryka i Batman mieli lepsze wyniki”. Rozmowa dwóch braci. Pokręcił głową. Spodziewał się pewnie innej odpowiedzi, na którą jednak nie byłem gotowy. I może nigdy nie będę.

Gdy człowiek jedzie samochodem, ma czas na rozmyślania.

Co kilka kilometrów mijałem olbrzymi billboard z napisem „Kupię twojego dłużnika”. Trzeci w kolejności pochlapanybył czerwoną farbą. Na następnym ktoś dopisał: „Parchu pierdol się”.

Przed Łodzią odbiłem w lewo i po kwadransie znalazłem się w miasteczku, które nazywało się Stara Wieś. Powinni reklamować je jako miejsce paradoksów. W folderze przeczytałem, że Starą Wieś nazywają Małymi Skierniewicami, które same nie są zbyt duże. W przeciwieństwie do Skierniewic kolej tu nie dojeżdżała, więc mój brat musiał się wlec dwoma rozklekotanymi busami. W Starej Wsi nie ma hotelu, miasteczko szczyci się natomiast tym, że organizuje biegi długodystansowe. Zastanawiałem się, gdzie śpią ci umęczeni biegacze. Czysty absurd. Wybiegają ze Starej Wsi chyba po to, by dotrzeć do jakiejś cywilizacji.

Z daleka zobaczyłem zarys postaci. Siedział przygarbiony, w rękach trzymał kwiaty, a na ziemi leżał zielony plecak. Nie zareagował, gdy podszedłem. Usiadłem obok niego. Cisza jest ważna. Trzeba ją szanować.

– Myślę, że powinniśmy wracać – odezwałem się po chwili.

Zero reakcji.

– Ona się o ciebie martwi. I to bardzo.

Nic.

Wziąłem go za rękę. Bałem się, że będzie stawiał opór, ale wstał. Pomilczeliśmy też sobie w drodze. Żadnych wzniosłych przemów i wychowywania. Widziałem, że jest źle, bardzo źle i coś z tym trzeba będzie zrobić. Nie chciałem wracać do tematu ośrodka zamkniętego i terapii. Nie teraz. Pomyślałem, że może jakoś go rozweselę. Opowiedziałem o menelach z Magdalenki i ich nowym kumplu Jurku. Wydawało mi się, że na jego twarzy mignął cień uśmiechu, a raczej cień cienia.

Dojechaliśmy do Otwocka. Zatrzymałem się tak, by z okien domu nie było widać samochodu.

– Nie mów jej, że cię przywiozłem. Niech to będzie nasz rodzinny sekret. Powiedz, że musiałeś pojechać i coś załatwić. To przecież prawda.

Spojrzał na mnie.

– Jaja barana. Dobre… Teraz to ja jestem łagodny jak baranek.

Tylko tych kilka słów przez całą drogę. Powlókł się w stronę domu.

31

„I po diabła było przerzucać się ze szkockiej na martini?” Podobno takie były ostatnie słowa Humphreya Bogarta. Być twardzielem do końca i nie wypaść z roli – oto prawdziwe wyzwanie. Popatrzyłem na plakat z *Casablanki*. Szkockiej nie piłem od dawna, za martini nie przepadam, czułem się natomiast śmiertelnie zmęczony.

Odczytałem SMS-a:

Wrócił. Już wszystko w porządku. Dziękuję. K.

Nie ma za co. Marcin Hłasko – zbawiciel. Do usług. K? Kasia? Karolina? Nie pamiętałem, jak ma na imię Dziewczyna o Smutnym Uśmiechu.

Nagle poczułem się samotny. Zadzwoniłem do Ewy Ciszewskiej, ale odrzuciła moje połączenie. Ostatecznie mogłem przespacerować się na plac Zbawiciela albo na PKP Powiśle, ale nie wiadomo, czy przyjęliby mnie tam z otwartymi ramionami.

Zdecydowałem się na Agrykolę. Zszedłem w dół. Jakiś zespół katował piosenkę sprzed wielu lat, z czasów gdy byłem jeszcze piękny i młody. *Nie gniewaj się na mnie Polsko!* – wrzeszczał wokalista. Nie utożsamiałem się z tym tekstem, poza tym nie chciałem, by coś zakłócało mi myśli.

Kolejne parasole i znów chybiony strzał. Gromadka wrzeszczących dzieci, grupka jeszcze głośniejszych matek i wianuszek rozanielonych ojców żłopiących piwo. Nie miałem nic przeciwko kontaktowi z ludźmi, ale przecież wszystko ma swoje granice.

Ostatecznie wylądowałem w Źródełku, odwiecznym miejscu schadzek kibiców Legii, baraku w cieniu Trasy Łazienkowskiej, nieopodal sławnego warszawskiego liceum. Zamówiłem królewskie, którego nie piłem od lat, i frytki. Popatrzyłem na dwie przebiegające dziewczyny. Słuchawki na

uszach, gadżety do pomiaru wszystkiego na nadgarstkach, markowa sportowa odzież oddychająca, a może nawet myśląca, specjalne wyprofilowane buty. Zrobiło się ładnie i modnie. A potem na dwóch ławkach z wyrytymi wszystkimi przekleństwami świata usiadło czterech znanych mi już brzuchatych tatusiów. Najwyraźniej uznali, że nadszedł moment, by odpocząć od życiowych partnerek. Zaczęli się spierać, kto powinien stać na bramce w reprezentacji Polski. Witajcie w świecie problemów wagi państwowej.

Patrzyłem na nich i nagle przypomniała mi się Helena Popławska. Oraz jej córka w trudnym do określenia wieku. Tak, zwłaszcza ona. Dziewczyna, która zareagowała paniką, gdy pojawiłem się w ich domu. Jak to było? „Łucja tak reaguje”. Na obcych? A może na dźwięk dzwonka do drzwi niewróżącego niczego dobrego. I to zdanie, które usłyszałem na końcu. „On tu już nie wróci”. Kto? Co takiego się u was wydarzyło? I jeszcze w tym wszystkim Daniel Okoński. Syn, który wstydzi się matki, ale wysyła pocztówkę. Dorosły mężczyzna z chomikiem i plakatem Nirvany na ścianie, zachowujący się tak, jakby nie miał dzieciństwa i próbował nadrobić stracony czas.

Bywa, że przejmujemy się losem innych bardziej niż swoim.

Dziewczyny robiły kolejną rundkę i popatrzyły z niesmakiem na cztery zwisające brzuchy. Wycierałem pianę z ust, gdy zadzwoniła.

– Cześć. Nie mogłam wcześniej. Spotkanie.

W tle słyszałem szum ulicy.

– Gdzie jesteś?

– W Lublinie.

Tak umierają marzenia. Podszedłem do baru i gestem poprosiłem o drugie piwo.

– W Lublinie?

– Przygotowuję materiał, jak radzą sobie więźniowie po odbyciu kary.

– Twoja nieobecność tutaj jest dla mnie karą. – Trochę się zgrywałem, a trochę nie.

– Wracam pojutrze…

Po tych słowach zamilkła, jakby bała się, że nieopatrznie złożyła mi propozycję.

– Wpiszę cię sobie do mojego przepastnego kalendarza.

Orgenajzera. To brzmi bardziej sexy, nie?

Roześmiała się.

– Ale dzwonię do ciebie w innej sprawie. Spotkałam tu kumpla…

– Nie lubię twoich kumpli…

– Poczekaj… spotkałam go i on powiedział, że widział tu Markiewicza.

– Kiedy to było?

– Jakoś w drugiej połowie czerwca. Nie pamiętał dokładnie. Markiewicz czegoś szukał. Dokumentów chyba… Tego też nie potrafił powiedzieć. Ale nie to jest najważniejsze. – Mówiła szybko, jakby bała się, że zapomni. – Ten mój kumpel zna też Okońskiego. Spotkali się w Warszawie i wypili trochę. Okoński się wtedy otworzył. Powiedział, że ma coś grubego, ale nie puścił pary.

– To jest po prostu wiadomość dnia. Zaraz CNN i BBC przerwą programy, a nad Warszawę wzbije się błękitny helikopter.

– Poczekaj. – Tym razem wyczułem w jej głosie irytację. – On powtórzył kilka razy, że powinien nazwać to *Jądrem ciemności*, tyle że już jest taki tytuł. Śmiał się ponoć z tego jak z dobrego dowcipu. Mówi ci to coś?

Nic. Poza tym, że być może Okoński miał specyficzne poczucie humoru. I że przeczytał w życiu parę książek.

Podziękowałem i umówiliśmy się po jej powrocie. Tak, pójdziemy na kolację. Zapracowałaś na nią w Lublinie. Tylko nie spoufalaj się za bardzo z tymi więźniami po odsiadce, bo nam się termin przesunie. Przypomniałem sobie czekoladowe oczy i goryczka piwa ustąpiła innym doznaniom. Natychmiast też przyszła mi do głowy stara mądrość: „Nie obiecuj sobie zbyt wiele, a nie będziesz żałował”.

Nie dopiłem drugiego piwa. Zostawiłem tatuśków, którzy najwyraźniej rozstrzygnęli już obsadę bramki i zajęli się zestawianiem środka obrony. W domu usiadłem przy stole i powtórzyłem czynności, które wykonałem rano w Magdalence. Zdjęcie po lewej stronie, zapisana kartka po prawej.

Tym razem skupiłem się na notatce.

Były to dwa teksty. Najpierw odczytałem na głos ten starszy, jakbym dzięki temu mógł lepiej zrozumieć jego sens.

III 1953. Znów w T. Kroński – pan życia, a jeszcze bardziej śmierci. Najstraszniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem, a widziałem już niejedno. Cynizm i bezwzględność. Jedno trzęsienie ziemi po drugim. Trochę to dla mnie za dużo.

Niebieski atrament wyblakł, widać jednak było staranną kaligrafię – już się takiej nie widuje. Równe odstępy między wyrazami, równe marginesy z obu stron, poprawna ortografia. Pod krótkim tekstem pozioma linia, lekko się unosząca, wybiegająca poza notatkę.

Czarnym cienkopisem Okoński naniósł komentarze. Obwiedziona kółkiem data i strzałka. I cztery słowa: A *potem długo nic*. Podobnie przy literze T: *Skrót. Pierwszy raz. Prawda?* Podkreślone nazwisko, dwa wykrzykniki i pytanie: *Kto to?*

Miałem przed sobą krótki tekst, napisany przez kogoś, kto odebrał odpowiednią edukację. Ale najbardziej zastanowiła mnie linia biegnąca na dole. Wyglądało to tak, jakby autora poniosły emocje. Jakby chciał w ten sposób, jednym gniewnym ruchem, coś zaznaczyć. A może rozprawić się ze wspomnieniami. *Jedno trzęsienie ziemi po drugim*. Co zdarzyło się w marcu 1953 roku? Tak, sprawdziłem w Wikipedii i nie myliłem się: wtedy umarł Stalin. Może chodziło o śmierć Wielkiego Językoznawcy, ale z pewnością o coś jeszcze. Coś dla autora ważniejszego. Zupełnie inne trzęsienie ziemi.

To musiało mieć jakiś związek z tym Krońskim. *Najstraszniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem*. Pisze to ktoś, kto na pewno przeżył wojnę, niejedno widział, ale nic, co mieściłoby się w tej skali. Nazwisko kojarzyło mi się tylko z pewnym polskim filozofem, który zajmował się Heglem, pamiętałem je ze studiów. Wpisałem w wyszukiwarkę „Kroński” i dodałem datę. Nie natrafiłem na nic, co by mnie zainteresowało.

Zadzwoniła komórka. Wyświetlił się numer, którego nie miałem w kontaktach.

Najpierw dyszenie, a potem głos. Po chwili go rozpoznałem.

– Ty skurwysynu. Skurwielu jeden.

Pauza na nabranie powietrza.

– Zobaczysz. Zobaczysz, co ci zrobię…

Pauza i oddech.

Poznałem ten głos.

– Pan biegnie, panie Andrzeju? – spytałem. – Bo przychodzi mi na myśl jeszcze jedna czynność kojarząca się z takim sapaniem, ale nie wyobrażam sobie…

– Zapłacisz mi za to, złamasie!

Andrzej Matus. Szef PolisPro Poland we własnej osobie. W tle brzęk szklanek, pewnie jakiś raucik. No i słyszę, że Andrzej Matus, człowiek stroniący od alkoholu, jest na lekkiej bani.

– Myślałem, że rozstaliśmy się…

– Gówno, a nie rozstaliśmy się. Straciłem to zlecenie, rozumiesz, straciłem je, i jestem pewien, że maczałeś w tym swoje lepkie, śmierdzące szantażem paluchy, ty cienki Bolku. Odsunęli się ode mnie, straciłem je, straciłem, i ty mi za to zapłacisz, bo ty już nie żyjesz, nie wiesz o tym, ale już…

Obawiałem się, że zacznie się dusić, ale zrobił wreszcie pauzę.

– Pan ma to na kartce czy tak z głowy jedzie? – Starałem się być uprzejmy. – Bo jeśli z bańki, no to pełen szacun. Albo chodzi pan na jakieś lekcje do raperów, albo do księdza Natanka.

Wywrzeszczał do słuchawki przekleństwo. Dwie rozciągnięte sylaby. Wysoka samogłoska „u” w pierwszej i rozciągnięte „a” wkolejnej. Brzmiało to, jakby wilk zawył.

– Nie żyjesz! Wykończę cię. Urządzę ci rzeź – warknął jeszcze.

– Andrzej… Andrzej, no chodź już, wystarczy – usłyszałem kobiecy głos i rozmowa się urwała.

Siedziałem bez ruchu. Splotłem dłonie na karku i odchyliłem się na krześle. Pierwsza moja myśl była taka, że sto lat temu rozcięliby mu mózg i dłubali w nim, by rozwikłać kliniczny przypadek histerii. Kobiety miały wtedy gorzej. Czytałem gdzieś, że aby leczyć histerię, usuwano im jajniki. Myśl druga. Liczba osób, które coś do mnie mają, się wydłuża. Robi się niebezpiecznie długa. A to niczego dobrego nie wróży, bo nie walczy się na wielu frontach naraz. Myśl trzecia: Licho nie śpi.

Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich dni wyjąłem z sejfu walthera i położyłem go na stole.

Zanim wróciłem do notatek i zdjęcia, minął kwadrans.

Przyjrzałem się komentarzom Okońskiego. Wskazywały na to, że czytał zapiski nieznanego mi autora i znał kontekst tego wpisu. Zdanie A *potem długo nic* mogło świadczyć o tym, że dobrze odczytałem emocje towarzyszące autorowi. Oddzielił kreską przeszłość i straszne wspomnienia i wrócił do prowadzenia dziennika, jeśli był to dziennik, dopiero po pewnym czasie.

Litera T. Odczytałem uwagę Okońskiego. *Skrót. Pierwszy raz. Prawda?*

Pokręciłem głową. Tak się nie pisze. Nie wtedy, gdy robimy notatki na własny użytek. On zaznaczył te fragmenty, by komuś je pokazać. Komu i w jakim celu? I co to znaczy: *Skrót. Pierwszy raz?* Czyżby autor zapisywał pełne nazwy, a tym razem postąpił inaczej? A jeśli tak, to co chciał w ten sposób ukryć? Zresztą nie było w tym konsekwencji, skoro zostawił nazwisko człowieka, którego uważał za wcielenie zła.

Przede wszystkim, i tego nie mogłem zrozumieć, co faceta zajmującego się erotycznym życiem klasy politycznej obchodził zeszyt z notatkami sprzed sześćdziesięciu lat?

Popatrzyłem na zdjęcie.

Tym razem zobaczyłem to od razu.

Jak mogłem to przeoczyć w Magdalence? Najpewniej nie powinienem zajmować się kilkoma sprawami naraz. Prawy brzeg fotografii był lekko postrzępiony. Zdjęcie nie zostało nieudolnie skadrowane i nie kończyło się w połowie lewego ramienia mężczyzny – po prostu ktoś starannie oderwał kawałek.

Raz jeszcze przyjrzałem się postaci stojącej na zaoranym polu.

Nie. To niemożliwe.

Zmrużyłem oczy. Wciąż nie miałem pewności.

Wyjąłem z sejfu pendrive’a i wsunąłem do gniazdka USB.

Obejrzałem fotografię na ekranie.

Teraz widziałem wyraźniej.

Pierwsze wrażenie. Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne. Więc jak to było? Przygarbiony mężczyzna. Jakby dźwigał niewidzialny ciężar. Jakoś tak.

Nie chodziło jednak o ciężar niewidzialny i metaforyczny. Na jego prawym ramieniu coś było. Zlewało się z kraciastą koszulą. Palce. Trzy albo cztery przybrudzone, być może błotem, palce.

Na tym zdjęciu był ktoś jeszcze. Stał obok mężczyzny. I został usunięty. Te dwie postacie starannie od siebie oddzielono.

Przeczytałem notatkę i po raz kolejny obejrzałem zdjęcie. Po głowie krążyły mi różne warianty. I nadal nie wiedziałem najważniejszego: z czym tak naprawdę mam do czynienia?

Czułem się jak starożytny myśliwy, który natrafił na kałasznikowa i nie wie, jak się nim posłużyć.

Musiałem popaść w stan odrętwienia, może nawet przysnąłem. Poderwał mnie sygnał telefonu. Ciąg dalszy Andrzej Matus show? I tym razem nieznany numer. Odebrałem.

– Witamy w Klubie Samotnych Dyszących Zboków – zacząłem.

– Słucham? – zapytała niepewnie.

Prawnuczka Gandalfa. *Fuck*. Speszony Marcin Hłasko to prawdziwy rarytas. Łapcie okazję, bo może się prędko nie powtórzyć.

– Wie pani, ktoś mi ostatnio dyszy w słuchawkę. Pewnie chce sprawdzić, w jakiej temperaturze topi się mój telefon.

Nie skomentowała tego i od razu przeszła do konkretów. Jak panu idzie? Opowiedziałem o Magdalence, chociaż ta sprawa bardziej dotyczyła Markiewicza. O zbieraniu haków w niecny sposób (jakby istniały inne, szlachetne metody). Co mam na myśli? Ano bunga-bunga, a może lepiej: umpa-umpa, będzie bardziej swojsko i w klimatach disco polo.

– Poza tym mam jeden problem i nie umiem sobie z nim poradzić. Coś, nie tylko ta Magdalenka, odwracało jego uwagę od pracy dla was. Okoński miał jakieś dokumenty z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku i były dla niego ważne. Kojarzy się to pani z czymś?

Kilka sekund namysłu.

– A powinno?

– Nie wiem. Po prostu pytam. A nazwisko Kroński? Słyszała pani o takim?

– Nie, chyba nie… Z niczym mi się nie kojarzy.

– A czy Okoński wspominał kiedyś o *Jądrze ciemności?* Może chlapnął coś kiedyś przypadkiem?

– *Jądro ciemności?* To jakiś klub? Pan i te pana żarty. – Westchnęła.

Tak, klub. Z przepastnym darkroomem. Zabrakło mi jednak odwagi, by wygłosić ten komentarz.

– Jakie ma pan plany?

– Jakieś mam. Ale przede wszystkim jestem urodzonym mistrzem wielkich improwizacji.

– Przede wszystkim jest pan człowiekiem bardzo zachwyconym sobą. Wręcz obrzydliwie. Dobranoc.

Gdyby znała prawdę. Gdyby znała choć pół prawdy, zmieniłaby zdanie. Może to kiedyś nastąpi. Kiedyś. To na tyle odległa perspektywa, by nie myśleć o niej zbyt poważnie.

32

Pisk opon. Szybkie bicie serca. Ręce zaciśnięte na kierownicy. I motocykl. Ustawiony pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do maski seata. Przymknąłem oczy. A gdy je otworzyłem, stała przy bocznej szybie. Ścigacz wciąż tarasował drogę.

– Od rana sprawdza pani mój refleks?

– Jechał pan wolno, ale i tak by pan nie zdążył. To ja zahamowałam. Lubię dynamiczną jazdę. Zresztą – wskazała maszynę – na tym nie da się inaczej. Czuje pan?

Czułem.

Smród palonej gumy.

– Uwielbiam to – wyznała.

Dzień zaczął się niewinnie. Pobiegłem stałą trasą, w dół Agrykoli. Czasem miewa się gorsze dni i właśnie taki mi się przytrafił. Biegło się ciężko, jakby ktoś przywiązał mi ciężarki do nóg. Na wysokości Zamku Ujazdowskiego miałem dość. Tym razem trawnika nie zaanektowali spóźnieni kochankowie tylko zupełnie inna, dość liczna,

ekipa. Dziewczyny w kolorowych kieckach i chustach na głowach, kilkunastu chłopaków w ubraniach przypominających partyzanckie mundury. Dwóch trzymało czerwono-czarne flagi, reszta, uzbrojona w widły, siekiery, piły i olbrzymie młoty wyglądała jeszcze ciekawiej.

Nie mogłem się powstrzymać.

– Co jest dzisiaj grane? – spytałem. – Reklama sprzętu AGD? Jakiś sklep otwierają?

Młodzieniec o ponurym obliczu wyprostował się.

– Jesteśmy grupą rekonstrukcji historycznej. Przygotowujemy się do odtworzenia scen z rzezi wołyńskiej. Trenujemy.

Uśmiechnąłem się i pokazałem mój strój.

– Ja też trenuję.

– Jesteśmy banderowcami. – Na bluzie miał naszywkę z białym krzyżem wpisanym w czarny trójkąt i litery UON. – A tamte to polskie chłopki. Chce pan popatrzeć? Brakuje nam czasami takiego spojrzenia z boku…

– Pewnie. Uwielbiam rekonstrukcje. A szczególnie rekonstrukcje rzezi.

Chłopak przyglądał mi się spode łba.

– Zastanawiam się tylko, jak daleko się posuniecie – dodałem.

– Że co?

– Jak daleko się posuniecie. W rekonstruowaniu. Wiesz, w stosunku do tych dziewczyn…

– Zaraz, chwileczkę, o co chodzi? – Banderowiec wypiął pierś i rozłożył ręce. – Że niby co? Że to antypolskie?

Dwóch innych partyzantów patrzyło na nas z zaciekawieniem. Zaczęli się zbliżać. Jeden trzymał piłę, drugi tasak. Uznałem, że na mnie pora.

– Miło było was poznać. – Machnąłem ręką.

Poczułem gwałtowny przypływ sił.

A potem, ledwie zdążyłem wziąć prysznic i zjeść płatki z jogurtem, przyszła pani Julia. Zasuszona staruszka pracowała jeszcze z moim ojcem, a teraz, po śmierci męża, zajęła się ostatnią rzeczą, którą miała do zrobienia. To jej słowa. Julia, tak kazała się do siebie zwracać, organizowała Noc Muzeów na Jazdowie, opowiadała w radiu o historii domków fińskich, propagowała wiedzę i niosła kaganek oświaty, przede wszystkim jednak pisała kolejne petycje, by ocalić nasze osiedle. Ty zresztą też, Marcinku, mógłbyś się bardziej w to włączyć, powtarzała, a ja wiedziałem, że ma rację. Tego ranka podpisałem kolejny płomienny apel, który, nieczytany, wyląduje w koszu jakiegoś urzędasa.

– A wiesz, Julio, widziałem dziś grupę takich młodych z opryszczką na twarzach, odtwarzających rzeź wołyńską.

– Włącz telewizor i posłuchaj, jaka awantura jest teraz o to w sejmie. To dopiero prawdziwa rzeź. A, zapomniałam, że nie masz telewizora. Zresztą… Ech, to naprawdę stare czasy.

A teraz patrzyłem na nowiuteńki ścigacz i jego właścicielkę. Skośne oczy spoglądały na mnie spod długich rzęs. Zaproponowałem, żebyśmy podjechali do mojego domku, dwa kroki stąd, ale odmówiła.

– Mam krótką sprawę do pana. Próbowałam się dodzwonić, ale pan nie odbierał.

Rzeczywiście. Dwa razy wyświetlił mi się jakiś nieznany numer.

– Dostaliśmy wczoraj sygnał z Nowego Jorku. Mamy klepnięty ten kontrakt, na którym tak nam zależało. Tym samym pańska misja się zakończyła. Okoński już nas nie obchodzi.

Milczałem.

– Oczywiście dostanie pan pełne honorarium. Janek powiedział, że może pan liczyć na kolejne zlecenia w przyszłości.

– Janek? Myślałem, że jest pani jego prawnuczką…

Roześmiała się. W ogóle nie przypominała tamtej dziewczyny z Bobby Baru.

– Czy pani ma jakieś imię?

– Mam. Ale pozna je pan, gdy mnie gdzieś zaprosi.

I tak, zupełnie niespodziewanie, wkroczyliśmy na inny teren.

– Dziś? – Przełknąłem ślinę. Zacząłem żałować, że mam na sobie marynarkę.

– Dziś wylatujemy do Stanów. W przyszłym tygodniu. Wytrzyma pan?

Powiedziałem, że tak. Że chwalę sobie współpracę. Że trudna z niej zawodniczka. I kilka podobnych okrągłych zdań przymilającego się kocura.

A później, gdy wpatrywałem się w ślady hamowania na drodze, pomyślałem zupełnie coś innego.

Gówno. Gówno prawda.

Nie podpisaliście żadnego kontraktu. Nie wierzę w takie przypadki. Sami mogliście namierzyć Okońskiego i z jakichś względów uznaliście, że będzie lepiej, żebym nie wchodził wam w paradę. Pieniądze zostają u mnie, i to jest dobra wiadomość. Nie muszę już nic robić, i to też jest dobra informacja. Pozostaje drobny szczegół. Cała ta historia poruszyła we mnie coś, co drga nadzwyczaj rzadko. Coś, czego nie potrafię nazwać, wyrwało mnie z rutyny. I dopóki ta struna będzie wibrowała, wykonam jeszcze kilka ruchów. Potem zobaczymy.

À propos rutyny. Możesz ją zagłuszyć, ale od niej nie uciekniesz. Oprócz dwóch niezidentyfikowanych połączeń, rano na ekranie komórki pojawiły się kolejne.

Umówiliśmy się tam, gdzie ostatnio. W Vitkacu. Dlatego włożyłem marynarkę, chociaż był także inny powód.

W głosie starego wyczułem lekką rezerwę, a gdy uścisnęliśmy sobie ręce, zauważyłem, że jest spięty. Rozmowa się nie kleiła, wysłuchałem

pogadanki o nowym kontrakcie i perspektywach na rynku wschodnim. Jadł sałatkę, ja popijałem wodę z limonką i szukałem wzrokiem jakiegoś interesującego punktu zaczepienia. Tego dnia w restauracji było jednak pusto.

– Proszę wreszcie to z siebie wydusić – powiedziałem. – Przecież nie spotkaliśmy się po to, by omawiać strategię pańskiej działalności. Od tego ma pan naprawdę łebskich ludzi. Albo miał.

Drgnął, jakbym wymierzył mu cios. Jego marynarka wyjątkowo dziś nie była obsypana łupieżem.

– Przeżyłem ostatnio ciężkie chwile… Nie chodzi o firmę, choć to też… Chodzi o córkę. Wybuchła kosmiczna awantura… Powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć…

Znałem dalszy ciąg. Znałem nawet zakończenie tej historii.

– Wreszcie się odezwała. I postawiła warunek…

– Ja jestem tym warunkiem?

– Musimy zawiesić współpracę. Powiedziała, że albo ona, albo pan… Przynajmniej na jakiś czas, a potem wszystko wróci do normy…

W sumie było mi go żal.

– Gdzie drwa rąbią… Z takich sytuacji nigdy nie wychodzi się czystym.

Wstałem.

– Rozumiem pana. Wie pan, dlaczego nie wziąłem nic do jedzenia? Nie chciałem, żeby miał pan wyrzutu sumienia i za mnie płacił. Tak naprawdę to dobry z pana człowiek. Wrażliwy. Niech opatrzność – uniosłem palec – czuwa nad panem.

Chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliłem.

Marcin Hłasko. Bóg. Honor. Ojczyzna.

Paliłem za sobą kolejne mosty, ale nie żałowałem.

33

Wśród porannych połączeń było jeszcze jedno. Znany paranoik, Miś Koala z Raszyna, czekał na mnie. Przez telefon nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Pewnie bał się podsłuchu. Spotkania z kimś takim wymagają jednak zapasu energii. Zatrzymałem się na stacji benzynowej, kupiłem kawę i zapłaciłem chłopakowi, który wyglądał jak brat banderowca.

Siedemdziesiąta rocznica rzezi wołyńskiej przemknęła prawie niezauważenie. Złapałem się na tym, że od kilku dni nie śledzę, co dzieje się w kraju, nie czytam portali i wpisów. Może to i dobrze wyrwać się czasem z wariatkowa. Rok 1943. A dziesięć lat później zdarzyło się coś, co tak bardzo zaintrygowało Okońskiego.

Wyjechałem ze stacji i wtedy go zauważyłem. Błysk światła odbitego w lusterku sprawił, że uważniej śledziłem, co dzieje się za mną na drodze. Ten samochód już dziś widziałem. Raz albo dwa. Raczej nie mogło być mowy o przypadku. Miałem ogon.

Błąd w sztuce. To była pierwsza myśl. Jeśli wybierasz samochód, by kogoś śledzić, weź coś, co nie rzuca się w oczy. A świeżutki metaliczny lakier tego chryslera blikował i dlatego przyciągnął moją uwagę. I dlatego ja jeździłem sfatygowanym, ale niezawodnym seatem.

Wykonałem parę manewrów, ale takich, by nie spłoszyć kierowcy. Jechał w pewnej odległości za mną. Miałem kilka minut, by podjąć decyzję i odpowiednio zareagować.

Druga myśl. Spokojnie, wlecze się za mną amator. Może okazać się niebezpieczny, ale to jednak nie fachowiec. Ludzie na ogół zapominają, że obserwacja wymaga odpowiednich środków. Że ma dość złożoną logistykę. Jeśli jesteś zawodowcem, w obserwacji bierze udział kilka samochodów, które przekazują sobie obiekt. W tym przypadku wyruszył za mną samotny

myśliwy. I to nieudolny. Teraz chodziło o to, by nie zauważył, jak sam zamienia się w zwierzynę.

Jeśli chcą cię zaatakować, bądź pierwszy, wyprzedź uderzenie. Mężczyzna, najpewniej mężczyzna, był sam i musiałem to wykorzystać. Szybko przypomniałem sobie trasę i wybrałem odpowiednie miejsce.

Najbliższa stacja benzynowa, przyklejony do niej bar, a obok toaleta. Przejechałem obok dystrybutorów, zaparkowałem koło baru, a potem odegrałem teatrzyk: uniosłem maskę, pokręciłem głową, wykonałem kilka zamaszystych gestów, głośno przekląłem i wszedłem do sklepu. Kupiłem płyn do chłodnicy, pogadałem z dwoma chłopakami, a rozmowa ta kosztowała mnie stówę, i popatrzyłem przez okno. Chrysler stał dokładnie naprzeciwko, pierwszy w szeregu samochodów, w cieniu trzech drzew. Ustawił się z przodu, by nikt nie zatarasował mu wyjazdu.

Wlałem kilka kropel płynu do chłodnicy, popatrzyłem na swoje dłonie i udałem się w stronę toalety. Szybki rzut oka. Drzwi po stronie kierowcy otwarte. Nawet z tej odległości słyszałem cicho pomrukujące radio. Najszybciej, jak się dało, okrążyłem bar i budynek stacji. Dotknąłem marynarki. Drugi powód, dla którego ją włożyłem: walther był na swoim miejscu. Po wieczornym telefonie od Matusa i serii głuchych połączeń uznałem, że lepiej mieć przy sobie coś krzepiącego.

Na moich oczach rozegrała się kolejna scenka. Ze sklepu wyszło dwóch chłopaków i zaczęli się o coś kłócić. Jeden popchnął drugiego, tamten mu oddał. Sprzeczka powinna odwrócić uwagę mojego prześladowcy.

Skulony, skradałem się przy samochodach. Widziałem lewą stopę w sandale wystawioną przez otwarte drzwi i wystukującą rytm jakiegoś przeboju. Nagle mężczyzna wstał, a ja w ostatniej chwili ukryłem się między samochodami. Był łysy, koło czterdziestki. Podszedł do drzewa. Jeden, drugi, trzeci skok i znalazłem się za nim.

– Uważaj – szepnąłem mu do ucha – bo obsikasz sobie spodnie.

Trzy drzewa zasłaniały nas idealnie. Kazałem mu się położyć twarzą do ziemi i przystawiłem lufę do karku. Widziałem grubą szyję zroszoną kropelkami potu. W bardziej sprzyjających okolicznościach chłód metalu mógłby być nawet przyjemny.

– Ręka – warknąłem. – Wyciągnij rękę!

A gdy to zrobił, złamałem mu dwa palce.

Nie wrzeszczał długo. Źle się wrzeszczy z lufą wciśniętą w policzek.

– Dla kogo pracujesz?

Pokręcił głową, a wtedy uderzyłem go kolbą w głowę. Z rozcięcia sączyła się krew.

– Trzeci raz nie powtórzę pytania.

– Nie mogę. On mnie zabije.

– Nie zdąży. Będę pierwszy.

– Ja nic nie zrobiłem – jęknął. – Miałem tylko jechać za panem i obserwować.

– A w wolnej chwili przeszukać mój samochód?

– Przysięgam… przysięgam, że nic nie zrobiłem. W ogóle nie powinienem się na to zgodzić…

Cały się trząsł. Nadszedł moment, by spróbować innego sposobu.

– Posłuchaj, przyjacielu – odsunąłem lufę od jego głowy – zrobimy tak. Powiesz mi, dla kogo pracujesz, i zapomnimy o spotkaniu. Opowiesz, że jeździłeś za mną, byłeś na Brackiej, nawet w Raszynie, a potem ja grzecznie wróciłem do domu. Wieczorem polazłeś do knajpy, wdałeś się w bójkę, przywaliłeś komuś tak, że złamałeś paluchy. Prawdziwy macho. Może być? A jeśli nie, tu, w cieniu tych pięknych drzew, odstrzelę ci ten wielki pusty łeb.

Leżał spokojnie. Wyglądało na to, że podjął decyzję.

– Nazwisko?

– Jakub… Konopka Jakub.

– Nie twoje. Tego, kto cię na mnie nasłał.

– Pan Konrad. Pan Ksawery Konrad. Czasem coś takiego dla niego robię. Mówił, żeby na pana uważać. Raz byłem u pana w domku, tylko raz… No i teraz…

– Czego szukałeś?

Miliony myśli krążyły mi po głowie. Zadawałem pytania, ale nie poznawałem własnego głosu.

– Nie powiedział dokładnie. Jeśli będą stare papiery, bardzo stare notatki, zabierz je. Zorientujesz się… Tak powiedział…

Uznałem, że więcej z niego nie wyduszę, nie mogłem zresztą tkwić tu w nieskończoność, przystawiając mu pistolet do głowy.

– Poza tym król stał na f-jeden – warknąłem.

– Co?

– Król stał na polu f-jeden, nie na e-jeden.

Ogłuszyłem go szybkim uderzeniem i miałem nadzieję,

że ten cios raz na zawsze ostudzi detektywistyczne zapędy Jakuba Konopki.

Ksawery Konrad. Gdy usłyszałem to nazwisko, moja ręka trzymająca pistolet zadrżała.

Znam tego człowieka.

Ksawery Konrad. Teraz wszystko jasne.

Co Okoński powiedział?

„Powinienem nazwać to *Jądrem ciemności”*.

Zrozumiałem, dlaczego twarz na zdjęciu wywołała odległe skojarzenia. Widziałem tego mężczyznę.

I wiedziałem, nad czym tak zawzięcie główkował Daniel Okoński.

34

Ksawery Konrad.

Pracowałem dla niego dwa razy. Nasze pierwsze spotkanie odbyło się niedługo po katastrofie smoleńskiej. Zaprosił mnie do wielkiego domu nad Zalewem Zegrzyńskim i już na wstępie w rozmowie telefonicznej zapowiedział, że będę musiał wykazać się cierpliwością. W dniu, w którym do niego przyjechałem, pojawił się tylko na pięć minut. Krążyłem więc samotnie po pustych korytarzach, oglądałem telewizję, od czasu do czasu natykałem się na jakiegoś sennego ochroniarza albo domownika – wszyscy eleganccy jak spod igły, niełatwo było ich odróżnić – skorzystałem z barku i zagrałem w bilard. A tak w ogóle, Hłasko, będę ci mówił po nazwisku, bo taki mam zwyczaj. Ty możesz się zwracać do mnie jak chcesz, w przyjętych granicach oczywiście, a więc tak w ogóle, czuj się jak u siebie. Drugi dzień spędziłem na jachcie, bo sam wiesz, jak człowiek nazywa się Konrad, nieważne, jak pisane, to jest skazany na żeglowanie, a zresztą ty też masz literackie nazwisko. Ten Hłasko to ktoś z rodziny? Aha. Trzeciego dnia przeszedł do rzeczy. Miałem wyczyścić dane. Tak to ujął. I dodał, że pieniądze nie grają roli. Miałem więc sprawić, by informacje na jego temat, a i tak było ich stosunkowo niewiele, znikły z portali informacyjnych. Moim zadaniem było też przekopanie, przy pomocy życzliwych ludzi, agencji fotograficznych i wykupienie na wyłączność zdjęć z imprez branżowych, forów gospodarczych oraz wszelkich miejsc, w których się pojawił. Ksawery Konrad, biznesmen rozwijający z sukcesem firmę ojca i kontynuujący jego dzieło, człowiek działający na rozmaitych frontach od tekstyliów i elektroniki po bogactwa naturalne i, jak szeptano, zbrojenia, miał zniknąć dla świata. Nigdy nie zapytałem, co było powodem tej decyzji, a on tylko raz, gdy się rozstawaliśmy, a ja tuliłem do piersi sowite honorarium, powiedział, że prywatność to rzecz święta i najcenniejsza.

W ogóle lubił rozmawiać. O ile niekończące się wykłady na dowolnie wybrany temat, z wyjątkiem sportu i muzyki rozrywkowej, której organicznie nie cierpiał, można nazwać rozmową. Odniosłem nawet wrażenie, że Konrad zaciera ślady i ma to jakiś związek z katastrofą smoleńską. Zginęli w niej jego koledzy z generalskimi szlifami i może bał się, że przy okazji śledztwa wyjdzie na jaw coś, co wolałby ukryć. Potem uznałem się za modelowego paranoika wszędzie wietrzącego spisek, a na koniec wzruszyłem ramionami i przestało mnie to wszystko obchodzić.

Odezwał się w ubiegłym roku. Tym razem dostałem bardziej standardowe zlecenie. Ktoś rozpuścił plotkę, że Ksawery Konrad będzie kandydował w wyborach prezydenckich. Czarny koń, który zmiecie elity i porwie rodaków udręczonych politykami. I wiesz, Hłasko, znów zrobiło się wokół mnie głośno, raban jak na bazarze, a ja tego nie lubię. No i jest ponoć jakaś grupa dyskusyjna, i tam szczególnie zajadle ujada pięć piesków, i próbują się dogrzebać czegoś na mój temat. Znajdź mi ich.

Dzięki pomocy Clyde’a stałem się członkiem koła dyskusyjnego, zdobywałem zaufanie coraz ostrzejszymi wypowiedziami i ustaliłem cztery nazwiska kryjące się pod pseudonimami. Rzeczywiście, grupka nie przebierała w słowach i, co najbardziej bolało Konrada, próbowała prześwietlić działalność jego firm od zarania dziejów. Jest takie powiedzenie: „Gdy coś myślisz, nie mów. Gdy mówisz, nie pisz. Gdy piszesz, to się nie podpisuj. Gdy się podpisujesz, to nie swoim nazwiskiem”.

Nie kazał mi przynieść sobie ich głów na tacy, ale w sumie tak to się skończyło. Dowiedziałem się, że jednego z dyskutantów potrącił samochód. Drugi, pracownik urzędu skarbowego, czekał na proces w związku z korupcją i malwersacjami, kolejnego mężczyznę, historyka i nauczyciela akademickiego, zwolniono dyscyplinarnie z uczelni w atmosferze zgorszenia i skandalu. Tak, zgorszenia i skandalu, sapnął, gdy widzieliśmy się ostatni raz. Kiedy powiedziałem mu, że nie akceptuję takich metod, rozłożył ręce. Cóż, Hłasko, zbieg okoliczności, czarna seria po prostu, nie mam z tym nic wspólnego, a poza tym każda seria kiedyś się kończy.

– Zakończy się, gdy znajdą ją powieszoną, a obok list pożegnalny – rzuciłem cierpko.

W grupie dyskusyjnej była jedna kobieta.

– Jesteś urodzonym fatalistą, Hłasko. Mam przeczucie, że włos jej z głowy nie spadnie.

– A ten piąty? Ten, który zniknął?

– To ty, Hłasko, jesteś specjalistą od zaginionych. Jeśli chcesz, to go sobie szukaj.

Powiedziałem, że mam w dupie jego pieniądze, i rzuciłem na stół zwitek banknotów. Nie biorę brudnej forsy. A przynajmniej nie w tym odcieniu brudu.

Zadzwoniłem do Clyde'a.

– I co? Wygrałem w lotto? – spytałem.

– Wygrałeś. Układam z tych cyferek numery telefonów. Raz dodzwoniłem się do jakiejś zesklerociałej staruszki. Taka w twoim typie. Poza tym pustynia. Szukam różnych kombinacji, i nic.

– To szukaj dalej. Wierzę w ciebie bardziej niż w świętość papieża.

Wpatrywałem się w ekran komputera, raz powiększając zdjęcie, raz notatkę.

Daniel Okoński i Ksawery Konrad. No to, chłopcze, wdepnąłeś w niezłe gówno.

Konrad zbliżał się do sześćdziesiątki. W 1953 roku jeszcze nie było go na świecie. Na fotografii był jego ojciec. Te same rysy, wysokie czoło, wąskie usta. Napatrzyłem się na jego zdjęcia. Pochodziły z lat sześćdziesiątych, z zagranicznych podróży, i z kolejnej dekady. Stały w pokoju bilardowym. Ksawery Konrad. Wykapany synek. Nawet imię takie samo. Podczas naszych spotkań kilka razy wspominał ojca, a wtedy w jego głosie pobrzmiewała duma. Rozwijał, kontynuował, przedłużał, przekazywał. Od tych wynurzeń robiło mi się niedobrze.

Okoński natrafił na dziennik albo notatki Konrada seniora. I, zdaje się, wdepnął na minę.

T.

Dlaczego Konrad posłużył się skrótem, skoro nie miał takiego zwyczaju? Gdzie był w marcu 1953 roku? Dlaczego chciał ukryć miejsce swojego pobytu? Gdzie i w jakich okolicznościach zrobiono zdjęcie?

Okoński pracował nad biografią. Nad swoim *Jądrem ciemności*. A gdy się pisze coś takiego, w ręce wpadają rozmaite rzeczy.

I wtedy sobie przypomniałem. Jak mogłem to przeoczyć? Spojrzałem na godzinę w prawym rogu monitora. Kurwa. Wyszukałem w internecie

telefon do księgarni. Zajęte. Jeśli na linii będzie namolny staruszek, wielbiciel teorii spiskowych albo zapiekły patriota, to nie mam szans. Kurwa mać. Siedemnaście minut do zamknięcia. Może się uda.

Podbiegłem na plac Na Rozdrożu i wsiadłem do autobusu. Była wprawdzie godzina szczytu, ale do Nowego Światu dojechałem szczęśliwie bez korków – wakacje.

Mokry zbierał się do wyjścia.

– To ty? – zapytał, gdy zdyszany wbiegłem do środka.

– Myślałem, że już cię nie złapię.

– Bo nie złapiesz. Dziś pracuję ostatni dzień. Nie wytrzymałem jednak z tymi pojebami. Najchętniej puściłbym tę budę z dymem, ale w sumie mam szacunek do książek. Potrzebujesz czegoś z naszych wspaniałych zbiorów?

– Nie, zapomniałem wtedy zapytać. Co on właściwie zamówił?

– Okoński? Nie powiedziałem ci? – Sięgnął do torby. – Zabrałem to ze sobą, może kiedyś mu dam.

Wyjął niezbyt grubą książkę.

– *Eldorado?* O czym to jest? – spytałem, biorąc ją od niego.

Wzruszył ramionami.

– Różnie to nazywano. „Eldorado” też. Gross napisał o tym „Złote żniwa”. Też się zdziwiłem, po co Okoniowi ta książka, nigdy nie zajmował się historią. To o kopaczach… – Wyjął mi książkę z ręki i zaczął kartkować.

– Kopaczach?

– Poszukiwacze złota. Po wojnie rozkopywali groby, najczęściej żydowskie, i szukali kosztowności.

Milczałem. Układałem sobie wszystko w głowie.

– Czy mogło się to dziać w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku?

– Osiem lat po wojnie? Pewnie, że tak. Kopacze działali do końca lat pięćdziesiątych. A może jeszcze kilka lat dłużej.

Spojrzałem mu w oczy.

– Muszę to mieć.

Wyciągnąłem rękę po *Eldorado.*

35

Uparł się, że nie da mi książki. Nie miałem czasu, by szukać jej na Allegro albo włóczyć się po księgarniach. Zgodziliśmy się na kompromis. Mokrego posadziłem w Amatorskiej, kupiłem mu kasztelana, przestrzegłem, by nie spadł ze stromych schodów, gdy będzie szedł do kibla, wziąłem książkę i obiecałem, że niedługo wrócę.

Pognałem do Copy General na rogu Nowego Światu i Książęcej. Tam kserują najszybciej i bez grymaszenia.

Po drodze telefon.

Tak, przyjacielu, to znowu ja. Te cyferki. Czy to mogą być oznaczenia grobów? Na jakimś cmentarzu, na Bródnie na przykład. Tak, oczywiście, że wiem, kwatera, alejka, rząd, grób, ale może mają jakiś dodatkowy system oznaczeń, pozycjonowanie satelitarne, chuj wie co. Dowiesz się, Clyde, prawda?

Wróciłem do Amatorskiej i trafiłem w sam środek dyskusji.

Mokry stał przy drzwiach pod okapem zainstalowanym dla palaczy i tłumaczył nowemu koledze, dlaczego zakaz rytualnego uboju zwierząt nie ma sensu.

– Stary, przecież to czysta hipokryzja – tłumaczył. – A zwierzęta domowe? Pojedź dwadzieścia kilometrów od Warszawy i zobaczysz zdziczałego, chudego jak szczapa psa na takim. co ja mówię, na takim krótkim łańcuchu. Tym powinni się zająć.

Oddałem mu książkę.

– A co do Żydów – nawet mnie nie zauważył – to zobacz, mam tu taką ciekawą książkę…

Poklepałem go po ramieniu i wyszedłem.

Slalomem wyminąłem rozdawaczy ulotek przy Empiku, tracąc szansę na letnie kursy językowe ze zniżką, i wróciłem do domu. Najpierw zajrzałem

do internetu. Embargo na informacje dotyczące Ksawerego Konrada najwyraźniej trwało, wygrzebałem gdzieś tylko dwie wzmianki, że jego nazwisko jest wymieniane wśród tych, które mogłyby zamieszać w wyborach prezydenckich w 2015 roku.

A potem położyłem się i zacząłem czytać *Eldorado*.

Znalazłem się w innym świecie.

W świecie kopaczy, hien, poszukiwaczy złota, kosztowności, wszystkiego, co „pożydowskie", chciwości. Eldorado, a nawet Eldorado Podlasia, bo i na taką nazwę natrafiłem. W świecie, w którym nawet śmierć nie jest wybawieniem, bo i po niej ciało nie zazna spokoju. Książeczka nie była gruba, nie zawierała indeksów, czytałem ją więc uważnie, szukając nazwisk Konrada i Krońskiego. Nigdzie na nie nie natrafiłem. Zamiast tego znalazłem historie o odcinaniu trupom głów, wyrywaniu zębów, szczęk, odrąbywaniu rąk i nóg, aby zdobyć kawałek złota. O Treblince i Bełżcu. Oraz o dziesiątkach innych miejsc.

T.

Jak Treblinka.

Tyle że tam grasowali głównie miejscowi, a rodzina Konrada, zapamiętałem to z jednego z niekończących się wykładów, pochodziła z Warszawy. Poza tym grabiono nie tylko na terenie byłych obozów, ale także zbiorowe mogiły i miejsca egzekucji, o których wiedziano, że zabijano tam Żydów. Obszarem takich poszukiwań mogło być każde z około czterystu gett.

Jedna lakoniczna notatka to trochę za mało. Najwyraźniej Okoński wiedział o wiele więcej i mnie też przydałaby się dodatkowa nawigacja.

Nawigacja. Okoński zniknął, ale co się stało z jego samochodem? Auto dawało oczywiście większe pole manewru. Można było zostawić je w Rzeszowie, a samemu przemieścić się do Szczecina. Można było nawet pojechać do jednego z zatłoczonych nadmorskich kurortów, spać w aucie i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Jeśli Okoński został uprowadzony albo zamordowany, to samochodu też się pozbyto.

Nawigacja. Pozycjonowanie satelitarne. Mapa.

Uderzyłem się w czoło tak mocno, że odgłos usłyszeli pewnie we Wrocławiu.

Przecież, gdy popsuł mi się GPS i piękny Krzysio zaniemówił, korzystałem, tak jak wielu innych kierowców, z mapy.

Pobiegłem do samochodu i wróciłem z atlasem.

67.694.627.

Wyjechał z Warszawy drogą krajową, a potem podążał żółtymi drogami. Na wschód. Wprost do Eldorada Podlasia.

Napisałem SMS-a do Clyde’a:

Jestem szybszy. I błyskotliwszy. Już nie szukaj tych cyferek. Opowiem przy okazji.

Doczytałem *Eldorado* do końca. Jak dla mnie było tego trochę za dużo. Każda wyporność ma swoje granice.

To tak, jakby epileptyka zachęcać do jazdy po muldach.

Położyłem się spać koło północy. Nie przyśniły mi się jednak zastępy upiorów z przeszłości ani bezosobowe wyrzuty sumienia. Na grobach nie tańczył korowód duchów. W konarach nie hulał wiatr, nie słyszałem zawodzenia potępieńców. Ani szczęku łopat. Noc minęła spokojnie.

Obudził mnie świergot ptaków.

Już wiedziałem, co robić.

36

Znałem przyzwyczajenia Ksawerego Konrada. Wiedziałem, że wstaje koło ósmej, do dziewiątej wypija dwie kawy i robi prasówkę, by upewnić się, że polityka, tak, Hłasko, polityka, która powinna być namysłem nad dobrem publicznym, ostatecznie zeszła na psy. Potem zajmował się dobrem prywatnym, doglądał, konsultował, wykonywał strategiczne posunięcia, planował. Po południu zamieniał się we wzorowego dziadka, wiesz, szaleję za tą małą, aż wstyd powiedzieć, ale chyba kocham ją bardziej niż córkę. Pod wieczór wpatrywał się w te same obrazy wiszące w jego rezydencji. Robił to oczywiście wtedy, gdy nie pływał na Florydzie albo nie załatwiał biznesów w Australii bądź na Tajwanie. Słowem: wiódł proste życie prostego człowieka.

Zakładałem, że jest w swojej posiadłości nad Zalewem Zegrzyńskim. Nasłał na mnie tego detektywa od siedmiu boleści, Konopkę Jakuba, który pewnie jest jednym z jego czterdziestu kierowców albo zasuwa na zmywaku. Takie polecenia wydaje się osobiście, szczególnie że sprawa należała do dyskretnych i osobistych. Najwyraźniej Konrad musiał mu ufać i wybrał go, zamiast skorzystać z usług zawodowca.

Dałem mu czas na wypicie kawy, raz jeszcze przeszukałem internet, wklepując tym razem dwa nazwiska. Kwadrans po dziesiątej odnalazłem numer telefonu Konrada i zadzwoniłem.

Odebrał jeden z asystentów. A może asystent jednego z asystentów. On sam prawie nigdy nie odbierał. Na tym polega, Hłasko, przywilej człowieka z moją pozycją. Czasami korzystam z komórki, ale uwierz mi, naprawdę rzadko. Przedstawiłem się, ale moje nazwisko nie wywarło wrażenia. Zapiszemy, przekażemy, odezwiemy się, w prywatnej sprawie, aha, do pana Konrada w prywatnej sprawie? No tak.

Czekałem. Przysunąłem sobie mały stoliczek i przez godzinę zastanawiałem się nad sześćdziesiątym trzecim ruchem Capablanki. Wykonałem ruch wieżą i zajrzałem do książki. Pomyliłem się. Przestudiowałem komentarz i dowiedziałem się, dlaczego trzeba było przestawić króla z fi na e1.

Odczekałem kolejną godzinę i zadzwoniłem jeszcze raz. Nie chcę być niegrzeczny, ale naprawdę proszę przekazać, tak, Marcin Hłasko.

– Bardzo proszę zanotować. Kilka słów. To dla pana Konrada bardzo ważne. Rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Złoto. Tak, złoto, słyszał pan kiedyś o czymś takim? No właśnie. Tak, tylko tyle.

Oddzwonili po dwudziestu minutach.

– Pan Konrad czeka na pana o siedemnastej. Wie pan, jak trafić.

Wyruszyłem z domu o piętnastej. Walthera zostawiłem w sejfie, bo jeśli jeden z ochroniarzy uzbrojonych po zęby ma odstrzelić mi głowę, to zrobi to, zanim drgnie mi powieka. Minąłem tirówki, przydrożnych sprzedawców i dwie grupki młodzieńców, którzy w leśnych przecinkach, przy skocznej muzyce płynącej z samochodowych odbiorników, urządzili sobie imprę w stylu eko. Raz jeszcze wszystko przemyślałem.

Mogłem zawrócić. Ale nie zrobiłem tego.

Dochodziła siedemnasta, gdy otaksowały mnie ponure spojrzenia ochroniarza numer jeden stojącego przy ogrodzeniu przypominającym mur berliński.

Sprawnie przechodziłem z rąk do rąk, wreszcie znalazłem się przed domem w stylu wiktoriańskim z czerwonej cegły, bo wiesz, Hłasko, czerwona cegła pasuje do Zalewu, zachodów słońca i tych wojskowych klimatów w pobliżu. Podziwiałem bluszcze i wypielęgnowany ogród, o który dbał legion ogrodników, poza tym, Hłasko, podziwiam brytyjską kulturę za jej trwałość, no, ale córkę posłałem do Julliarda, bo co amerykańska jakość, to amerykańska jakość, nie ma ściemy.

Zapytałem faceta sztywnego jak kij, ze słuchawką w uchu, czy natknął się kiedyś w krzyżówce na słowo „kamerdyner”, ale nie odpowiedział, a kolejny, z taką samą słuchawką, tyle że w drugim uchu, pominął milczeniem mój kolejny żarcik. Może byłem jednak zbyt spięty. Może w gorszej formie.

Dziesięć po piątej wprowadzono mnie do gabinetu.

No to teraz, Hłasko, przekonany się, jak tam twoja forma.

Ksawery Konrad stał przy biurku. Opalona twarz, lśniące czoło, krzaczaste brwi i prosta linia ust. Jedno się nie zgadzało. Od naszego ostatniego spotkania bardzo zeszczuplał. Był wysoki, a teraz wydawał się jeszcze wyższy.

– Niedawno wróciłem z Argentyny. Byłem na festiwalu młodych dyrygentów. Kupiłem kilka płyt i zamierzałem dosłuchać jednej do końca. Nie chciałem, Hłasko, żebyś mi przeszkadzał. Kiedyś mówiłeś, że nie znasz się na muzyce.

W tłumaczeniu na język powszechnie zrozumiały znaczyło to: przepraszam, że musiał pan czekać.

Wyciągnąłem rękę na powitanie, ale ją zignorował. Wskazał mi krzesło i opadł na fotel.

Nie kryłem rozczarowania.

– Liczyłem na czerwony dywan, kwiaty, dzieci-kwiaty, jakieś wdzięczące się hipiski, a tu nic…

Otworzył papierośnicę i zapalił.

– Zadam panu dwa pytania – podjąłem kolejną próbę. – Pierwsze: czy wyjdę stąd żywy?

Obłok dymu nad moją głową.

– Dziękuję za rzeczową odpowiedź. Pytanie drugie: czy Daniel Okoński wyszedł stąd żywy? Czy może ma gustowne betonowe buciki i podgryzają go rybki na dnie zalewu?

– Do rzeczy, Hłasko. Wiesz, co sądzę o twoim prymitywnym poczuciu humoru? Co wiesz?

– Wiem wystarczająco dużo. Jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Pewien mężczyzna zarabia na życie w szczególny sposób. Jest kopaczem. Hieną. Trupojadem. Lub, jeśli woli pan bardziej po amerykańsku, poszukiwaczem złota. Tyle że jego ziemią obiecaną jest Treblinka. Eldorado Podlasia. To, co tam robi, nie daje mu spokoju. Pisze wspomnienia i jest tam wyraźny ślad tego, czym się zajmował. O tych wspomnieniach zresztą za chwilę. Tak sobie myślę… Potem dał synowi swoje imię. Rodzi się pan kilka lat po tym wszystkim, pański ojciec zaczyna nowe życie. Ksawery Konrad senior i junior. Zupełnie jakby chciał, by stał się pan jego repliką, tyle że może nieco lepszą.

Konrad drgnął.

– Skończ z tą psychologią dla ubogich, bo inaczej będziesz miał kłopot, by wyjść stąd o własnych siłach.

– Nie sądzę. Chce pan posłuchać dalej?

Kolejny obłok dymu.

– Mijają lata. Syn rzeczywiście staje się ulepszoną kopią ojca, uczeń przerasta mistrza. I zatrudnia pan młodego zdolnego specjalistę od marketingu politycznego, by napisał książkę. Okoński pracował przecież nad pańską biografią, prawda? Mogę już zwracać się do pana: „panie prezydencie”? Czy lepiej: „niedoszły panie prezydencie”?

– Dalej.

– I nagle Okoński natrafia na dokumenty sprzed lat. Na wspomnienia Konrada seniora, i dokopuje się, za przeproszeniem, do mrocznej przeszłości. Co gorsza, znajduje jeszcze zdjęcia. Drąży temat i okazuje się, że rzeczywiście pierwszy milion trzeba ukraść, a potem już pójdzie. Czasem kradnie się żywym, a czasem trupom. I nagle mit założycielski dynastii Konradów wali się jak…

– Niepotrzebnie pozwoliłem mu grzebać. I ty też niepotrzebnie się tym interesujesz.

– Wydaje mi się, że słowo „grzebać” jest w tej sytuacji też trochę nie na miejscu.

Konrad zacisnął usta. Teraz były cienką kreską.

– Powiem panu, co było dalej. Nie jest pan człowiekiem, który przebiera w środkach, wiem coś o tym. Ale Okoński był nie w ciemię bity. Zwęszył niebezpieczeństwo i zniknął. Niestety, zwiał razem z dokumentami pańskiego ojca. Pan próbuje chłopaka namierzyć, ale nic z tego nie wychodzi. Kontaktuje się pan z innym biznesmenem, Janem Królem, w tym środowisku znacie się jak łyse konie, i prosi o przysługę. Cała ta jego opowieść, że Okoński coś tam dla niego robił, to jedna wielka ściema. Miałem odnaleźć chłopaka, bo pan tego chciał. Miałem go wystawić i o niczym nie wiedzieć. Tyle że ja wiem, a moją wiedzę odpowiednio zabezpieczyłem. Tak tylko wspominam, na wypadek gdyby jednak poniosły pana nerwy. Zatrudnił mnie pan w tak pokrętny sposób, bo dobrze pan wiedział, że inaczej odmówię. Tak czy siak, mamy teraz kłopot.

Wyprostował się.

– Rozstaliśmy się w niezbyt miłych okolicznościach – przyznał. – A teraz też nie jest miło. Ile chcesz?

– Tu nie chodzi o pieniądze. Jak to się stało, że Okoński dowiedział się o przeszłości pańskiego ojca?

Konrad przymknął oczy. Potarł palcami brwi, jakby w ten sposób chciał przywołać wspomnienia. Zbierał się w sobie, może coś porządkował w głowie. Wreszcie przemówił:

– Zacznę od początku. Gdy mój ojciec umierał, poprosił mnie tylko o jedno. Przez całe życie prowadził notatki, zbierał dokumenty, fotografie. Był pierwszym w rodzinie, który nauczył się pisać. Pierwszym, który skończył studia. I był z tego dumny. Kazał mi to wszystko spalić. Ale ja nie mogłem. Nie potrafiłem tego zrobić. To byłoby tak, jakbym uśmiercał go po raz drugi. Mam też żal do siebie, że nigdy tych papierów nie przejrzałem. Sądziłem, że jeszcze będzie na to czas.

Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie. Może w ten sposób wyznania przychodziły mu łatwiej.

– Był dobrym człowiekiem, naprawdę dobrym człowiekiem, który kiedyś… kiedyś popełnił błędy… Starał się te błędy później odkupić. Nigdy nie opowiadał mi o tamtych czasach, dopiero ten Okoński…

Otworzył oczy.

– Tak, zleciłem mu napisanie biografii, mojej biografii. Za bardzo dobre pieniądze. Chłopak zabrał się do roboty i był świetny. Pewnego dnia zapytał, czy są jakieś dokumenty po moim ojcu, bo chciałby moje losy pokazać pełniej, na odpowiednim tle. I zgodziłem się, by przejrzał wszystko…

– Kim był Kroński? Albo: kim jest?

– Kroński?

– Pański ojciec napisał o nim, że był to najstraszniejszy człowiek, jakiego poznał.

– Nie wiem. Nigdy o kimś takim nie mówił. Okoński też mnie o niego pytał.

– A Markiewicz? Zna pan Piotra Markiewicza?

– Też nie. Na pewno nie…

Milczał przez chwilę, po czym mówił dalej:

– Okoński opowiedział mi o moim ojcu. O jego przeszłości. Nic o tym nie wiedziałem. Ojciec zabrał to ze sobą do grobu. A dla mnie to było tak… To było tak, jakby… Po prostu trzęsienie ziemi. Kazałem mu się wynosić do wszystkich diabłów. I się wyniósł. Ale okazał się złodziejem. Zabrał ze

sobą to, czego nie powinien. Dwóch moich ludzi już nie pracuje, nie wiem, jak mogli do tego dopuścić.

– Pan naprawdę szykował się do kampanii prezydenckiej, prawda? I Okoński pokrzyżował panu plany? Mogę sobie wyobrazić, co by było, gdyby informacja o pańskim ojcu przedostała się…

Nie dał mi dokończyć.

– Gówno wiesz, Hłasko. I do tego jesteś naiwny. Naiwny jak dziecko.

Wstał i podszedł do mnie. Odzyskał rezon i wiedziałem, co teraz nastąpi. Konrad w najlepszej roli, Konrad w najwyższej formie, Konrad wszechwiedzący wkraczał do akcji.

– To są plotki. Ordynarne plotki. Nie mam żadnych aspiracji politycznych. Żyjemy – zatoczył dłonią koło – w czasach świętej trójcy. Ta trójca to media, biznes i polityka. Czasem dochodzi do tego jeszcze Kościół, bo taka jest nasza lokalna specyfika, że fundamenty państwa wsparte są na kruchcie.

Pokazał na palcach. Tak na wszelki wypadek, gdybym zapomniał, jak liczy się do trzech.

– Dziennikarze i eksperci z profesorskimi tytułami chodzą na pasku jednych i drugich, ujadają o swojej niezależności, a w gruncie rzeczy są pokątnie wynajmowani po to, by ocieplić wizerunek jakiegoś fagasa, i do innych bredni typu public relations. Politycy? Jacy politycy? O kim mówimy? O smoleńskim Rasputinie? Czy o nażelowanym gogusiu z kompleksem małego fiuta, który klepie po tyłkach dziewczyny z partyjnej młodzieżówki? A po drugiej stronie? Pijany poseł na lotnisku krzyczący o Hitlerze? O kolekcjonerze zegarków nie wspominając. Żenada goni żenadę. Wszędzie ta sama nędzna menażeria.

Wypuścił głośno powietrze. Wiedziałem, że Ksawery Konrad dopiero się rozkręca.

– To są szmaciarze, Hłasko. Zwykłe gnoje. Tak jak polscy piłkarze. Dlatego jednych i drugich nie znoszę. Mają orzełka na piersi, plują ojczyźnianymi frazesami albo europejskimi aspiracjami, a śmierdzi im z gęby, bo zęby to najwyżej wódą przepłuczą. Ja nawet psów bym im nie powierzył. I co? Miałbym siedzieć z takimi przy jednym stole? No, czasami to robię, siedzę, ale brzydzę się… Gdybym, Hłasko, był w Rosji, to co innego. Jeśli jesteś biznesmenem, to nie znasz tam dnia i godziny. Nie wiesz, czy nie obudzisz się w łagrze. Tam zdecydowanie lepiej być

politykiem. A u nas? Przestaje taki być posłem czy ministrem, a potem przychodzi do mnie żebrać o jakąś posadkę w którejś z firm. Wiesz, ilu mam podobnych kolesiów? Więcej niż Radziwiłł szlachty bez ziemi. A teraz powiem ci, dlaczego jesteś naiwny.

Okrążył biurko i zapalił kolejnego papierosa.

– Staram się nie palić, ale rozmawiając z tobą, trudno zachować spokój… Czy ty naprawdę myślisz, że historia mojego ojca zrobiłaby dziś wrażenie? Czy myślisz, że jest jeszcze w tym kraju temat, który może tak pogrążyć człowieka, że zniknie z polityki raz na zawsze? Otóż nie ma niczego takiego. Są tylko doraźne gierki. Może przez tydzień byłoby zamieszanie, a potem po sprawie, a ja nająłbym odpowiednich ludzi, takich jak ten bystrzak Okoński, żeby oświetlić wszystko w odpowiedni sposób. I jeszcze zyskałbym dodatkowe punkty.

Wygrał. Czuł się jak zwycięzca. I chciał grać dalej według swoich zasad.

– Więc znajdź tego Okońskiego. Chcę po prostu odzyskać rodzinną pamiątkę. Zostawię go w spokoju. W końcu młodzi ludzie błądzą…

– Ale po co to panu było? Po co ta biografia, skoro nie zamierzał pan bawić się w politykę? Kazał mi pan wyczyścić informacje o sobie, pamięta pan? O co tu chodzi?

Nie odpowiedział od razu. Wskazał głową ścianę, na której wisiał obraz.

– Pamiętasz, co to jest?

Spojrzałem na potężnych rozmiarów płótno.

– Pamiętam. To był chyba pański wykład numer dwa tysiące czterdziesty drugi. Do dziś boli mnie ręka od robienia notatek. Ekspresjonizm amerykański. Nurt nazywany color field painting. Obraz Barnetta Newmana.

– Bardzo dobrze – pochwalił mnie. – Ameryka to jednak Ameryka. W ogóle lubię malarstwo tamtego okresu. Przecież nie będę się uganiał za zaginionym obrazem Rafaela. To zabawa dla chłopców w krótkich spodenkach. I jeszcze jedno, Hłasko. Tam, gdzie ty widzisz dużą plamę, ja widzę zupełnie coś innego.

– Co pan takiego widzi?

Zadałem pytanie, wstrzymałem oddech i trwałem w napięciu.

– Nieskończoność.

Doprawdy. Kto by pomyślał.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę.

– A teraz pokażę ci inny obrazek. Sam już nie wiem, który jest lepszy.

Wyjął czarną kliszę z białymi prześwitami i podał mi ją.

– A tak wygląda skończoność. Tak wygląda rak. Mam raka płuc.

Schował zdjęcie rentgenowskie, zamknął szufladę na klucz, a klucz wsunął do kieszeni spodni.

– Pewnie zauważyłeś, że trochę się zmieniłem. Postanowiłem, że nie będę poddawał się chemii ani łykał chińskich pastylek. Chcę odejść tak jak stoję. Córka nic nie wie, mówię jej, że czas było zmienić nawyki żywieniowe, i chcę, by tak to zostało… Jak najdłużej… Teraz rozumiesz?

Pokiwałem głową.

– Stąd ta biografia. Chciałem coś po sobie zostawić. Coś naprawdę cennego.

– Rozumiem.

– Zatrudniłem już kogoś, kto dokończy robotę za Okońskiego. Nie mam za dużo czasu. Dlatego proszę cię: znajdź mi tego chłopaka. Znajdź go. Ja jestem już jedną nogą na tamtym świecie. I reguluję ostatnie rachunki.

– Jak na człowieka, który myśli o nieskończoności, to ma pan fajną furę przed domem.

– Bmw?

– Beemka.

Machnął ręką.

– To bmw mojej córki. Mówiłem jej, żeby nie stawiała od frontu. Nie pasuje do tego domu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wbiegła dziewczynka. Mogła mieć pięć, sześć lat. Za nią przyczłapały dwa psy rasy shar pei. Fałda na fałdzie. Dziewczynka wskoczyła Konradowi na kolana, a psy zaczęły mnie obwąchiwać i się ślinić.

– Dziadku – mała zaczęła przekładać rzeczy na biurku – mama pyta, gdzie położyłeś nową płytę. Powiedziała, że taką z rozczochranym panem. – Skrzywiła się. – Znowu paliłeś.

Nacisnęła na jego nos, a Konrad wybałuszył oczy i wysunął język. Scenka powtórzyła się kilka razy. Nie wierzyłem w to, co widziałem.

– Płyta? Beethoven? – Roześmiał się. – Zaraz przyniosę.

Dziewczynka spojrzała na mnie.

– A ten pan to kto?

– Ten pan to smok, który przyszedł nastraszyć dziadka.

– Smok? Ale nie dasz się nastraszyć, prawda?
– Nie, nie dam.
– I co zrobisz?
Popatrzył na mnie.
– Zrobię to, co się robi ze smokami.

CZĘŚĆ PIĄTA

37

Mężczyzna wpatrywał się w moje okno. A ja w niego. A jeszcze bardziej w napis, który umieścił na kawałku dykty: „Precz z koszernym! Precz z rytualnym ubojem!”. Napisał tam chyba coś jeszcze, ale z tej odległości nie mogłem odczytać.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nadciągnęły chmury i się ochłodziło.

Wypiłem kawę, wziąłem prysznic i znów wyjrzałem przez okno. Na zachodzie bez zmian. Chociaż nie, coś się zmieniło. Do tkwiącego nieruchomo mężczyzny podszedł jeden z moich sąsiadów. Pan Marian, stary praski cwaniaczek, który lata temu przeflancował się na drugi brzeg Wisły. Otworzyłem szerzej okno.

– Pan się pomylił. Tutaj jest osiedle domków, a kancelaria premiera jest tam. – Pan Marian pokazał palcem.

Samotny demonstrant pokręcił głową.

– Naprawdę nie musi pan tu wystawać, bo my nie mamy nic wspólnego z tym całym ubojem. Ten pan, który tu mieszka – machnął ręką w stronę mojego okna – też nie.

Znów kręcenie głową.

Pan Marian machnął ręką.

– A zresztą wiesz pan co? Co ja na to? Mnie to GMO! – zdenerwował się pan Marian.

Tamten coś odpowiedział.

– Tak! GMO. Gówno Mnie Obchodzi! Gówno mnie ten pański protest obchodzi. I w ogóle wszystkie protesty. Tyle w temacie.

Sąsiad pomamrotał coś jeszcze niezadowolony i sobie poszedł. Mężczyzna też. Gdy pół godziny później wyjrzałem raz jeszcze, by sprawdzić, co tam słychać, już go nie było.

Chciałem zająć się Okońskim, ale musiałem wyczyścić inne sprawy. Czekała mnie zaległość w postaci Raszyna. Nie dojechałem tam ostatnio, wszystkiemu winien był detektyw amator Konopka Jakub, ale tego mojemu klientowi nie mogłem powiedzieć. Miś Koala był niepocieszony, gdy odwołałem spotkanie, więc teraz spędziłem trzy godziny w eukaliptusowym raju, przejrzałem trzy katalogi ze scramblerami i tonem znawcy radziłem mu, który ma wybrać. Odkręciłem jedno „trefne” gniazdko i pokazałem, że nikt tam nie założył podsłuchu.

Gdy tylko wróciłem do domu, rozległo się pukanie do drzwi.

– A tu, Marcinku, jeszcze jedna petycja do pani prezydent, nie miałem jej ostatnio gotowej. – Julia wręczyła mi kartkę.

Podpisałem.

– A w ogóle ktoś zostawił ci słoik.

– Co zostawił?

– Dziś byłam już raz u ciebie i stał ten słoik. Z sokiem truskawkowym. Zaraz ci przyniosę. Jakaś kobieta może wreszcie o ciebie dba.

– Kobiety, które znam, nie przynoszą soku w słoiku. Przede wszystkim – zrobiłem moją najbardziej udręczoną minę – nie przynoszą szczęścia. To musi być jakaś pomyłka. Ktoś przechodził i postawił…

Roześmiała się.

– I napisał na etykiecie: „Marcinie, smacznego”. Właśnie tak napisał. Sam zobaczysz. Pięknie pachną te truskawki. Tylko ktoś nie dokręcił słoika… – Już stała na progu.

W ciągu ostatniej godziny zrobiło się duszno. Zdjąłem T-shirt i wziąłem czysty. Najwyższy czas, żebym zrobił pranie. Wrzuciłem brudne rzeczy do bębna i zacząłem się zastanawiać nad kolejnym ruchem w sprawie Okońskiego. Miałem dwa pomysły.

Sięgnąłem po proszek i nasypałem do pralki. Poczułem szczypanie w nosie. Kichnąłem dwa razy.

Zapach.

Zapach truskawek.

„Ktoś nie dokręcił słoika”.

Wypadłem z domu i popędziłem do domku Julii.

– Julio! – wrzeszczałem na całe osiedle. – Nie ruszaj tego słoika! Nie…

Wybuch powalił mnie na ziemię. Usłyszałem odgłos tłuczonych szyb, włączyły się alarmy w samochodach, niemal natychmiast zawyła syrena.

Zerwałem się z ziemi. Odezwały się stłumione instynkty. Zawodowca można poznać po tym, że w krytycznych sytuacjach, gdy inni wpadają w panikę albo po prostu nie wiedzą, co zrobić, on działa automatycznie. I właśnie teraz odezwał się we mnie ten automatyzm i potrzeba rutynowych działań.

Nie dobiegłem do domku Julii. Wiedziałem, że to bez sensu. Wróciłem do siebie, zabrałem walthera, dodatkową amunicję, pieniądze i kluczyki do samochodu. Mój telefon, ten z powszechnie znanym numerem, rozłożyłem i zostawiłem w sejfie. Jeśli ktoś będzie chciał mnie namierzyć, nie będzie miał łatwo.

Zostało mi kilka minut. Wybuch nastąpił w pobliżu ambasady Niemiec oraz innych strategicznych punktów i za chwilę zjadą się tu wszyscy święci. Szybko stwierdzą, że nie był to zamach terrorystyczny. Równie szybko połączą wybuch z moją osobą i zacznie się kolejna seria niewygodnych pytań.

Było też coś znacznie groźniejszego. Ktoś przecież próbował wysadzić mnie w powietrze. Zorientuje się, jeśli jeszcze tego nie wie, że spartolił robotę. I zrobi z pewnością wszystko, by drugi raz tak się nie stało.

Wsiadłem do samochodu. Z biciem serca przekręcałem kluczyk, ale tym razem nic nie wybuchło. Ruszyłem i zadzwoniłem do Clyde’a. Ta druga komórka już parokrotnie ratowała mi skórę, tak miało być i tym razem.

– Pięć minut temu ktoś chciał mnie wysadzić w powietrze.

– Za ile będziesz? – spytał Clyde.

– Najszybciej, jak się da. O ile nie zdarzy się nic niespodziewanego.

38

Dojechałem cały i zdrowy. W takich sytuacjach najważniejsze to wystrzegać się głupich błędów. Żadnych popisów, wyprzedzania, pisku opon. Jechałem prawym pasem i ani razu nie przekroczyłem dozwolonej prędkości. Nad Warszawą zbierały się coraz ciemniejsze chmury. Gdy się do nich zbliżyłem, zaczęło padać.

Bonnie i Clyde czekali w drzwiach.

Rozłożyłem ręce.

– Od czego by tu zacząć…

– Zaczniemy od tego – powiedziała Bonnie – że pójdziesz do łazienki. A ty – zwróciła się do męża – przyniesiesz plaster i wodę utlenioną.

Dopiero gdy spojrzałem w lustro, zauważyłem strużkę krwi na policzku. Wybuch był potężny. Drobiny szkła z rozbitych szyb utkwiły w skórze. Usunąłem je, a potem włożyłem głowę pod zimną wodę i trwałem tak przez dobry kwadrans.

Kiedy wróciłem do pokoju, usłyszałem pierwsze pomruki burzy. Clyde wynalazł w garażu plandekę pamiętającą czasy potopu i przykrył nią mojego seata. Tak na wszelki wypadek.

– Jak to się stało? – chciała wiedzieć Bonnie.

Jej potężny biust falował pod kraciastą koszulą. W innej sytuacji może pozwoliłbym sobie na jakiś żart, ale tym razem nie było mi do śmiechu.

Opowiedziałem.

– Nadtlenek – orzekł Clyde, gdy skończyłem. – Na sto procent.

Też tak myślałem. Niektórzy nazywają go azytkiem.

Delikatny w obsłudze. Diabelnie delikatny. Wystarczy rozetrzeć go w palcach i człowiek puka do nieba bram. Albo nasypać tam, gdzie znajduje się gwint słoika, i dokręcić pokrywkę. Duża wilgotność zwiększa szanse, że nadtlenek zadziała jak należy.

Pomyślałem o Julii, ale to był tylko błysk wspomnienia. Na tyle krótki, by się nie rozkleić. Żadnego gdybania, co by było, gdybym zareagował kilka sekund wcześniej. Teraz nie miało to znaczenia. Liczyły się dwie sprawy. Pierwsza: nie dać się zabić. Druga: ten, kto to zrobił, musi pożałować, że się urodził.

Widocznie targały mną emocje, bo Bonnie zaproponowała koniak. Odmówiłem.

– Zrobiłabym kotlety, ale ktoś wyprowadził mięso. Już kolejny raz.

Spojrzała przeciągle na Clyde'a, który intensywnie wpatrywał się w dno szklanki z wodą, jakby dostrzegł coś interesującego na dnie.

– Daj spokój, Bonnie, z kotletami – powiedziałem. – Poproszę za to twój telefon.

Gdy mi go podała, zadzwoniłem do brata.

– Co tam się u was stało? – W ogóle nie przypominał człowieka pogrążonego w depresji. – Jakiś wybuch czy zamach przy ambasadzie, pokazują to na okrągło. Dzwoniłem do ciebie, ale masz wyłączoną komórkę.

– Obstawiam, że to pani prezydent. Znalazła ostateczne rozwiązanie problemu domków fińskich – powiedziałem.

Nie miałem jednak czasu na dłuższe dyskusje.

– Ta twoja Kasia, Karolina…

– Klaudia.

– No właśnie, Klaudia, ma jakąś rodzinę na Mazurach, prawda? Może byście tam wyjechali na kilka dni, co? Ale tak zaraz.

– Coś się stało?

– Powiedzmy…

Streszczałem się. Miałem nadzieję, że Mikołaj jest w na tyle dobrej formie i potrafi kojarzyć fakty, by zrozumieć, że moje słowa to coś więcej niż tylko luźno rzucona sugestia. Oczyszczałem pole. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś przypomniał sobie o istnieniu mojego brata.

– Pamiętacie tego pojeba od gaśnic? – wróciłem do rozmowy z Bonnie i Clyde'em. – Tego, który montował nadtlenek w gaśnicach samochodowych i przypadkowi ludzie wylatywali w kosmos? To chyba jeszcze było za waszych czasów.

Pamiętali. Głośna sprawa. W jednym przypadku gaśnica wybuchła, gdy mężczyzna dojechał na parking, otworzył bagażnik i szukał czegoś

w środku. Opowiadano, że fragmenty głowy ktoś znalazł na balkonie. W przypadku nadtlenku sprawę komplikowało to, że jest stosowany zarówno przez amatorów, jak i zawodowców.

Do późnej nocy rozrysowywaliśmy różne warianty, Clyde postanowił nawet wprowadzić diagramy do komputera, ale mu to odradziłem. W serwisach informacyjnych wypowiadali się eksperci, którzy stanowczo odrzucili możliwość zamachu terrorystycznego. Polska jest krajem bezpiecznym, zapewniali. Polska może i tak, ale ja nie. Pomału zaczęły pojawiać się informacje o nieszczęśliwym wypadku na Jazdowie. Najprawdopodobniej nastąpił wybuch gazu.

– Jedno jest pewne – powiedziałem. – Nie chodziło o to, by odstrzelić mi głowę, bo do tego używa się innych środków. Miałem wylecieć w powietrze z całym dobrodziejstwem inwentarza. Z całym domkiem, w którym mogłem coś ukryć. Chodziło o totalne unicestwienie.

– Jak w grach komputerowych – szepnął Clyde.

– Tak. Jak w grach.

Burza rozszalała się na dobre. W pewnym momencie zgasły wszystkie światła. Wyjąłem walthera, podszedłem do okna i obserwowałem okolicę rozświetlaną przez błyskawice. Po dziesięciu minutach światło się zapaliło. Odetchnąłem z ulgą.

– Czasem to się zdarza – powiedziała Bonnie. – Wyłączają prąd. Uroki cholernego zadupia.

Nie narzekałem. Dochodziła trzecia nad ranem i postanowiłem przespać się kilka godzin. Jeśli obudzę się w ich gościnnym łóżku cały, będzie to dobry znak. Musiałem odpocząć, bo rano czekała mnie podróż. Ustaliliśmy plan działania, rozważyliśmy wszelkie za i przeciw i poszliśmy spać.

Rano zjadłem śniadanie – wolałem nie kusić losu i nie zatrzymywać się niepotrzebnie na stacjach benzynowych i w przydrożnych zajazdach. Byłoby dobrze, Clyde, gdybyś dał mi jakieś ubranie na zmianę. Coś z twojej górnej półki, a mojej niższej. Wiesz, chodzi o coś niekompromitującego. I żebym nie wyglądał w tym, jakbym był w ciąży. Może wezmę wasz samochód? Też o tym myśleliście? To świetnie.

O dziesiątej wyruszyłem do Treblinki.

39

Gdy jesteś ścigany, możesz postąpić na dwa sposoby. Pierwszy: znajdziesz bezpieczną kryjówkę, a jeszcze lepiej kilka, żeby się zadekować. Drugi: zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało. W jednym i drugim przypadku zaleca się w sumie to samo. Masz nie rzucać się w oczy, nie wykonywać gwałtownych ruchów, zachowywać się tak, by być dla świata przezroczysty i obojętny jak powietrze. Pierwsza opcja sprawdza się, gdy mamy dobrze zaplanowaną ucieczkę, druga – gdy nie możemy skorzystać z wariantu pierwszego.

Sytuację komplikowało to, że musiałem działać. Szansą było odnalezienie Okońskiego i papierów po starym Konradzie. Co potem? Zobaczymy. Póki co poza blefem i bezczelnością nie miałem w ręku żadnych atutów.

Za Wyszkowem skręciłem na Brok. Pokonywałem tę samą trasę, którą jechał Okoński. A przynajmniej miałem nadzieję, że tak jest, i trafię na jego ślad. Za Małkinią minąłem przejazd i most i wjechałem na podziurawione płyty. Przypomniało mi się osiedle Dudziarska z gigantycznych rozmiarów czarnym kwadratem na bloku. Minąłem Treblinkę i skręciłem w prawo. Jeszcze kilka kilometrów, i znalazłem się na miejscu.

Nigdy wcześniej tu nie byłem, ale czytając *Eldorado*, zorientowałem się, jak funkcjonowała cała ta maszyneria śmierci. Tory, rampa, w miejscu komór gazowych stał teraz pomnik. Żwirownia, w której ludzie pracowali jak niewolnicy, cmentarz. Czarna Droga łącząca obóz pracy z obozem zagłady. W sumie, skoro już tu byłem, zwiedziłbym to miejsce, ale nie miałem na to czasu. A poza tym od wczoraj mierzyłem się z ludzkim okrucieństwem w innej skali, prywatnej, ale dojmującej. I tylko to mnie teraz obchodziło.

Wszedłem do niewielkiego muzeum i zobaczyłem grupkę dzieciaków w wieku szkolnym. Mówiły po niemiecku. Zorientowałem się, że przygotowują plansze, które mają być częścią ekspozycji.

Znalazłem jakiegoś pracownika i wyjaśniłem, o co mi chodzi. Rozglądał się bezradnie, a potem kazał mi zaczekać. Poszedł dokądś, a ja rozejrzałem się po muzeum i usiadłem. Minęło pół godziny. W takich miejscach czas płynie swoim rytmem.

Chyba nawet przysnąłem. Drgnąłem gwałtownie, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Starszy mężczyzna z resztkami siwych włosów zaczesanymi do góry przypatrywał mi się uważnie. Zaproponowałem, żebyśmy wyszli na dwór. Stanęliśmy przy pomniku.

Po drodze wyjaśniłem mu, o co mi chodzi. Nie, nie jestem dziennikarzem, nie szukam taniej sensacji, pracuję nad pewną biografią, sprawa jest delikatna, tyle mogę powiedzieć. Mogę też powiedzieć, czego się do tej pory dowiedziałem. Słuchał mnie i kiwał głową.

– Tak. Tu rzeczywiście kopano do końca lat pięćdziesiątych. Zaraz po wojnie nikt się tym nie przejmował, a w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim władza miała inne problemy, walczyła z wrogami systemu. Tych, którzy kopali, traktowano jak wyrzutków. Musi pan pamiętać, jak się to odbywało. Podczas uśmiercania w komorach ludziom puchły ręce, inni dostawali szczękościsku. Nie można było zdjąć obrączek czy wyrwać złotych zębów. Ukraińscy żołnierze pilnujący obozu odcinali głowy i ręce, zakopywali w ustalonych miejscach i tak powstało Eldorado.

– A jeśli chodzi o grupy, o których wspomniałem…

– A, no to była specjalizacja – przerwał mi. – Jedni wykopywali trupy, inni chronili kopiących, bo działały mafie odbierające kosztowności tym, którym, przepraszam, że tak mówię, się poszczęściło. Jeszcze inni upłynniali towar. Byli też tacy od wiercenia dziur i zakładania ładunków wybuchowych. Po wybuchu kawałki spadały na ziemię i wtedy je grzebali.

– A zdjęcia? Jest jakaś dokumentacja? Natrafiłem przypadkiem na takie zdjęcie w domowym archiwum.

Pokręcił głową.

– My niczego takiego nie mamy. Inne muzea chyba też nie Nie słyszałem o tym. A kopacze robili sobie zdjęcia bardzo rzadko, chyba że był jakiś szczególny powód…

Uznałem, że nic tu po mnie. Podziękowałem mu za rozmowę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Mężczyzna przytrzymał moją rękę.

– Czekaj pan. W latach sześćdziesiątych powstało trochę reportaży o kopaczach. W Lublinie chyba… – Próbował sobie przypomnieć – Tak, w Lublinie się w tym specjalizowali, mają przecież Majdanek. Patrz pan, co to się robi z pamięcią. Zupełnie wyleciało mi to z głowy, gdy tamten o to pytał – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

– Jaki tamten?

– Był tu taki sympatyczny chłopak, dużo młodszy od pana. A, przypominam sobie, też mówił o jakiejś biografii. Czy pan to przypadkiem nie jakaś konkurencja? – Przekrzywił głowę.

– To chyba zbieg okoliczności. Nie wiem, o kim pan mówi. A dawno temu był?

– W maju chyba. Strasznie pan ciekawy. A on prosił, żebym nic nie mówił, jeśli by kto o niego pytał. Ani mru-mru.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem szeleszczący argument.

– To ja też mam do pana prośbę. Gdyby ktoś pytał o mnie, to też ani mru-mru, dobrze?

Wsunąłem mu banknot do ręki.

– To honorarium za znakomity wykład o kopaczach i Eldorado.

Nigdy nic bardziej idiotycznego nie przyszło mi do głowy.

40

– Przepraszam pana – usłyszałem za plecami.

Poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciłem się gwałtownie.

Miałem do pokonania dwieście kilometrów. W drodze do Lublina zatrzymałem się w Radzyniu Podlaskim przed hipermarketem. Nie byłem głodny, raczej chciałem rozprostować kości. Krążyłem po prawie pustym sklepie bez szczególnego celu i dotarłem w okolice magazynów.

– Przepraszam pana.

Serce zabiło mi gwałtownie, ale równie szybko się uspokoiło.

Przede mną stał mężczyzna w granatowym kombinezonie i czerwonej czapce z żółtym logo. Ci, którzy mnie szukają, z pewności by się tak nie ubrali.

– Przepraszam pana, czy paleta „Żyd” ma się znaleźć obok palety „Papież”?

Czy ja wyglądam na menedżera sklepu w Radzyniu Podlaskim? Najwyraźniej tak.

– A co to za paleta?

Pokazał mi fakturę. Rzeczywiście. Paleta „Żyd”. Tak napisali.

– Jak to co? Obrazek. Tyle że nie ze świętym ojczulkiem, ale z Żydem. Żyd liczy pieniądze i takie porzekadło tam jest…

– Powiedzenie, nie porzekadło. Jakie?

– „Żyd w sieni, pieniądz w kieszeni”.

– Znaczy, szczęście ma przynieść. Jak ojczulek.

– No tak.

– To składuj pan obok palety „Papież”.

Nie zrobiłem tam zakupów. Wolałem nie czekać na rozwój wydarzeń, miałem przecież być przezroczysty jak powietrze.

Zaparkowałem w Lublinie przy Krakowskim Przedmieściu. Strzał mógł być tylko jeden. Przejrzałem w telefonie lubelskie gazety. „Kurier Lublina” ukazywał się od 1957 roku, jeśli więc gdzieś pisano reportaże o kopaczach, to właśnie tam. Dopadłem jakiegoś redaktora prowadzącego i przedstawiłem się jako znajomy dziennikarki z Warszawy, Ewy Ciszewskiej. Owszem, słyszał o takiej, z pewną przyjemnością zauważyłem nawet, że jej nazwisko otwiera drzwi. Po krótkich wyjaśnieniach dotarłem do fotoedytora, potężnego misiowatego faceta z brodą i przepaską na czole. Charakteryzowała go typowa dla takich osobników ekonomia ruchu oraz przywiązanie do powiedzenia, że co się odwlecze, to nie uciecze. Jeśli chodzi o to ostatnie, podyskutowałbym, ale nie miało to sensu. On tu rządził. Zdany byłem na łaskę i niełaskę mężczyzny, który przedstawił się jako Egon.

Wyjaśniłem, o co mi chodzi. Wyjąłem z portfela złożoną kartkę ze zdjęciem z marca 1953 roku.

Patrzył na nie i nie wiedzieć czemu oblizywał usta. Zauważył, że przestępuję z nogi na nogę.

– Powoli, powoli. Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł.

Kończył pracę i powiedział, że jest głodny. Zaproponowałem, że postawię mu obiad, bylebyśmy wrócili do redakcji i przeszukali archiwum.

Poszliśmy do restauracji Dolce Vita znajdującej się w pobliżu. Egon zjadł makaron, dopchał się pizzą, ale tę mniejszą poproszę, i popił piwem, a zresztą, kolego, weź mi jeszcze jedno. Ty samochodem? Cholera, jak pech to pech, nie? Tym bardziej za twoje zdrowie wypiję.

– A co do tych zdjęć – o dziwo wytarł usta chusteczką, a nie ręką – to szkoda zachodu. Niepotrzebnie tyle jechałeś, trzeba było zadzwonić.

– To znaczy?

– To znaczy, że niedawno przeszperałem archiwum, szukając tych kopaczy. Nic. Są reportaże, owszem, a nawet trzy zdjęcia, ale to tylko jakieś rozorane pola, baraki w tle. Nie ma żywego ducha.

– Ktoś od was wziął się do tego tematu?

– Nie. Taki facet z Warszawy przyjechał. Młodszy od ciebie.

– Iz pewnością nikt by go nie wziął za menedżera sklepu w Radzyniu.

– Słucham? – zdziwił się.

– Nieważne, Egon.

– Tyle że go Majdanek nie interesował, tylko Treblinka. Ale wiesz co, zostaw mi, kolego, to zdjęcie, sprawdzę coś jeszcze, gdy będę wolniejszy.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że to zrobi, ale podałem mu numer telefonu, chociaż nie miałem pojęcia, czy jeszcze kiedyś włączę tamtą komórkę. Zapisał sobie mój adres e-meilowy.

Poprosiłem o rachunek i wtedy dotarł do mnie sens jego słów.

– Zaczekaj, Egonie. To znaczy, że Okoński, ten facet, który tu był, nie pokazał ci tego zdjęcia?

– Okoński? – Pokręcił głową. – On nie nazywał się Okoński. I żadnego zdjęcia mi nie pokazywał.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

– Markiewicz. Pamiętam dobrze, bo to panieńskie nazwisko mojej żony. Miałem jakąś robotę, zostałem po godzinach, a on coś tam sobie szukał.

– Pytał może o Ksawerego Konrada?

– O Konrada? Nie. Ale to zabawna sprawa. Pytał o faceta, który nazywał się Kroński, a tak ma na nazwisko mój wujek. Niezłe, co?

– Niezłe.

Moja dłoń zostaławchłonięta przez rękę Egona. Zamyślił się.

– Coś się stało, Egonie?

– Nie. Zastanawiam się, co będzie dziś w domu na obiad.

Oswobodziłem rękę.

– Wracaj spokojnie do Warszawki – dodał. – Następnym razem wpadnij bez bryki, to wypijemy coś jak ludzie. I pamiętaj, spiesz się powoli.

Ostatniej rady Egona nie mogłem wziąć sobie do serca.

41

A jednak nie udało mi się wrócić do Warszawy w takim czasie, jaki sobie założyłem. Jechałem rekordowo długo i wyplułem po drodze pokaźną liczbę przekleństw. Nie zamierzałem zresztą wracać do miasta. Moim celem była Magdalenka. Gdy byłem tam za pierwszym razem, nie zrobiłem wszystkiego jak należy. Egon, ze swoją systematycznością, powolnością i przysłowiami przydałby się wtedy bardzo, a mnie poniosły emocje. Rzuciłem wszystko, by ratować brata, zamiast skupić się na dokładniejszym przeszukaniu wszystkich zakamarków domu, od piwnicy po strych.

Spotkanie w Lublinie upewniło mnie, że popełniłem wtedy błąd. Gruby błąd. I wcale nie byłem pewny, czy zdołam go naprawić. Magdalenka mogła zostać starannie wysprzątana, przynajmniej ja bym tak zrobił na ich miejscu.

No właśnie. Na ich miejscu. Byli jacyś „oni”, a ja nie miałem pojęcia, kim są. Kiepsko walczy się z niewidzialnym i nieznanym przeciwnikiem. Nie wiedziałem też, w jaką grają grę. Czułem jednak, że Okoński i Markiewicz są jak mózg i serce tej sprawy.

Jak to się odbyło? Jak te dwie papużki nierozłączki podzieliły się rolami? W wilii Bunga-Bunga w Magdalence to dziennikarz grał pierwsze skrzypce. Koks i seks – to nawet się rymuje – były jego specjalnością. A Konrad? Okoński zaczyna pracować nad biografią, bierze sobie pomagiera, bo chce szybciej uporać się z robotą, a może nawet ma wobec niego dług wdzięczności. Trafiają na grubszą historię. Okoński podąża jednym śladem, Markiewicz postanawia sprawdzić, kim był ten cały Kroński. Pierwszy trop jest pewniejszy, chodzi o ojca założyciela biznesowego rodu. Natomiast o Krońskim pewnie nikt nic nie wie lub wyjdzie z tego wątku banalna historia o pospolitym rzezimieszku, który z pewnością od dawna nie żyje.

Obaj znikają. Jeśli ich kości nie ogryzają dzikie zwierzęta, to pewnie ustalili jakiś sposób kontaktowania się, podobny do tego, jaki ja mam z Bonnie, Clyde'em i kilkoma innymi osobami. Okoński zawinął się ze wspomnieniami starego Konrada. Ćpający dziennikarz miał swoje karty przetargowe. To nie najlepszy pomysł, wożenie takiego bogactwa ze sobą, zwłaszcza gdy jest się poszukiwanym przez niezbyt miłych ludzi. Obaj znali dom w Magdalence, teren jest tam duży, więc…

Więc właśnie tam pojechałem z Lublina. Wieczorem przetoczyła się kolejna burza, wycieraczki samochodu Clyde'a z trudem zgarniały deszcz, raz zatrzymała mnie na dziesięć minut ściana wody, potem wjechałem na połamaną gałąź i złapałem gumę. Pomodliłem się, by Clyde miał w samochodzie lewarek i koło zapasowe i żeby nie myślał, że wszystko w tym świecie da się załatwić za pomocą symulacji komputerowej. Moje modły, krótkie bo krótkie, zostały wysłuchane. Zmieniałem koło, minął mnie patrol policji, ale miał ważniejsze sprawy niż zajmowanie się pechowym podróżnym. Swoją drogą byłem ciekaw, czy jestem już na celowniku służb, a jeśli tak, to których.

Gdy dotarłem do Magdalenki, dochodziła dwudziesta trzecia.

Podjechałem do willi Bunga-Bunga, zatrzymałem się gwałtownie i wyłączyłem wszystkie światła. Wysiadłem i kucnąłem przy nieutwardzonej drodze prowadzącej do domu. Księżyc chował się za chmurami i padał deszcz. Nie miałem latarki, mogłem sobie poświecić tylko komórką. Jeszcze w światłach reflektorów samochodu dostrzegłem w rozmiękłej ziemi ślady opon samochodu. Ktoś ruszył gwałtownie, pozostawiając charakterystyczne wyżłobienia. Przybliżyłem telefon do ziemi i zobaczyłem odcisk buta. I jeszcze jeden.

Cofnąłem się do samochodu i otworzyłem schowek.

Wyjąłem walthera i ruszyłem w stronę domu.

42

Brak światła był sporym utrudnieniem, ale zarazem moją szansą, jeśli ktoś obserwowałby teren. Obszedłem dom. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Starałem się poruszać cicho i ostrożnie, ale poślizgnąłem się na mokrych schodach. Chwyciłem się olbrzymiej doniczki. Moja dłoń dotknęła cieczy, która z pewnością nie było deszczówką. Ukucnąłem i poświeciłem telefonem. Ciemna i gęsta. Przysunąłem rękę do nosa. Nie wyczułem zapachu, woda i powietrze robiły swoje, ale byłem prawie pewny, że to krew.

I to świeża. Odbezpieczyłem walthera i najciszej, jak umiałem, nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyły się bezszelestnie. Uchyliłem je na dziesięć centymetrów. Nasłuchiwałem i zastanawiałem się, co mam zrobić. Gdzieś w oddali zawył pies.

Pchnąłem drzwi czubkiem buta i znalazłem się w środku.

Hol był ciemny, ale dalej, chyba tam, gdzie była kuchnia, paliło się światło. Nie zauważyłem tego, obserwując dom z zewnątrz. Albo rolety były zaciągnięte, albo ktoś zapalił światło przed chwilą. Nasłuchiwałem. Cisza. Posuwałem się powoli środkiem korytarza, uważając, by czegoś nie potrącić.

Z gotowym do strzału pistoletem wpadłem do kuchni.

Krew była wszędzie. Na ogół mówi się o kałużach krwi, ale w tym przypadku to było raczej morze. Morze Czerwone.

Rozejrzałem się. Na podłodze leżały potłuczone talerze, które spadły z urwanej suszarki. Dwa przewrócone krzesła, jedno bliżej wejścia, drugie przy stole. Cukiernica z cukrem zabarwionym czerwienią, na parapecie szeroki nóż.

Mężczyzna leżał skulony pod ścianą. Przewróciłem go na plecy i odruchowo zamknąłem oczy. Musiałem odetchnąć głęboko, by popatrzeć

na to, co było kiedyś twarzą. Widywałem już w życiu takie obrazki, ale za każdym razem reagowałem podobnie.

Okoński? Markiewicz?

Obu znałem tylko z fotografii. Zakładałem, że przede mną leży jeden z nich. Twarz przypominała rozbite tłuczkiem mięso i nie było szans, abym rozpoznał zabitego. Przeszukałem kieszenie. Żadnych dokumentów. Nic, co mogłoby mi ułatwić identyfikację. Pozostało mi zgadywanie.

Podniosłem się i rozejrzałem raz jeszcze, tym razem zwracając uwagę na układ śladów krwi. Rozpryski, zacieki, rozmazy. Technicy kryminalistyczni będą mieli pole do popisu. Na suficie, mniej więcej nad stołem, zauważyłem plamy podobne do wykrzykników. Na podłodze i ścianie krew ułożyła się w charakterystyczne linie, które powstają, gdy krew tryska pod dużym ciśnieniem. Nie byłem ekspertem, ale z grubsza wiedziałem, co tu się wydarzyło. Płócienne spodnie mężczyzny były nasiąknięte krwią. Cios nożem, zapewne tym, który leżał na parapecie, przebił tętnicę udową, powodując błyskawiczne wykrwawienie. Zmasakrowana twarz była tylko dodatkiem. Wisienką na torcie, jak powiedziałby pewien znajomy medyk sądowy.

Dotknąłem dłoni. Były zimne. Włożyłem rękę pod koszulę ofiary. Tu ciało było cieplejsze. Szyja była prawie cała we krwi, ale zauważyłem na niej plamy opadowe. Pod wpływem nacisku plama znikła, a po kilkudziesięciu sekundach znowu się pojawiła. Górna część twarzy mężczyzny była zmasakrowana, dolna nawet w niezłym stanie. Poruszyłem żuchwą. Po tej części najszybciej widać objawy stężenia. Po trzech godzinach od śmierci żuchwy nie można ruszyć.

Te zwłoki leżały krócej. Znacznie krócej. Może godzinę lub dwie. Gdybym nie złapał gumy i gdyby nie zatrzymała mnie burza, wkroczyłbym w sam środek wydarzeń.

Jeszcze jeden głęboki wdech. Nasłuchiwanie. Morderca nie dyszał jednak za moimi plecami i nie czaił się za drzwiami. Nic z tych rzeczy. Inaczej niż w kryminałach i serialach. Byłem w tym domu jedyną żywą osobą. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Wyszedłem do holu. Czerwona smuga na ścianie poprowadziła mnie do salonu. Zupełnie jakby wskazywała kierunek zwiedzania w jakimś muzeum zbrodni.

Na środku salonu leżało drugie ciało. Dziewczyna. Krew na jej plecach była efektem uderzenia w tył głowy. Skrzepy krwi zlepiły jej włosy, które opadły na twarz. Odgarnąłem je. Ciało zamienione w miazgę, podobnie jak tamto w kuchni. Mimo to ją rozpoznałem: Patrzyłem na twarz, bluzkę z napisem „Pussy” i vansy na stopach. Obok ciała leżał tłuczek do mięsa.

I znów mnóstwo plamek w kształcie wykrzykników. A także dwie smugi. Jedna na ścianie, druga na roletach, tuż przy drzwiach prowadzących na taras. Najpewniej chciała tamtędy uciec albo przynajmniej wezwać pomoc. Ani jedno, ani drugie się nie powiodło. Wciąż pozostawałem jedynym żywym w tym domu.

Rubinowa Cipka. A więc tamten to Markiewicz? Niekoniecznie.

Wykonałem te same czynności, co za pierwszym razem. Nie było wątpliwości. Dziewczyna i mężczyzna zginęli w tym samym czasie.

Wstałem i obszedłem pozostałe pomieszczenia. Od czasu mojej poprzedniej wizyty chyba nic się nie zmieniło. Druciki po zamontowanych kiedyś kamerach wciąż smętnie zwisały z sufitów.

Cały mój plan wziął w łeb. Musiałem zrezygnować z przeszukiwania domu, bo zostawiłbym zbyt dużo śladów. Stałem w holu i próbowałem sobie przypomnieć, czy czegoś dotykałem. Mniej więcej za pół godziny anonimowy rozmówca poinformuje dyżurnego policjanta o jatce w Magdalence. Tyle muszę zrobić. Poza tym wolałbym nie być łączony z tą sprawą. Co za dużo, to niezdrowo. Tak pewnie powiedziałby Egon.

I gdy tak rozmyślałem, usłyszałem huk, a moje oczy zaczęły łzawić.

Ktoś krzyknął.

Kilka ton wgniotło moje ciało w podłogę.

Nie. Nie byłem jednak jedynym żywym w tym domu, pomyślałem, zanim straciłem przytomność.

43

Moje oczy powoli przyzwyczajały się do mdłego światła. Ocena sytuacji zajęła mi dłuższą chwilę. Powracające mdłości i zawroty głowy tego nie ułatwiały. Co tu dużo mówić, nie byłem w najlepszej formie. Bolało mnie całe ciało. Może bym się nawet przespacerował, ale gdy po pięciu krokach wpada się na kraty, traci się ochotę na przechadzki.

Raz ktoś do mnie zajrzał i z pewnością nie był to przedstawiciel Polskiego Czerwonego Krzyża.

A potem zostałem skuty kajdankami, poprowadzony po schodach na pierwsze piętro i posadzony w jednym z takich pokojów, jakie pamiętałem z dawnych czasów. Dwa krzesła, biurko, na którym nie stoi nawet lampa, lustro weneckie. Idealna bezosobowa przestrzeń pokoju przesłuchań. Nie wiedziałem, czy jest dzień, czy noc i jak długo leżałem na dole.

Ten, który wszedł, od razu mi się nie spodobał. Ja jemu też nie.

Facet koło czterdziestki. Wyższy ode mnie, ale, jak wiecie, o to nietrudno. Purpurowa koszula, dwa guziki rozpięte. Włochata pierś, którą można by przerobić na perski dywan. Miłośnik pism o odżywkach i sportowego stylu życia. To tyle na pierwszy rzut oka.

Popatrzył na mnie spode łba.

– Dla kogo pracujesz?

Siedział na brzegu biurka, a ja, ze skutymi rękami, na krześle metr od niego.

– No widzę, że od razu wkroczyliśmy na wyższy poziom gry.

Nie poznałem własnego głosu. Poczułem ucisk w skroniach i przymknąłem oczy.

– Że co?

– Że nie pyta mnie pan o imię, nazwisko, nie pyta, jak się tam znalazłem i dlaczego. Nawet nie pyta pan, czy przyznaję się do podwójnego

zabójstwa, pomija wszelkie procedury i idzie na skróty. To jest właśnie wyższy poziom gry.

– Mam mało czasu, śmieciu – warknął. Pochylił się nad moim uchem. – I nie pouczaj mnie, Hłasko, o co mam pytać. Miałeś swoją szansę wiele lat temu, tylko że wypisałeś się z drużyny. A wcześniej zostałeś kapusiem. Typowe: były zdeprawowany policjant, który zszedł na złą drogę… Więc nie mów mi, co mam robić.

– Tak sobie myślę, że psuje ci się górna czwórka. I to nie jest twój jedyny problem.

Nie odpowiedział, tylko przyglądał mi się w milczeniu. A potem znienacka kopnął mnie w klatkę piersiową.

Wiedziałem, że coś takiego może się zdarzyć, ale siła ciosu była naprawdę duża. Na chwilę mnie zatkało. Runąłem z krzesłem do tyłu. Odruchowo przysunąłem brodę do piersi, starając się nie uderzyć głową o podłogę.

Pomógł mi wstać, a miał żelazny uchwyt. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Musisz bardziej uważać, bo krzywdę sobie zrobisz. Zacznijmy jeszcze raz. Kto cię wynajął? Zaoszczędzi nam to czasu.

– Wal się – wystękałem. – Po prostu się wal.

Tym razem już mnie nie uderzył. I nie zrobił tego, gdy w ten sam sposób odpowiedziałem na kilka kolejnych pytań.

Odprowadzili mnie do celi.

Jest tyle subtelniejszych metod. Spece od psychologii pracujący na zlecenie służb dwoją się i troją, by wymyślić sposoby dręczenia człowieka. Pomyślałem, że ze mną trzeba by inaczej. Najlepiej zamknąć w pustym, izolowanym pomieszczeniu z białymi ścianami. Jedno krzesło. I wziąć na przeczekanie. Po dwóch godzinach miałbym dość. Po sześciu zacząłbym chodzić po ścianach. Po kilku kolejnych powiedziałbym wszystko. To się nazywa deprawacja sensoryczna lub jakoś podobnie.

Nie miałem jednak zbyt dużo czasu na myślenie. Postanowili wziąć mnie w obroty i znów powędrowałem na górę. Nie zdążyliśmy jednak rozpocząć drugiego seta. Ktoś wywołał mojego macho, słyszałem przez niedomknięte drzwi jego podniesiony głos, mówił, że nie, że to nie może tak być, dopiero zaczęliśmy, stanowczo się nie zgadzam. Wreszcie umilkł.

W drzwiach stał wysoki szczupły mężczyzna z cienkim blond wąsem.

– I wyszło na moje, proszę pana – odezwał się. – Jak zwykle zresztą.

Patrzyłem na niego spode łba.
– A tamten macho gdzie? Zżyliśmy się już trochę, a nawet polubiliśmy.

44

Powieźli mnie gdzieś, ale nie wiedziałem dokąd. Zorientowałem się tylko, że jest środek dnia. Dali kawę i ręcznik. Potarłem chropowaty zarost i już prawie poprosiłem o maszynkę i grzebień. Skoro taki tu full wypas.

Czułości jednak szybko się skończyły. Wylądowałem w pokoju, który był trochę lepszą wersją poprzedniego, powiedzmy, że standard wyższy o jedną gwiazdkę. Czekała tam na mnie nawet szklanka z wodą, ale szału nie było.

– A gdzie ten pański kolega, ten porywczy, z którym był pan u mnie? Ma spotkanie kółka teatralnego? – spytałem.

– Widzę, że wraca pan już do formy. – Patrzył na mnie z politowaniem.

– A ja słyszałem, że przez cały czas obserwował pan mnie i tamtego bydlaka w akcji.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Przyglądał mi się nieco dłużej, niż powinien. Oceniał sytuację. Wreszcie podjął decyzję.

– Dam panu szansę. Jeszcze jedną. Może się dogadamy. Ale jeśli uznam, że pan ściemnia…

– To wywieziecie mnie do Starych Kiejkut. I będziecie uczyć pływać, jak talibów. Dobrze kombinuję?

Założył nogę na nogę.

– Jest jeszcze sprawa wybuchu na Jazdowie. Od tego zacznijmy.

Powiedziałem, co wiem. Może nie wszystko, ale starałem się być wiarygodny. Wybuch i moja ucieczka. Co robiłem? Ano nic. Ukrywałem się. Zastanawiałem, co dalej.

– Może jest pan przyzwyczajony do tego, że ktoś czyha na pana życie, dla pana to lajcik, ale dla mnie nie za bardzo – zakończyłem.

Tyle chyba zrozumiał.

– Dlaczego znalazł się pan w Magdalence?

– Okoński współpracował z Markiewiczem, a to zaprowadziło mnie do willi Bunga-Bunga. Wie pan, co tam się działo i dlaczego bywał tam Markiewicz, prawda?

Lekko się uśmiechnął.

– Pomyślałem sobie, że przeszukam dom, może wpadnę na jakiś ślad. Znajdę wskazówkę, która poprowadzi mnie do Okońskiego.

– Dlaczego Okoński tak pana interesuje?

Opowiedziałem o Ksawerym Konradzie, pewnie słyszał pan o nim, a jeśli nie, to powinien pan nadrobić zaległości, bo to może być pański przyszły szef. Powiedziałem o biografii. A także o tym, że Okoński zniknął z jakimiś rodzinnymi papierami i pamiątkami po starym Konradzie.

Uznałem, że tyle wystarczy.

– Co się wydarzyło w tym domu?

– Przyjechałem i natrafiłem przed tą willą na ślady krwi. W środku prawdziwa rzeź. Nie wiem, co ci komandosi zadeptali, a czego nie, ale mogę panu powiedzieć z grubsza, co tam się stało. Który zginął? Okoński czy Markiewicz?

Wahał się przez ułamek sekundy.

– Markiewicz.

– Moim zdaniem było tak. Chłopcy umówili się w znanym sobie miejscu, a Markiewicz zabrał ze sobą tę Rubinową Ci… Tę dziewczynę.

– Co to za jedna?

– Kręciła się koło dziennikarza, ale głównie lansowała w knajpach na placu Zbawiciela.

A także przysporzyła mi nieco kłopotów. Przypomniałem sobie szaloną gonitwę przy PKP Powiśle. Moją Wielką Pardubicką.

– Ten Markiewicz to jest… to był taki niespokojny duch. Działał na wielu frontach. Chciał pisać artykuł o dealerach kręcących się wśród warszawskiej złotej młodzieży.

Opowiedziałem mu moją przygodę.

– Szybko pan biega – zauważył.

Podziękowałem. Nasze relacje z każdą minutą się ocieplały.

– Mogło być więc tak, że Markiewicz zabrał ze sobą dziewczynę, a ona przywlokła nieszczęście.

– A inna wersja?

– Inna wersja jest taka, że ktoś chciał dopaść ich obu.

Okońskiego i Markiewicza. Myślę, że chodzi o te haki, które zbierali. I wiąże się to jakoś z zabójstwem tego Młynarczyka w Gdańsku.

Nie skomentował ostatniego zdania.

– Zabójca ich dopadł. Załatwił Markiewicza – ciągnąłem. – Całkiem fachowo. Przebita tętnica udowa, chłopak błyskiem się wykrwawił. Gorzej poszło z dziewczyną. Prawdopodobnie pierwszy cios dostała w tył głowy, ale zaczęła uciekać. Dopadł ją w salonie, dobiegła do tarasu, była jakaś szamotanina, i koniec… Najgorzej poszło z Okońskim.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może pojawił się niespodziewanie? Był na górze, gdy zabójca robił swoje? Te ślady krwi na doniczce, na schodach przed domem… Myślę, że został ranny. Pewnie to jego krew. Dotarł jakoś do samochodu i uciekł. Być może chodziło o Markiewicza, bo to on był głównym rozgrywającym od haków. Okoński i dziewczyna byli tylko świadkami zbrodni.

– To się kupy nie trzyma.

– Dlaczego?

– Gdybym to ja był zabójcą, zrobiłbym to na czysto. Żaden tam nóż i tasak. Naszarpać się trzeba. Zawracanie dupy…

– No tak. Ale zabójca wiedział też, że trafi na kogoś łebskiego. Takiego jak pan. Dlatego wybrał rękodzieło. Po to, by pana i pańskich ludzi wywieść w pole.

– Chce pan jeszcze kawy?

– Dziękuję. Zakładam, że niebawem napiję się jej w Coffee Heaven.

Popatrzył na mnie bez wyrazu.

– Mniejsza o tego Markiewicza. – Machnął ręką. – Źle się stało, ale nie mam już na to wpływu. Tyle że Markiewicz miał coś cennego i to ukrył. A ja nie wiem gdzie. Przetrząsnęliśmy cały dom i ogród. I myślę, o ile ma pan rację, że to coś ma teraz Okoński.

Wpatrywaliśmy się w siebie jak wytrawni szachiści.

– I to jest propozycja dla mnie?

– Tak. Powiedziałbym więcej: to jest propozycja nie do odrzucenia, rozumie pan?

Rozumiałem doskonale.

– Pan odnajdzie Okońskiego i będzie szczęśliwy. Ja dostanę to coś i zapomnę o panu. Inaczej…

Wyszedł. A gdy wrócił po dziesięciu minutach, trzymał w ręku foliową torebkę.

Wyjął z niej kluczyki do samochodu.

– Pańscy znajomi to ciekawi ludzie – zauważył.

Pomyślałem o Bonnie i Clydzie. Zrobiło mi się gorąco.

– Proszę się nie obawiać. Oni nie są na razie w kręgu naszego zainteresowania. Na razie…

Odzyskałem broń, dokumenty i pieniądze. Byłem zdumiony. Zgadzało się co do złotówki. Uczciwa firma, kto by pomyślał!

Wręczył mi telefon.

– Też ciekawy – powiedział. – Bez listy kontaktów, z wykasowaną historią połączeń…

Zrobiłem moją ulubioną minkę niewiniątka.

– Lubię taki. A ja mogę zadać panu pytanie? Jak ich namierzyliście?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Banalny przypadek. Telefon Markiewicza. Milczał tygodniami i nagle namierzyliśmy sygnał. Szybka akcja, zorganizowaliśmy ekipę, zna pan przecież procedury. No, a resztę pan widział.

– Tak. To dość ofensywna ekipa.

– Mogli być bardziej do przodu.

Wiedziałem o tym.

– Dlaczego ten telefon ożył? – zastanawiałem się. – Przecież to bez sensu.

– Zupełnie bez sensu. Mam pewne przypuszczenia, ale… nieważne.

Na dnie torby było coś jeszcze. Wizytówka. O ile można tak nazwać ten prostokątny kartonik bez imienia i nazwiska, tylko z numerem telefonu.

– Proszę pozwolić mi się popisać. To pana numer, prawda? – wskazałem karteczkę.

Blond wąs nieco się uniósł.

– Naprawdę jest pan błyskotliwy. Praca z panem to prawdziwa przyjemność. Tylko proszę nie zapomnieć, od czego zaczęliśmy rozmowę.

45

Byli uprzejmi. Podwieźli mnie kawałek i znalazłem się na stacji benzynowej, obok grzecznie zaparkowanego opla Clyde’a. Powiedziałem, że miłe z nich chłopaki, a tych dwóch, którzy mnie wieźli, nawet nie drgnęło.

Pojechałem do Bonnie i Clyde’a. Opowiedziałem, co się stało. Nalegali, żebym u nich został z kilku powodów, jednak nie chciałem. Takim ludziom, jak mój ostatni rozmówca, nazwałem go Bezimiennym, nie można ufać bezgranicznie. W ogóle słowo takie jak „zaufanie” pasowało do tej sytuacji jak pięść do nosa.

Gdy dotarłem na Jazdów, było już ciemno. Udało mi się znaleźć miejsce przy ulicy Pięknej i tam zostawiłem samochód. Tak na wszelki wypadek. Później po niego wrócę. Z ciężkim sercem i na miękkich nogach zbliżałem się do osiedla. Nie wiem, czego się spodziewałem. Że na powitanie mieszkańcy otoczą mnie i będą się ponuro we mnie wpatrywali? Że obwinią mnie o śmierć Julii?

Kobieta nie żyła, i był to wystarczający powód, aby doprowadzić sprawy do końca. Znałem ją kilkadziesiąt lat, jeszcze dłużej ona znała mojego ojca. Słyszałem, że coś kiedyś ich łączyło, traktowałem to jednak jak zwykłą plotkę. Mniejsza o to.

Pewni ludzie znikają, a inni ludzie ich szukają. Tak to działa. Rodzą się i umierają. Ale są rodzaje zniknięć i rodzaje śmierci, które burzą schemat. I wtedy nie można się z nimi pogodzić. Wybuch na Jazdowie i śmierć Julii były czymś, co nie miało jakiegokolwiek sensu.

Przeszedłem się osiedlowymi uliczkami. W miejscu, gdzie stał dom Julii, kręciło się kilku gapiów. Przy resztkach ogrodzenia ktoś położył kwiaty i zapalił znicz. Poza tym życie wróciło do normy. Usłyszałem głosy

z telewizora, poczułem zapach mięsa przypalanego na grillu. Wydawało się, że wszystko jest jak zawsze.

Obejrzałem mój domek z każdej strony. Jedna pęknięta szyba była do wymiany, poza tym stał nienaruszony. Postanowiłem, że oknem zajmę się później. Zamknąłem drzwi na zasuwkę. Nie zapaliłem światła. Zajrzałem pod kanapę, ale nie tykała tam żadna bomba. Popatrzyłem smętnie na reprodukcję obrazu Hoppera, a potem zerknąłem na szachownicę. Każdy pionek na swoim miejscu. Wyjąłem z sejfu telefon, włożyłem baterię i zobaczyłem, że mam kilka wiadomości na poczcie. Jedna była z Raszyna. Ten facet chyba nigdy nie da mi spokoju. Dwa z prywatnego numeru. Trzy razy dzwoniła Ewa Ciszewska. Przypominam ci, że mieliśmy się spotkać, ale nie odbierasz, łatwiej do papieża się dodzwonić, a w ogóle to co słychać? Takie tam duperele.

W pierwszym odruchu chciałem oddzwonić, ale się powstrzymałem. No właśnie, co słychać? A wiesz, w sumie nic ciekawego, poza tym, że Piotr Markiewicz, ten twój chłopak, a właściwie były chłopak, już na zawsze ma zmasakrowaną twarz, jak surowy hamburger, zastanawiałem się nawet, czy fotki na fejsa nie wrzucić. Aha, była jeszcze tak samo przyrządzona dziewczyna, a poza tym to spoko, więc kiedy się spotykamy? Kawa, lunch, brunch czy srancz? Nie chciałem być zwiastunem śmierci, która nagle zaczęła krążyć wokół mnie, a ja pośród tych trupów czułem się jak jakiś pieprzony anioł zagłady.

Trzy razy próbował połączyć się mój brat. W końcu napisał SMS-a:

Nigdzie nie wyjechaliśmy. Zostaliśmy w domu.
Zadzwoń w wolnej chwili. Brother.

Odpaliłem laptopa, przeczytałem nieistotne e-maile, w których ktoś zapraszał mnie do portalu społecznościowego, a inny na wernisaż wystawy fotografii. To raczej coś dla mojego brata. Przesłałem tę wiadomość na jego skrzynkę.

Raz jeszcze odczytałem SMS-a od niego i postanowiłem, że go sobie zachowam. Wyglądało na to, że wycieczka-ucieczka do Starej Wsi dobrze mu zrobiła. Przypomniałem sobie naszą podróż i historyjkę spod sklepu, którą mu opowiedziałem.

Co on wtedy odpowiedział? Że jest łagodny jak owieczka? Jakoś tak.

Uśmiechnąłem się do Humphreya Bogarta i znieruchomiałem.

Oczywiście.

Dlaczego nie skojarzyłem tego od razu?

Łagodny jak owieczka.

Przypomniałem sobie wyliczankę, którą prezes PolisPro Poland uraczył mnie przy pierwszym spotkaniu.

Łagodność. Niewinność. Biel. Coś jeszcze.

Owieczki.

Jak się nazywał tamten gość? Ten, którego Okoński postawił na nogi? Rydzyk? Rydzak. Wpisałem w wyszukiwarkę „Rydzak”, dodałem „owce” oraz „niewinny”. Wyskoczyło kilkanaście artykułów, za każdym razem z tym samym zdjęciem milutkiego dziadka z wąsami w stylu marszałka Piłsudskiego. Na jednym stał na jakiejś hali, z tyłu pasły się owce, a na dalekim planie migotały wierzchołki gór.

Okoński uratował faceta. Dał mu nowe życie. Stworzył na nowo. Rydzak dużo mu zawdzięczał. Jeśli więc chłopak szukałby idealnej kryjówki, miejsca na przeczekanie, to właśnie tam. Szczególnie po tym, co stało się w Milanówku.

Zadzwoniłem do Clyde’a.

– A jednak do ciebie przyjadę. Chcę, żebyśmy poszukali miejsca na twoje wymarzone wakacje.

Wymienił nazwę gry komputerowej, która nic mi nie mówiła.

– Tam jest jeden ze światów, w którym chciałbym być. I moja idealna drużyna.

Ściszył głos.

– Jest tam, w mojej gildii, taka fajna laska z Nowej Zelandii.

No pewnie.

Obiecałem, że też zabiorę go w inny wymiar, jeśli da mi chwilkę. No, tak, na oko cztery do pięciu godzin. A potem poznam go ze wszystkimi laskami z Nowej Zelandii.

Gdy znalazłem się z powrotem na Jazdowie, świtało.

Wiedziałem o Rydzaku wszystko, co udało się nam znaleźć. Obejrzałem jego posiadłość w górach na zdjęciach satelitarnych i znałem ją lepiej niż on sam. Clyde to geniusz. I jak to bywa z geniuszami, czasami jest kapryśny. Nie chciał jechać w góry. Powiedział, że rozrzedzone powietrze mu szkodzi.

Owce.

Niewinność.

W tym wszystkim Daniel Okoński.

Piekły mnie oczy, ale chciałem obejrzeć te zdjęcia jeszcze raz. Sprawdziłem pocztę. Czekała na mnie nowa wiadomość. Wysłana o trzeciej trzynaście nad ranem.

Sorry, że o tej godzinie, ale szczęśliwi czasu nie liczą. Myślałem o tym zdjęciu. I poszukałem trochę gdzie indziej. Temat: rolnictwo i wykopki. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. I znalazłem tam coś takiego. To chyba z tej samej „sesji zdjęciowej" co twoje. Niezłe jaja, co?

Egon

PS Wtedy na obiad była golonka.

Otworzyłem załącznik ze zdjęciem.

Dwaj mężczyźni stali na rozkopanej ziemi. Jeden trzymał rękę na biodrze i patrzył w obiektyw. Za nim, w pewnej odległości, widać było chłopaka w kraciastej koszuli, z łopatą, Konrad senior. Nie miałem najmniejszych wątpliwości. Inscenizacja na pierwszym planie była łudząco podobna do tej, którą już widziałem.

Dwóch mężczyzn. Jeden trzyma drugiemu dłoń na ramieniu. Te same brudne palce. Tyle że tym razem widziałem człowieka, którego oderwano od znanej mi fotografii. Uchwycono go, gdy lewą rękę przykładał do szyi owiniętej chustą. Może chciał ją poluzować albo odpiąć guzik koszuli. Wpatrywałem się w niego tak jak fakir w kobrę.

Wzeszło słońce i mimo że było dość wcześnie, mocno grzało.

Wciąż siedziałem przed komputerem.

Coś mi się nie zgadzało.

Telefon do Clyde'a numer sto czterdzieści osiem. Odebrała Bonnie.

– Jezu – mruknęła. – Niezmordowany jesteś. Żeby on taki był. Śpi.

Nigdy nie mówiła o nim, używając imienia, żaden też tam „Kotek" lub coś w tym stylu. „On". Zawsze.

– Mam go obudzić?

– Proszę, zrób to. Obiecuję, że to ostatni raz. Przynajmniej w ciągu najbliższej godziny.

Gdy zadałem pytanie, nie od razu skojarzył. Ale w końcu załapał. A tak, prosiłeś mnie o to. Nie powiedziałem ci?

Tyle się ostatnio działo. Sprawy mają się tak…

Słuchałem uważnie. Przymknąłem oczy i odchyliłem się na krześle. Wszystkie puzzle wskoczyły na swoje miejsce.

Wiedziałem już, dlaczego miałem umrzeć. Dlaczego w Gdańsku ktoś odstrzelił posła Młynarczyka. I dlaczego zginął Markiewicz.

Trafiony, zatopiony.

46

Tym razem nie pozwoliłem, by Ksawery Konrad wypił kawę i zrobił sobie prasówkę. Wytrąciłem go z rutyny. Miałem oczy czerwone jak królik i byłem wykończony. Czułem się tak, jakbym dźwigał na sobie jakąś ciężką skorupę i brud, którego nie można zmyć pod prysznicem. I w takim stanie ciała i ducha pojechałem nad Zalew Zegrzyński, zaparkowałem nieopodal domu w stylu wiktoriańskim i wybrałem numer.

– Proszę przekazać panu Konradowi, że czekam tylko pięć minut na odpowiedź. Że mam coś, co go bardzo zainteresuje. I że jeśli coś mi się stanie albo powiadomi kogoś o naszym spotkaniu, to te materiały jeszcze dziś wypłyną. Tak, dobrze pan usłyszał. Wypłyną. Konrad i pływanie… to chyba pasuje, nie?

Nie chciałem dać mu czasu na myślenie. Ale przede wszystkim czasu na działanie. Tym razem pola manewru nie było.

Trzy minuty później usłyszałem zasapany głos. Asystent chyba biegł i miał kłopoty z kondycją. Albo po prostu był zdenerwowany. Kilka minut, i bramę otworzył mi komitet powitalny. Dwóch. Kazali mi podnieść ręce i oklepali. Poprzednim razem tego nie zrobili.

– Spotkaliśmy się niedawno, pamiętacie? Jest taka zabawa w szukanie różnic. Ty miałeś słuchawkę w lewym, a ty w prawym, prawda?

Wszedłem do gabinetu i od razu wyczułem zmianę. Ksawery Konrad siedział nieruchomo za biurkiem. Wydawało mi się, że od naszego spotkania postarzał się o dziesięć lat. Ręce położył na blacie. Wyglądało to tak, jakby w ten sposób utrzymywał ciało w stanie równowagi.

– Przeszkodziłeś mi, Hłasko. A ja teraz cenię każdą chwilę.

Mówił ciszej niż zwykle. Kolejne słowa wypowiadał z trudem.

– Musisz mi wybaczyć, kiepsko się dzisiaj czuję. Nie będziemy długo rozmawiali.

Jeśli spodziewał się, że zamienię się w siostrę miłosierdzia, musiał być rozczarowany.

– Niezły aktor z pana. Oszukał mnie pan ostatnio, a ja prawie panu uwierzyłem. Może teraz źle się pan czuje, a może nie, to bez znaczenia. Wie pan, że Piotr Markiewicz nie żyje? Słyszał pan już o martwym dziennikarzu znalezionym w Magdalence?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie słyszał pan? No to pan usłyszał. Kamień powinien spaść wam z serca. No, może pół kamienia, bo jest jeszcze Okoński. Byłem tam i widziałem tę jatkę niemal w czasie rzeczywistym. Okoński to dziecko szczęścia. Uciekł. Ale zostawił coś na miejscu.

Powoli uniósł głowę.

– Masz to? Masz te papiery po moim ojcu?

– Gdybym ich nie miał, nie odgrywałbym bohatera, bo kiepsko sprawdzam się w tej roli. Kwity są. Tylko je przekartkowałem, ale rzeczywiście są ciekawe. Nie miałem czasu czytać dokładnie, lecz dla pewnych ludzi byłaby to pasjonująca lektura. Jeżeli nie wrócę stąd w ciągu godziny, te papiery ujrzą światło dzienne. Zresztą na skandalu się nie skończy. Więc naprawdę czasu jest niewiele.

– Czego chcesz?

– Czy zna pan Ryszarda Rydzaka? Takiego biznesmena po przejściach…

– Dziadka Ryśka? Tak go w branży nazywamy. Oczywiście, że znam. Tragiczna postać…

Byłem w domu. Czułem, że wszystko powinno się udać.

Podszedłem do biurka.

Wyjąłem z kieszeni wydruk dwóch zdjęć, odsunąłem pustą popielniczkę i położyłem ją przed Konradem.

– Jest taka zabawa. Znajdź różnice. No to proszę się zabawić.

Przyglądał się fotografiom, ale nie wziął ich do ręki. Milczał.

– Nie interesuje pana ta zabawa? To może nieco pomogę. Na jednym jest pański ojciec. Na drugim też, tylko że z tyłu. I na obu, pomijając rozkopane pola i coś majaczącego w tle, jest wspólny element.

Wskazałem mężczyznę, który lewą rękę trzymał przy szyi.

– Tu obejmuje pańskiego ojca, a tam tego faceta, o którym nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Wziąłem pióro leżące na biurku.

– Widzi pan ten drobny szczegół, który ja też widzę? Oczywiście, że tak, prawda?

Teraz patrzył mi w oczy i ciężko oddychał.

– Czego chcesz?

– Dorwać go. Jeśli się uda, wyjdzie pan z tego cało. Jeśli nie… Wszystko zależy od pana. Przecież lubi pan takie sytuacje.

Odwrócił głowę. Patrzył na swój ulubiony obraz. Nie wiem, o czym wtedy myślał. Tak czy inaczej, nie mogłem pozwolić, by odpłynął w swoją nieskończoność.

– Okłamał mnie pan, że nie zna pan Krońskiego. Zna go pan doskonale. A zapewne jeszcze lepiej znał go pański ojciec. Obaj dorobili się majątku niemal równocześnie i w podobny sposób. Pana ojciec pewnie pisał prawdę, że to Kroński rządził. Zastanawiałem się, po co kazał zrobić te fotki. Ktoś, kogo pan nie zna, pewien amator golonki, określił te fotografie mianem „sesji zdjęciowej”, i coś w tym jest. Kroński chciał mieć na nich swoich podwładnych. Żeby wiedzieli, co i komu zawdzięczają. Tyle że fotografie mają to do siebie, że wyskakują w niespodziewanym momencie.

– Co mam zrobić?

Czułem, że podjął decyzję. Że się przełamał. A może zrzucał ciężar, który tak przygniatał jego ojca na odnalezionej po latach fotografii.

Wciąż patrzył na obraz Barnetta Newmana.

Coś mi się skojarzyło.

– Wy nawet macie takie same powiedzonka.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Na przykład, że coś jest zabawą dla małych chłopców. Obaj tak mówicie. A tamtą rycinę też dostał od pana?

– Rycinę?

– Sherlock Holmes i profesor Moriarty nad wodospadem Reichenach. Profesor Moriarty… Nie wiem, czy zrozumiał pańskie subtelne poczucie humoru i wolałbym, żebyście sobie panowie tego nie wyjaśniali. Ani tego, ani niczego innego.

Pochyliłem się nad biurkiem. Wpatrywałem się w zmęczone, pozbawione blasku oczy. Nie było mi go żal.

– Odda mi pan swoją komórkę. Mam nadzieję, że używa pan czegoś takiego i że on ma do pana numer. Zgadza się?

– Prawie nie używam komórki. Ale tak, mam ją. I on zna mój numer. On, moja córka, ale ona jest teraz tutaj, i trzy inne osoby, które wiedzą, że nie ma sensu do mnie dzwonić, bo i tak nie odbiorę.

To ułatwiało sprawę.

– Też mam taką komórkę do ekskluzywnych rozmów. Widzi pan, coś nas jednak łączy… Więc teraz poproszę o aparat. I wyjaśnię, co ma pan robić oraz czego nie robić. Proszę zapamiętać szczególnie to drugie.

Tłumaczyłem mu jak dziecku i chyba docierało do niego, że dostał ostatnią szansę.

47

Nie pojechałem na pogrzeb Julii. Kupiłem okazały wieniec i poprosiłem pana Mariana, by złożył go w moim imieniu.

– Się zrobi, synek, się zrobi – powiedział, mocując się z węzłem krawata.

Julio, pożegnam cię inaczej. Tak jak na to zasłużyłaś.

Była natomiast sprawa, w której wolałem liczyć na siebie. Oraz mojego przyjaciela nerda, oczywiście. Jeśli konstruujesz ładunek wybuchowy, to nie ma miejsca na pomyłkę. Jako człowiek z duszą artysty, poszedłem do sklepu muzycznego i kupiłem kalafonię, która podczas mieszania składników pełni funkcję zmiękczacza, albo, jeśli lubicie trudne słowa, plastyfikatora. Azotan potasu znajdziesz w każdej chemii gospodarczej, wystarczy kupić środek do udrażniania rur. W sklepach ogrodniczych zaopatrzysz się w nawozy do trawników i herbicydy, a w sklepie z farbami – w dekstrynę i benzynę ekstrakcyjną.

Kilka rzeczy ze stacji benzynowej, sklepu fotograficznego oraz apteki i można zacząć działać.

Potem potrzebna jest pomoc fachowca i do tego służy telefon z siedmioma kontaktami. Sklecić materiał wybuchowy jest względnie łatwo. Schody zaczynają się, gdy trzeba zdobyć materiał inicjujący zapalnik, bo to on jest esencją każdej bomby. Poza tym wystarczy chwila nieuwagi, potrze się paluchami nie to, co trzeba, i następuje wielkie bum. Fala uderzeniowa rozchodzi się z prędkością dziewięciu tysięcy metrów na sekundę i twoje ostatnie życzenie, którego nie zdążyłeś nawet pomyśleć, rozpada się na miliony kawałków kaleczących kosmos.

– Na kiedy potrzebujesz?

– Na cito.

– Aż tak?

– Aż tak.

– No dobra.

– Ale ma porządnie pierdolnąć.

– A jakżeby inaczej?

Chłopak zna się na swojej robocie, i za to go lubię. Nie policzył mi jakoś specjalnie za ekspresową usługę, i to też mi się podobało. No to do następnego. Jeśli nie zasilę szeregów niebiańskiej husarii.

Potem raz jeszcze wszystko przemyślałem i ułożyłem sobie w głowie. Obliczyłem, ile potrzeba mi czasu. Sprawdziłem, czy mam w portfelu pewną dziwną wizytówkę.

Kilka czynników musiało mi sprzyjać, a ja zrobiłem wszystko, by maksymalnie zwiększyć szanse. Kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Wolałem, by zaszumiało mi od bąbelków i procentów niż od ciosu w potylicę zadanego tępym narzędziem.

Nie ma co ściemniać. Nie byłem pewny swego. Zbierałem się do wyjazdu z duszą na ramieniu.

I w takim stanie ducha wyruszyłem.

48

Podczerwone znajduje się niecałe trzydzieści kilometrów od Zakopanego. Dom szczęśliwej starości Ryszarda Rydzaka, który, po latach walki z bezdusznymi urzędnikami, ze skarbówką i prokuraturą na czele, jako zmartwychwstały biznesmen postanowił dożyć swoich dni na Podhalu. Była noc rozświetlana gwiazdami, minąłem Pieniążkowice, Wróblówkę i Czarny Dunajec, a wskrzeszony Krzysztof Hołowczyc prowadził mnie tym razem niezawodnie. Wjechałem do wsi, natrafiłem na dwóch podchmielonych turystów ze Śląska, którzy, mówię ci, chłopie, spędzali czas bardzo agroturystycznie, sam po nas widzisz, chłopie, no nie? Wprawdzie żaden z nich nie nazwał mnie Jurkiem, ale pożytku też z nich nie miałem. Zatrzymałem patrol policji, chłopaka i dziewczynę, nietutejszych, którzy na szczęście nie mieli nic do roboty, żadnych burd i nocnych kąpieli, więc połączyli się, z kim trzeba, i zasięgnęli języka. Za kościółkiem w stronę granicy ze Słowacją, z kilometr będzie i dalej pan zobaczy. Gdyby zajrzeli do bagażnika seata, trochę by się zdziwili.

Teren od strony drogi ogrodzony był siatką. Zatrzymałem samochód, otworzyłem bagażnik i wyjąłem mój ekwipunek. Czarna bluza, czarne spodnie, kominiarka. Walther, kombinerki, latarki, wielofunkcyjny nóż i kilka innych drobiazgów. Brakowało mi tylko wyrzutni rakiet, ale podobno nie można mieć wszystkiego. Bez przeszkód pokonałem druciane ogrodzenie i znalazłem się na terenie posiadłości dziadka Rysia.

W oddali migotały światła i ruszyłem w tamtą stronę. Podczerwone leży na równinie i Rydzak nie przypadkiem zdecydował się na takie miejsce. Kochał góry, a z dawnych lat służby wojskowej pozostało mu zamiłowanie do lotnictwa. W kilku wywiadach z dumą opowiadał o awionetce, którą lata nad Podhalem, i zapewne tam, wysoko w górze, przeżywał to samo, co Ksawery Konrad wpatrujący się w obraz wiszący w gabinecie. Rydzak

wzbijał się w powietrze i wszelkie problemy świata zostawiał na ziemi. Miałem nadzieję, że tym razem niespodziewane kłopoty przyszpiliły go w Podczerwonem.

Obejrzałem dom z rozłożystym dachem przez lornetkę. Nie podchodziłem zbyt blisko, bo bałem się psów. Miałem ze sobą gaz pieprzowy, ale pisk, zgiełk i ujadanie mogłyby przyciągnąć czyjąś uwagę. Na piętrze paliły się światła, a główne wejście oświetlały dwie latarenki.

Moją uwagę przykuły jednak inne światła. W głębi posiadłości, po lewej stronie, stał mniejszy budynek. Teren był niemal zupełnie odsłonięty, musiałem się podczołgać kilkadziesiąt metrów, by znaleźć dobry punkt obserwacyjny. Przed domem stał samochód. Warszawska rejestracja. Ktoś przyjechał do Rydzaka w odwiedziny. Gość specjalny. Taką miałem nadzieję. W dodatku gość, który nie lubi górskiego krajobrazu. Rolety w oknach były opuszczone. Nagle jedna z nich się poruszyła, ktoś wyjrzał, mignął mi zarys twarzy i znikł.

Przypomniałem sobie zdjęcia satelitarne i położenie budynków. Za domem dla gości, tak go nazwałem, powinna biec droga w stronę pasa startowego. Gdzieś w pobliżu musi znajdować się też cysterna z paliwem. Awionetka była w hangarze, obok niego stał ciągnik. Rydzak lubił chwalić się w wywiadach swoim zodiakiem 501. Ultralekka maszyna, zrobiona z laminatu i popularna w Polsce. I, to dla mnie było najważniejsze, z silnikiem od motocykla, na przykład od BMW, po autokonwersji. Byłem pewny, że w cysternie znajduje się tradycyjne paliwo, dziewięćdziesiątka piątka albo ósemka, gwarantujące potężniejszy wybuch niż paliwo lotnicze. Obliczyłem odległość cysterny od drogi. Nocą nie jest to łatwe, zwłaszcza gdy pokonuje się teren zgiętym wpół. Trzysta metrów, może trochę więcej, może mniej. Wystarczy? Musi wystarczyć.

Godzinę później wszystko było gotowe. Wracałem tą samą drogą, którą przybyłem. Patrzyłem na dom dla gości, ale tym razem nikt nie wyjrzał. Ze stodoły, która znajdowała się na prawo od głównego domu, dobiegło beczenie owiec.

Biel i niewinność.

Dotarłem do samochodu. Z ulgą zdjąłem kominiarkę i zrzuciłem ubranie. Naszła mnie ochota, by wykąpać się nago w Czarnym Dunajcu, ale szaleństwo trwało tylko chwilę. Podręczny zestaw superbohatera powędrował do bagażnika. Rozłożyłem fotel i zasnąłem.

W środku nocy spadł deszcz. Krople dudniły o dach samochodu. Poderwałem się i odruchowo pomacałem fotel pasażera.

Leżał na nim walther gotowy do strzału.

49

– Nie, pan nie mówi tego poważnie.

– Jak najbardziej poważnie, proszę pana.

Oblizał usta i językiem dotknął wąsów. Cóż, niektórzy reagują tak, gdy widzą piękną kobietę, inni, gdy na stół wjeżdża półmisek z apetycznym jedzeniem, a Rydzak zachował się tak, gdy słowo „autograf” połączyłem z nazwiskiem legendarnego taternika.

Każdy, no, prawie każdy, z wyjątkiem zatwardziałych, emocjonalnie impregnowanych idiotów ma jakiś słaby punkt. Odnajdujesz go i zmiękczasz człowieka, uwodzisz, wykorzystujesz, rozczulasz albo doprowadzasz do stanu wrzenia. Przykuwasz jego uwagę.

W przypadku Rydzaka nietrudno było o punkt zaczepienia. Biznesmen po przejściach oprócz fascynacji lataniem miał jeszcze jedną pasję: zbierał pamiątki po Janie Długoszu, taterniku i pisarzu, bo to, proszę państwa, był prawdziwy wizjoner, a nasz kraj takich ludzi potrzebował i potrzebuje. Wrodzona skromność nie pozwalała Rydzakowi dodać, że wśród nich umieściłby także siebie.

Tak więc, gdy pod posiadłość nazywaną, jakże wymyślnie, Owczarnią podjechał turysta i rzucił mimochodem, że ma notatki sporządzane ręką legendy polskiego wspinania, wywołało to pewne poruszenie, ktoś pobiegł po kogoś, ten po jeszcze kogoś, może pan usiądzie i napije się kawy, a my poszukamy gospodarza (tak, naprawdę tak o nim mówili), krótko mówiąc, po dwudziestu minutach stanęła przede mną replika marszałka Piłsudskiego. Chłopcy od grup rekonstrukcyjnych mogli jedynie pomarzyć o takim siwym wąsie.

Bajer był prosty.

Bo widzi pan, porządkuję rodzinne dokumenty i natrafiłem na skrzynię po dziadku. Całe życie był związany z Krakowem. Gdyby biedak wiedział,

że jego wnuk będzie warszawiakiem, pewnie przewróciłby się w grobie, ale to akurat nieistotne. Dziadek był związany z Piwnicą pod Baranami, a nie muszę panu przecież tłumaczyć, że Jan Długosz to nie tylko taternik, ale… Taka mniej więcej nawijka. I dalej, że odnalazłem starannie złożone serwetki, a na nich jakieś zapiski. Zorientowałem się, że są to wiersze z lat pięćdziesiątych, podpisane, domyśla się pan przez kogo? A potem, szperając w internecie, znalazłem informację, że kultywuje pan pamięć po Janie Długoszu i tworzy coś na kształt prywatnego muzeum, a swoją drogą, skoro tu jestem, może mógłbym obejrzeć zbiory?

Rydzak spojrzał w stronę domu dla gości.

– Bardzo chętnie panu pokażę, ale innym razem. Mam tam teraz gości i nie chciałbym im przeszkadzać. Ile chce pan za te wiersze?

Zmysł biznesowy wziął u niego górę. Poczułem się, mimo wszystko, nieco rozczarowany. Zdjąłem bejsbolówkę i z zakłopotaniem podrapałem się w głowę.

– Tu nie chodzi o pieniądze. Liczy się pamięć. Ja panu te wiersze dam, bo czuję, że znajdą się we właściwych rękach. Będę musiał je tylko przywieźć z Warszawy. A przy okazji zobaczę to muzeum.

Rydzak majstrował przy mankietach koszuli, próbując zapiąć spinki.

– Nie musi się pan fatygować. Wyślę do pana mojego człowieka, oczywiście zapraszam do Owczarni, proszę traktować to miejsce jak swój drugi dom. Wszyscy, którzy rozumieją, że Długosz był kimś wyjątkowym, zasługują… Cholerne spinki. Muszę być dziś na jakimś forum gospodarczym pod Krakowem, opowiadam tam o moich doświadczeniach, a chciałem jeszcze wcześniej polatać…

Przyszła pora na bajer numer dwa.

Zmrużyłem oczy i wskazałem palcem pierś Rydzaka.

– Zaraz, zaraz… Czy to pan jest tym… Że też od razu się nie zorientowałem! Myślałem, że to przypadkowa zbieżność nazwisk…

Zapiął wreszcie mankiety.

– Tak, to ja.

Patrzyliśmy na siebie, kiwaliśmy głowami i rozumieliśmy się bez słów.

– Patrzę na pana i myślę, że powinna być taka kategoria: biznesmen niezłomny. Trochę jak żołnierz wyklęty. No bo widzi pan podobieństwo, prawda? Tyle pan przeszedł…

Prawie się wzruszył.

– A wie pan – ożywiłem się – mamy wspólnego znajomego.

– Tak? Kogo?

– Danka Okońskiego.

Wpatrywał się we mnie. Świdrował mnie oczkami i czekał, co powiem.

– Daniel opowiadał mi, jak pracował dla pana. I że jest pan wspaniałym facetem. Zamierzał tu przyjechać. A może – spojrzałem na domek dla gości – a może on tutaj jest?

– Nie ma go tu.

Sztuki kłamstwa Rydzak nie opanował zbyt dobrze. W jednej chwili przestał być dobrotliwym dziadkiem Ryśkiem. Podtrzymywał rozmowę, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Chyba zdawał sobie sprawę, że trudno mu ukryć ten stan rozkojarzenia i spięcia zarazem.

– Mam taki pomysł – powiedział. – Proszę tu sobie usiąść, zjemy coś razem, kawę wypijemy. A tak w ogóle zapomniałem zapytać, jak się pan nazywa?

– Marcin Hłasko. Przepraszam, zapomniałem się przedstawić.

– Hłasko? No tak. Też literackie nazwisko. Pan jakoś spokrewniony?

Przeszliśmy do gabinetu z wielką panoramą Tatr na ścianie.

– Proszę się rozgościć. Na chwilę pana przeproszę, muszę coś jeszcze przed tym forum gospodarczym ogarnąć. Proszę się czuć…

Ostatnie słowa wypowiadał już zza drzwi, jakby chciał jak najszybciej uciec.

Zostałem sam. Podszedłem do biurka. Na stole leżała opasła autobiografia Ryszarda Rydzaka. *Moje życie. Wspomnienia znad przepaści*. Pięćset stron, mnóstwo zdjęć. Byłem ciekaw, czy będą na nich znane mi twarze. Zwłaszcza jedna.

Rozległo się ciche pukanie.

Na stoliku stanęła taca z dwiema kawami.

Wertowałem książkę i wtedy drzwi otworzyły się po raz drugi. Tym razem nikt nie zapukał.

Skośne oczy wpatrywały się we mnie.

Może bym nawet wstał i cmoknął ją w rękę, tyle że trudno całuje się dłoń trzymającą pistolet skierowany w twoją stronę.

– Nowy Jork? – zapytałem. – Czyżbym nagle znalazł się w Nowym Jorku?

50

Rozejrzałem się po pokoju, rozcierając głowę. Na schodach próbowałem się odwrócić i zostałem przez dziewczynę ukarany. Patrzyłem na stojący zegar, fotografie na ścianie i taterniczy ekwipunek. Jan Król trzymał w ręku stary hak.

– No więc mówiłem, że się pan kiedyś doigra.

– Zamierza mnie pan tym przykuć do ściany? – mruknąłem, wskazując głową hak. – Skoro nie wysadziliście mnie w powietrze…

Lufa dotknęła mojego karku. Poddałem się jej naciskowi i znalazłem na środku pokoju. Dziewczyna wskazał mi krzesło. Usiadłem.

– Może byśmy wreszcie się poznali bliżej? Marcin jestem. – Wyciągnąłem rękę. – A tak w ogóle to państwo nie w Stanach?

– Jesteś jak wrzód na dupie, Hłasko. Nie da się z tobą żyć.

Jeśli chciałem wyjść z tego cało, musiałem grać rolę wyszczekanego chłopczyka. Nie powiem, zdarzały się już sytuacje, że przychodziło mi to łatwiej. Opanuj się, Hłasko, i rób swoje. To jedyna rada, jakiej mogłem sobie udzielić.

– Muszę powiedzieć, że pana nie doceniłem. Spodziewałem się, że zastanę tu Okońskiego, ale nie was. Gdzie go trzymacie?

Dziewczyna spojrzała na starego. A potem lufa pistoletu lekko się uniosła.

– To nawet dobrze – ciągnąłem – że spotykamy się w większym gronie. Może zaprosimy jeszcze dziadka Rysia.

– Rydzaka nie będę w to mieszał. Znamy się jednak wystarczająco długo, pomogłem mu, gdy był w kłopotach. Wiedziałem, że ten gnój nie będzie miał wyboru, zjawi się tu, skamląc o pomoc. Ale twoja obecność to jednak niespodzianka. A może prezent.

– Prezenty to pan miał w Treblince.

Zerwał się z fotela tak gwałtownie, jakby był przynajmniej o połowę młodszy. Uderzył mnie w twarz. Pierścieniem rozciął mi usta. Oczy zaczęły łzawić. Poczułem w ustach smak krwi. Kilka wdechów. Wyprostowałem się i spojrzałem mu oczy.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Macie Okońskiego, ale nie mnie. A wiecie dlaczego? Bo ja mam coś, na czym bardzo wam zależy. Coś, co znalazł Piotr Markiewicz. Słyszeliście o takim, prawda? Mam też pewne gwarancje, dlatego powinniście się modlić, by włos nie spadł mi z głowy. Co do Okońskiego… Jeszcze do niego wrócimy. To jak będzie, panie Król? A może woli pan, żebym używał nazwiska Kroński?

Podszedł do okna i zapatrzył się w dal. Trwał tak minutę, może dłużej.

– Najpierw ustalmy, co pan wie – powiedział, nie odwracając się.

Miał w uchu aparat słuchowy, którego nie widziałem podczas pierwszego spotkania.

– Zacznijmy od dawnych czasów. Tylko proszę mnie już nie bić, bo to będzie prawie jak przemoc w rodzinie. Jesteśmy przecież taką rodziną…

Nie zareagował, więc mówiłem dalej:

– Nie mogłem ustalić, ile ma pan lat. Na moje oko…

– Osiemdziesiąt cztery.

– Doskonale się pan trzyma. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim miał pan dwadzieścia cztery lata i zajmował się… Sam pan wie czym. Miał pan swoich ludzi, wśród nich był stary Konrad. Podejrzewam, że sami raczej nie kopaliście, okradaliście pewnie tych, którzy już coś wykopali. Nie wykluczam, że raz czy dwa natrafiliście na pierwszorzędny towar, prawdziwą żyłę złota, która pozwoliła się wam ustawić. Pan tym wszystkim rządził twardą ręką. Zrobił chłopakom zdjęcia, żeby do końca życia pamiętali, kim kiedyś byli. Potem ślad po Krońskim, bezwzględnym watażce, zaginął. Rozpłynął się pan po mistrzowsku. Zawsze coś jednak po człowieku zostaje.

Dziewczyna przysiadła na brzegu biurka. Dziś miała na sobie bojówki i bluzę khaki.

– Na pana nieszczęście Ksawery Konrad, ten starszy, prowadził dziennik. A jego syn, znany przedsiębiorca, postanowił zaspokoić swoją próżność i zlecił napisanie swojej biografii. Nigdy nie czytał zapisków starego, inaczej by je zniszczył. Zlecenie trafia się ambitnemu, zdolnemu chłopakowi, a ten bierze do pomocy kumpla. No i zaczynają się schody…

– Mówiłem mu, żeby dał sobie spokój z tą książką…

– Okoński odnajduje w notatkach starego Konrada coś, co nie daje mu spokoju. Drąży temat. I dokopuje się do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. To może być przecież jego eldorado. Życiowa szansa. Konrad, tego nie można mu odmówić, jest czujny. Wietrzy niebezpieczeństwo, ale nie docenia chłopaka, który znika z papierami jego ojca. W sumie cała ta sprawa nie nabrałaby pewnie takiego rozpędu, gdyby nie ktoś jeszcze…

– Kawał skurwysyna…

– Mówi pan o Markiewiczu? Na pańskie nieszczęście dziennikarz zainteresował się Krońskim. Nie da się zatrzeć po sobie wszystkich śladów. Pokaż to zdjęcie – zwróciłem się do dziewczyny.

Jeszcze w domu Rydzaka kazała mi opróżnić kieszenie. Zabrała mi walthera, komórkę i wydruk zdjęcia, które dostałem od żarłoka Egona. Nie stawiałem oporu, bo wiedziałem, że dziewczyna jest zawodowcem. Do tego pięknym, więc podwójnie niebezpiecznym.

Król obejrzał zdjęcie, zmiął je i cisnął w kąt.

– Lewa ręka, widział pan? Pierścień na małym palcu. Ten sam, który rozorał mi usta. To jakiś talizman czy co?

A co pisał stary Konrad o Krońskim? Pan życia i śmierci. Jakoś tak. W kontekście Treblinki i tego, czym się zajmowaliście, to zrozumiałe. Ale kim pan jest jeszcze? Królem. Kroński, Król… Oba nazwiska kojarzące się z koroną… Naprawdę pozostały po panu ślady. I Markiewicz je odnalazł.

– Przyznaję, tego się nie spodziewałem.

– Wyobrażam sobie. Markiewicz potrzebował kasy, chciał ugrać swoje i działał na własną rękę. Złożył ofertę. A pan ma zapewne dużo do stracenia.

– Nawet nie wiesz ile. W Stanach i Izraelu byłbym skończony, a to dla mnie strategiczne miejsca. Rodzina, która tam mieszka, nie odkręciłaby tego. Tyle mogę ci powiedzieć. Ale nie chcę, by zabrzmiało to jak marne usprawiedliwienie.

– Nie należy pan do osób, które się usprawiedliwiają. Zatem on składa panu biznesową propozycję, a pan reaguje w swoim stylu. Namierza drania i bang! – Wycelowałem dwa palce w dziewczynę. – Bang! Dochodzi do fatalnej pomyłki. Nie wiem, jak to się stało, ale zamiast Markiewicza odstrzeliliście w Gdańsku ważnego posła.

Król spojrzał z wyrzutem na dziewczynę. Dziewczyna zacisnęła usta. W innych okolicznościach powiedziałbym, że nie takie błędy się zdarzały i to lepszym od niej. Przytuliłbym i pocieszył. Ale nie teraz. Już nie.

– Od tej chwili Markiewiczem zainteresowały się wszelkie możliwe służby i wasze poszukiwania się skomplikowały. Wtedy Konrad przypomina sobie o mnie.

Na swój sposób dobrze to wymyślił. Wynajmujecie mnie, bym odnalazł Okońskiego. Wiecie, że ten nadzieje się gdzieś na Markiewicza. A wy upieczecie dwie pieczenie na jednym ogniu. A gdy ja stałem się, jak pan to ujął, wrzodem na dupie, postanowiliście wysadzić mnie w powietrze.

– W całym życiu nie popełniłem tylu błędów, Hłasko. Uwierz mi. Najwyraźniej się starzeję.

– Za błędy trzeba płacić. W końcu ich namierzyłem. W Magdalence. Jestem pewny, że wiecie, co tam się stało. Markiewiczowi ktoś roztrzaskał głowę, Okoński uciekł. Ale zanim wkroczyła policja i wszyscy święci, ukryłem pewne papiery. I teraz są moją polisą na życie.

Król usiadł za biurkiem, ale po chwili wstał i podszedł do okna. Zrobił rundkę po pokoju i kolejną.

– Co proponujesz, Hłasko?

– Chcę wyjść z tego cało. Zwrócę te papiery. Będzie to pana kosztować dwukrotność honorarium, które mi pan zapłacił. Powiedzmy, że to taka premia ekstra. Plus dodatek za trudne warunki pracy.

– Tupetu to ci nie brakuje.

– Zadbałem o różne zabezpieczenia. Nie zdoła pan pokonać wszystkich. Taka jest moja propozycja. Potem o sobie zapomnimy. A na dowód, że mam szczere intencje, dostanie pan coś gratis.

Wpatrywałem się w czubki moich adidasów.

– Interesuje pana dziennik starego Konrada? Okoński go ma. W sumie po to przyjechałem… Ale skoro sprawy zaszły tak daleko…

Podszedł do mnie i złapał mnie za ramię.

– Łżesz, Hłasko! Okoński nic nie ma!

Strąciłem jego rękę.

– Nerwy pana ponoszą. Przywiózł to ze sobą tutaj. Przecież nigdzie by tego nie zostawił. Te kwity są tu – wskazałem okno – na tym terenie. I ja wiem gdzie.

Król i dziewczyna popatrzyli na siebie. Król skinął głową i dziewczyna wyszła. Czekaliśmy w milczeniu. Potem usłyszałem kroki.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Daniel Okoński.

Nareszcie.

51

– Ten facet kłamie! Niczego nie ukryłem. Przysięgam! Okoński wykrzyczał to już po raz trzeci. Za pierwszym razem zrobił to na górze, w gabinecie, zanim zdążyłem się odezwać. Patrzyłem spokojnie na roztrzęsionego bruneta z obwiązaną prawą dłonią.

– To pamiątka po Magdalence? – Wskazałem bandaż.

– Nie znam tego człowieka, pierwszy raz go widzę.

– Jedyne prawdziwe zdanie, jakie na razie powiedział – zwróciłem się do Króla.

– Gdzie to ukryłeś?

– Niczego nie ukryłem!

– Gdzie? – Król nie przejmował się jego wrzaskami.

– Musiałbym was zaprowadzić.

Król ocenił sytuację. Lewą ręką dotknął szyi, tak jak na zdjęciu sprzed lat. Patrzyłem na pierścień i na lekko drżącą dłoń.

– Idziemy – zdecydował.

– Może lepiej… – odezwała się dziewczyna.

– Idziemy. I módl się – zwrócił się do mnie – by tam coś było.

Ruszyłem pierwszy, za mną Okoński, potem dziewczyna, a na końcu Król. Szliśmy ścieżką wokół pożółkłego od upałów klombu. Dopiero teraz mogłem ocenić, jak wielka jest posiadłość Rydzaka. W nocy wszystko wygląda zupełnie inaczej. Miałem nadzieję, że nie pomyliłem się w wyliczeniach.

Jeszcze sześćset metrów.

– Dokąd idziemy?

– Tam. – Wskazałem cysternę. – Przecież musiał wybrać jakiś charakterystyczny punkt.

Okoński uśmiechnął się do mnie ironicznie, ale nic nie powiedział.

Pięćset metrów.

Czterysta. Widziałem cysternę oraz wyprowadzoną z hangaru awionetkę. Na szczęście nikt się koło niej nie kręcił.

Wyglądaliśmy jak grupka beztroskich turystów napawających się górskim powietrzem. Młodzi na przedzie, dziadek z tyłu. Żyć nie umierać. I byłoby tak, gdyby nie pewien szczegół. Szczegół był wymierzony w moje plecy i nie pozwalał zapomnieć, po co się tu znalazłem.

Trzysta metrów. Zatrzymałem się.

– Wspominałem wam o gwarancjach. W sumie to powinniście być mi wdzięczni. To jeszcze jeden powód, dla którego musimy zawrzeć układ.

– O czym on mówi? – prychnęła dziewczyna.

– Na przykład o tym, że pański przyjaciel nie chce już, by trzymał pan go w szachu. Zaczyna pękać.

Król się roześmiał się.

– Konrad? Niemożliwe. On będzie wierny jak pies. Do śmierci.

– Nie byłbym tego taki pewny. Z trudem powstrzymałem go od… Zresztą macie moją komórkę. Przeczytajcie wiadomość.

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni bojówek i wyjęła z niej mój telefon.

– Czytaj. Czytaj na głos – polecił Król.

Przeczytała:

Postanowiłem. Jutro po południu wydam oświadczenie. Dłużej nie dam rady. W sumie już mi ulżyło, gdy podjąłem decyzję. Rozliczę się z tym. K.K.

– Nie wierzę. To jego numer?

Dziewczyna wyjęła drugi telefon.

– Tak – potwierdziła.

– Załamał się, ma naprawdę dość – powiedziałem. – On jest chory, nie wytrzymuje ciśnienia.

Widziałem, jak szczęki Jana Króla drgają. Wymamrotał jakieś przekleństwo. Powiedział, że stary Konrad był twardszym zawodnikiem.

– Połącz mnie! – nakazał dziewczynie. – Połącz mnie z nim. Teraz.

Zamarłem. Wiedziałem, że spróbują się połączyć z asystentem Konrada, a ten nie odbierze. Takie dostał instrukcje.

Dziewczyna popatrzyła na Króla i wzruszyła ramionami.

– Komórka! – warknął.

– Nie wiem, czy on odbierze.

– Próbuj!

Widziałem, jak naciska guzik.

Trzy, dwa… nie spieprz tego Hłasko, proszę cię. Jeden. Sprawdzałeś to wiele razy. Wiesz, ile sekund dzieli wybranie numeru od pierwszego sygnału połączenia.

Teraz.

Rzuciłem się na ziemię, a ziemia zadrżała. Drugi wybuch. Byłem pewny, że części awionetki fruwają w powietrzu.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Miałem do wyboru dwa rozwiązania: wibrującą komórkę albo cienki drucik łączący baterię z zapalnikiem. Zdecydowałem się na to pierwsze.

Wybuch był silniejszy, niż się spodziewałem. Dziewczynę wyrzuciło w górę. Gdy spadała na ziemię, widziałem pistolet wirujący w powietrzu. Upadł koło Króla, który klęczał, chwiał się i charczał, ale był przytomny. Podniósł głowę i spojrzał na mnie, po czym sięgnął po pistolet. Strzelił i nie trafił. Dopiero później, gdy obejrzałem broń – a widziałem takie cacko pierwszy raz w życiu – zrozumiałem, dlaczego spudłował. Kolba zrobiona na zamówienie nie była przystosowana do jego dłoni. Szok spowodowany wybuchem i ten drobiazg uratowały mi życie.

Drugiej szansy mu nie dałem.

Rzuciłem się na niego, chwyciłem za rękę, przeturlaliśmy się po trawie i wtedy padł kolejny strzał.

Ciałem Króla wstrząsnęło, a ja dopiero po chwili zorientowałem się, że twarz zalewa mi gorąca ciecz. Przetarłem oczy. Król odstrzelił sobie głowę, a ja byłem cały w jego krwi i mózgu.

Otarłem twarz przedramieniem. Miałem szczęście – nóż musnął mój łokieć i wbił się w ziemię.

Dziewczyna była sprawna i silna. Najpewniej po niejednym szkoleniu. Trzymałem ją za nadgarstki. Dyszeliśmy. I wtedy usłyszałem chrupnięcie. Nagle zwiotczała i osunęła się na mnie.

Nad nami stał Daniel Okoński z zakrwawionym kamieniem w ręku.

Spojrzałem na dziewczynę. Nie żyła.

Okoński odrzucił kamień, rozejrzał się, a potem zaczął się śmiać. Śmiech był histeryczny, przepełniony ulgą, a zarazem obrzydliwy.

– Uratował mnie pan. – Złapał moją rękę i zaczął nią potrząsać. – Nie wiem, kim pan jest, ale uratował mi pan życie. To już koniec, prawda? Wyplączę się z tego. Oni mnie porwali. Przetrzymywali. Koniec?

Patrzyłem, jak się trzęsie. Bełkotał coś, raz z większym sensem, raz mniejszym. Przypomniałem sobie nagle powiedzenie mrocznego duńskiego filozofa, ale zachowałem je dla siebie. To nie był właściwy moment na takie mądrości. Oswobodziłem dłoń z uścisku.

– Obawiam się, że to jeszcze nie koniec. Zabiłeś swojego kumpla. Tam, w Magdalence, zabiłeś Piotra Markiewicza.

Przestał się śmiać.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wiesz. Doskonale wiesz. Chcesz wiedzieć, jak to było? Znikasz, wysyłasz kartkę z Pragi, gdzieś się dekujesz. Na twoim miejscu dałbym w długą do Nowej Zelandii lub w podobne miejsce. Tylko do tego potrzebna jest kasa. Poza tym tu miałeś wszystko i ciężko sobie na to zapracowałeś. Nie mogłeś, ot tak, wszystkiego rzucić.

W moim głosie więcej było goryczy niż ironii.

– Twój nieokrzesany kumpel zaczął działać na własną rękę i zbudził śpiącego potwora.

Spojrzałem na nogi Króla. Na jego twarz wolałem nie patrzeć, bo niewiele z niej zostało.

– Mieliście przygotowany plan awaryjny. Tak sądzę. Łapiecie się w końcu jakoś i spotykacie w Magdalence. Muszę powiedzieć, że to było bezczelne z waszej strony, ale właśnie takie brawurowe numery się udają. Markiewiczowi grunt pali się pod nogami, potrzebuje kasy i koksu, a ty masz plan. Wiesz, co wykombinowałeś? Że przejmiesz od Markiewicza haki… nagrania z miłosnego gniazdka, i rozpoczniesz negocjacje, a w tym to jesteś dobry. Politycy ochronią ci dupę przed Konradem, przejmiesz też to, co Markiewicz zgromadził na temat Króla. Może oddasz te kwity i zgarniesz nagrodę, może zdeponujesz, tak na wszelki wypadek. Gdzie to wszystko jest? Gdzie są nagrania i papiery?

– Nie mam. Nic nie mam. Rozumiesz? I nie mam nic z tym wspólnego. Jest pan jakimś fantastą! Tak. Pieprzonym fantastą, który naoglądał się seriali kryminalnych.

W tej ostatniej kwestii mogłem nawet przyznać mu rację.

– Spotykacie się. On nie chce oddać towaru – ciągnąłem. – Zabijasz go, sam zostajesz ranny. Na nieszczęście Markiewicz przyjechał z tą hipsterską laską. Więc ją też musisz zabić. Wasze spotkanie miało być krótkie. Ona siedziała w samochodzie, czekała. Nudziło jej się. Znalazła rozłożony telefon Markiewicza, poskładała go i włączyła. Miałeś szczęście. Posiedziałbyś tam dłużej i trafiłbyś na mnie. Albo oddział komandosów. Naprawdę sprytnie to rozegrałeś. Zmasakrowałeś koledze facjatę. Poza tym, pomyśl, ta dziewczyna – wskazałem głową zwłoki – ta cała Nikita, załatwiłaby was jak nic. Ludzie ze służb postąpiliby tak samo. Lecz ani ona, ani oni tego nie zrobili. Więc kto? Kto szlachtowałby nożem i walił tłuczkiem? Ktoś, kto zna dom i wie, gdzie te narzędzia znaleźć… Ale nie uwzględniłeś jednego…

– Niby czego?

– Twój ojciec. Jak zginął twój ojciec?

Zastygł. Teraz nie uścisnąłby mi ręki. Ani nie podziękował za ocalenie. Byłem tego pewny.

– O co panu chodzi? – zapytał cicho.

– Henryk Popławski. Leży pochowany na Bródnie. O zmarłych nie mówi się źle, ale to był kawał drania. Zgodzisz się chyba ze mną. Karany za znęcanie się nad rodziną. Twoja siostra, Łucja, wciąż reaguje nerwowo, gdy słyszy dzwonek do drzwi, to taki syndrom ofiary. Byłeś wtedy młodym chłopakiem i nikt podczas śledztwa nie zwrócił na ciebie uwagi. Czterech kumpli ojca, zalanych w trupa, oskarżało się wzajemnie. Bo ktoś jednak to zrobił. Przeciął Popławskiemu tętnicę udową. Zrobiłeś to, gdy zasnął? Powiedz.

Okoński milczał. Zanim zdążyłem zareagować, pochylił się nad Królem i wyszarpnął mu pistolet z dłoni.

– Wystarczy – wycedził. – Już wystarczy.

– Uwolniłeś od starego siebie i rodzinę. Zmieniłeś nazwisko. Zacząłeś nowe życie. I ten ćpun, ten dziennikarzyna, nie mógł ci tego zniszczyć.

– Dosyć! – wrzasnął.

Wycelował we mnie broń.

Usłyszałem warkot silników. W naszą stronę jechały trzy samochody. Dwie potężne toyoty hilux i jeden opancerzony.

Okoński zerknął na nie szybko, nie przestając we mnie celować.

– Gdzie są te nagrania, chłopcze? – spytałem. – Nagrania i cała reszta? To twoja ostatnia szansa. Tym razem nie będziesz miał tyle szczęścia jak ostatnio.

Patrzyłem mu prosto w oczy. Otworzył usta. Czułem, że podjął decyzję. Ale nie przypuszczałem, że taką.

– Wystarczy – powtórzył.

Odwrócił się w stronę samochodów. Były już naprawdę blisko. Wycelował w ich stronę.

Wiedziałem, co nastąpi.

Padłem na ziemię, by nie stać się ofiarą strzelaniny.

Ktoś wystrzelił serię.

Samochody zatrzymały się, silniki zgasły.

52

– Nie tak się umawialiśmy, panie Hłasko. Miał pan niczego nie robić na własną rękę.

Mężczyzna, którego nazywałem Bezimiennym, skubał źdźbło trawy i prowadził samochód.

– Nie miałem wyboru.

Przymknąłem oczy. Utknęliśmy na Zakopiance. Sugestia była jasna. Zaproponował mi, bym wracał jego samochodem, a mój odprowadzi któryś z jego ludzi. A wcześniej dokładnie przetrzepie mi samochód, pomyślałem. Nie odezwałem się jednak. Czasami trzeba iść na kompromisy.

– Niech pan mi nie mówi, że spędzimy teraz razem kilka kolejnych godzin, stojąc w korku – mruknąłem.

Trzymał obie dłonie na kierownicy. Rozprostował palce.

– Nawet ja nie jestem wszechmocny. Ale mogę panu umilić podróż.

Włączył płytę. Orkiestra symfoniczna poruszała się znacznie żwawiej niż my.

– To Mendelssohn. Mój ulubiony kompozytor.

– Ten od marsza weselnego?

– Ten sam. Wszyscy go tak kojarzą, a to naprawdę wspaniały artysta. Poza tym dzisiejszy dzień mało ma wspólnego z weselem. Szykują się same pogrzeby.

– Nie musieliście go zabijać.

Nie odpowiedział.

– To była egzekucja.

– Na pana miejscu pozostawiłbym takie spostrzeżenia wyłącznie dla siebie.

– Wyczyściliście pole. Jedynym, który został, jestem ja. Na pewno jedziemy do Warszawy?

– Jest taka szansa.

Szansa była duża. Samochód wreszcie rozpędził się do stu siedemdziesięciu i tak jechaliśmy przez dłuższy czas.

– A co by było, gdyby nie zadzwonili na komórkę Konrada?

– Rozczarował mnie pan tym pytaniem. Budzik był ustawiony. Tak czy inaczej by walnęło. Musiałbym tylko grać na zwłokę.

Dojechaliśmy do placu Na Rozdrożu. Zanim wysiadłem, zadałem mu jeszcze jedno pytanie:

– Tak właściwie to dla kogo pan pracuje?

Z uwagą wpatrywał się we wsteczne lusterko.

– Teraz to pan mnie rozczarował.

– A pan liczył na początek pięknej przyjaźni?

Usłyszałem kliknięcie. Otworzył drzwi z mojej strony.

– Jak to: dla kogo pracuję?

W jego lustrzankach widziałem Trasę Łazienkowską.

– Pracuję przede wszystkim dla siebie. A potem dla reszty świata. Tak jak pan.

EPILOG

53

Rżenie koni.

W oddali, ciche, ale wyraźne.

Mężczyzna, który był przywódcą grupy, opierał się ręką o zdezelowany gazik, a ciężki wojskowy but kopał w oponę samochodu. W zębach trzymał źdźbło trawy. Wkrótce, może już za tydzień, góra za dwa, zacznie się wiosna. A dla niego nowa pora może zacząć się jeszcze dziś. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, narodzi się na nowo. Nawet dla kogoś, kto podczas wojny kilkakrotnie przeżył własną śmierć, miało to znaczenie. Wszystko zacznie się więc na nowo, a złe chwile już nigdy nie powrócą.

Niecierpliwił się. Była pierwsza w nocy, a oni stali od trzech godzin w leśnej przecince. Jeśli tamci chcieli dostać się do swojej wsi i pozostać niezauważeni, musieli wyruszyć właśnie tędy. Nie czuł zimna ani zmęczenia. Potarł energicznie dłonie, poprawił wojskowy pas i musnął chłodną rękojeść pistoletu.

Odgłosy zbliżających się wozów stały się wyraźniejsze. Konie zarżały jeszcze raz.

Wpatrywał się w ciemność, tam, skąd dobiegał dźwięk, a potem odwrócił głowę. Zwykle pracowali we czterech. Dwaj młodsi od niego, jeden nie pamiętał nawet wybuchu wojny. Kierowca był najstarszy. Skończył szkołę i nazywali go profesorem. Grzeczny chłopak. Parę minut temu przysnął, ale teraz i on zmrużył oczy i wypatrywał przybyszów. Piąty, ten z blizną na prawym policzku, dołączył dziś. To on powiedział o transporcie. Usłyszał, że chłopi na coś natrafili. Znaleźli to miejsce. Wielu szukało, legendy o tym krążyły, ale to właśnie im się udało. Ze szczęścia upili się, a człowiek pijany i szczęśliwy bywa gadatliwy. Lubi się przechwalać. I chce być lepszy od przyrodniego brata, ale jak będzie, to jeszcze zobaczymy. Patrzył

teraz na mężczyznę, a w spojrzeniu tym krzyżowały się pewność siebie oraz drwina.

Wozy wyłoniły się z ciemności.

Szef grupy dał znak.

Zaszumiał silnik, a światła samochodu rozbłysły i oświetliły dwie furmanki.

Trzech. Trzech chłopów. Dwóch z przodu, jeden na drugim wozie.

Woźnica wstrzymał konie. Rękę przyłożył do czoła i zmrużył oczy.

– Coście za jedni?! – krzyknął. – Z drogi!

– Samochód nam się zepsuł. Nie chce ruszyć. Może byście nas podwieźli?

Ruszył w stronę furmanki.

– Z drogi! – wrzasnął woźnica i bat świsnął w powietrzu.

Najmłodszy wysiadł z samochodu, palcami przeczesał włosy.

– Po co te nerwy? A swoją drogą ciekawe, co tam wieziecie w środku nocy.

Roześmiał się. Uśmiechał się jeszcze, gdy dosięgła go kula.

Chłopak opadł na kolana, przechylił się do przodu i zarył twarzą w ziemi.

Mężczyzna wyszarpnął parabellum zza pasa. Zanim oddał strzał, eksplozja szarpnęła wozem, który stał z tyłu. Ranne zwierzę przewróciło się na bok, spod plandeki wypadło ciało i poturlało do drzewa.

Czterech, pomyślał mężczyzna. Czterech ich było, nie trzech. Ten, który strzelił, pewnie spał, gdy ich zaskoczyliśmy.

Wycelował w głowę rozmówcy i pociągnął za spust. Drugi z chłopów wyciągnął ręce przed siebie, zdążył szepnąć: „Jezus Maria” i spadł strącony strzałem.

Mężczyzna podszedł do konającego konia i zobaczył czwartego. Leżał przygnieciony resztkami wozu z roztrzaskaną głową.

Za plecami usłyszał gardłowy śmiech.

– I co? Przydałem się, nie? Miałem mieć ten mój granacik do karczowania trupiego pola, ale przydał się teraz. Życie wam uratowałem.

Ten z blizną podbiegł do pierwszego wozu, zrzucił na ziemię kilka szmat i worków.

– Jest! Jest! Boże, kurwa, ile tu tego… – Wziął kilka torebek z zegarkami i kosztownościami wymieszanymi z resztkami ciał, a potem zaczął nimi podrzucać. – Dziękuję ci, Panie, że mnie wysłuchałeś…

Spod drzewa dobiegł jęk.

– A tamten, co? – zdziwił się. – Jeszcze żyje? Podbiegł i kopnął ciało. Kolejny jęk.

– Jeszcze żyjesz, braciszku?

– Pan patrzy, panie Krośnski, czy jak panu tam… Tak się chwalił… A teraz leży jak kupa gówna, a na palcu ma pierścień. Prawie taki jak ma pan… – Schylił się. – No, braciszku, zasłużyłem sobie… – Zaczął szarpać za palce. – Nie schodzi? Nie chcesz oddać? Nie kijem go to pałką. Podbiegł do wozu. Rozejrzał się, pochylił i podniósł siekierę.

Tępe uderzenie i krzyk, który niósł się wśród drzew.

Podniósł odrąbaną dłoń.

– Życie wam uratowałem, należy mi się jakaś nagroda, nie? – Patrzył na czterech mężczyzn. – To jak… jak się dzielimy? Pół dla mnie, pół dla was? Jak ja się z tym zabiorę? Chyba że ta chabeta – spojrzał na żywego konia – jeszcze trochę pociągnie. Zdaje się, że jest cała… Kierowca zgasił silnik. Wysiadł z samochodu. Patrzył na odciętą rękę.

– Tak. Dzielimy się.

Do pasa miał przypiętą kaburę. Rozpiął wojskową kurtkę i wyjął pistolet. Tamten cały czas trzymał siekierę, ale nie zdążył zareagować. Kula zmiażdżyła mu kolano. Zwijał się z bólu, ciężko dyszał i szeptem powtarzał jedno pytanie:

– Za co? No kurwa, za co? Za…

– To proste. Wydałeś tamtych. To i nas byś kiedyś sypnął.

Przyłożył mu pistolet do skroni.

– Zostaw go – usłyszał głos Krośnskiego. – Zresztą – poczuł ciężką dłoń na ramieniu – szkoda kuli. Wystarczy już tych strzałów. Niesie jak diabli.

Szef grupy sięgnął po siekierę i podszedł do leżącego. Ranny wił się na ziemi. Wreszcie zaparł się plecami o koło wozu.

– Nie… nie zrobisz tego… Prawda? Prawda, że nie zrobisz?

– Oczywiście, że zrobię.

Krośnski splunął i pochylił się.

Jechali we trzech. Z trudem upchnęli w gaziku wszystkie kosztowności. Kierowca spojrzał na mężczyznę siedzącego obok. Miał przymknięte oczy. Bezgłośnie oddychał.

– Nie śpię – powiedział. – Nigdy nie śpię. Myślę. O tobie myślę, Profesor. Nie o małym. Szkoda chłopaka, ale jemu nic nie pomoże.

– Przynajmniej mogliśmy…

– Nie – przerwał mu ostro. – Nie mogliśmy nic dla niego zrobić. Nie było czasu. A z ciebie, Konrad, będą jeszcze ludzie. Ty jesteś profesor, ale moja szkoła. Wspomnisz te słowa.

Godzinę później odezwał się jeszcze raz:

– Jak nazywało się to ścierwo? Jak on miał na nazwisko? Mówiłeś mi…

– Król.

– Król – mężczyzna patrzył przed siebie.

Nadciągała mgła. Bywały odcinki, gdy droga i pobocze były zupełnie niewidoczne.

– Nie zabij nas – powiedział do kierowcy. – Mam jeszcze trochę planów.

Podskoczyli na wertepach. Mężczyzna uderzył głową o dach samochodu. Syknął z bólu. Rozmasował stłuczenie.

– Król – powtórzył.

Podjął decyzję.

– Pasuje – powiedział do siebie.

Wiosna 1953 roku przyszła niespodziewanie i była bardzo ciepła.

54

Jest takie powiedzenie, że możliwości są bardziej przerażające niż rzeczywistość. To z Kierkegaarda. Ciesz się, gdy rzeczywistość jest twoim udziałem. To z Marcina Hłaski.

Przez kolejny tydzień zasypiałem z moim przyjacielem waltherem pod poduszką. Wstawiłem szybę w oknie. Chwilowo nikt nie chciał mnie wysadzić w powietrze, nie śledził i nie nachodził. Może tak już zostanie.

Minęły trzy tygodnie i dowiedziałem się o śmierci Ksawerego Konrada. Rak płuc zabrał twórcę podwalin współczesnego kapitalizmu w Polsce. Gdzieś pojawiła się pogłoska, że chory przedsiębiorca odebrał sobie życie. Nawet po śmierci nie dają zmarłemu spokoju. Jego córka, znana pianistka Beata Konrad, mówiła, że ojciec chciał, by pozostały po nim dobre wspomnienia. Żałowała też, że nie dożył wydania biografii.

Znów zacząłem biegać i dręczyć ciało ćwiczeniami TRX. Nie odzywałem się do Clyde’a. Uznałem, że oboje muszą ode mnie odpocząć. Złamałem się tylko raz. Odebrała Bonnie. Nie, nie ma go, pojechał do Poznania z jakimś profesorem się zobaczyć. Tak się spieszył, że komórki zapomniał. A w ogóle to nie wiesz, o co chodzi?

Zadzwonił przedsiębiorca z Raszyna. Kupił scrambler, dziękował za dokonanie trafnego wyboru i, o dziwo, niczego tym razem ode mnie nie chciał. Dokończyłem sezon *House of Cards*. Kevin Spacey to prawdziwy mistrz. Informacje dotyczące polskiej polityki starałem się omijać szerokim łukiem, ale przed wszystkim się nie ucieknie. W internecie mignęła mi wiadomość, że Hieronim Molenda został wiceministrem, bo trzeba stawiać na młodych i zdolnych, a to przecież polityk z perspektywami. Inny, którego zapamiętałem z Harendy i z cmentarza, awansował na rzecznika kogoś lub czegoś. Bez znaczenia. Nie mój cyrk. Przynajmniej dopóki się o mnie nie upomina. Ktoś postanowił zorganizować bieg uliczny pamięci

posła Grzegorza Wiślickiego, który zginął tragicznie w pożarze. Pisali gdzieś, że był to wypadek, ale kto to wie? Nie zdziwiłbym się, gdyby pomysłodawcą biegu była firma PolisPro Poland.

Pojechałem na grób Julii. Jedno nie dawało mi spokoju. Dlaczego Daniel Okoński umówił się kiedyś przy grobie swojego ojca? Może chciał myśleć, że jest zupełnie kimś innym niż jego stary i że śmierć, którą zadał, była dla niego jak nowe narodziny. Może umówili się na cmentarzu, bo fantazja polityków sięga tylko tak daleko, a to było miejsce, które dobrze znał? „W tym miejscu, które wskazał ostatnio. To prawie tuż przy wejściu jest". Byłoby ironią losu, gdyby obok ojca pochowali młodego Okońskiego. Potem uznałem, że jest wiele ciekawszych spraw. Jeśli chodzi o świat zmarłych, to dokończyłem partię graną przez Capablankę w 1927 roku. Pewnego pięknego dnia zadzwoniła Monique. Zupełnie jakbym odebrał telefon zza grobu. Sam wiesz, jak to jest, ciągłe rozjazdy, raz tu, raz tam. O kogo mnie wtedy pytałeś? Nieaktualne, aha. No to ciao! Cała Monique. Żyjąca w innym wymiarze.

Brat znów miał kiepskie dni i nie odbierał telefonu. Za to gdy nadszedł sierpień, przemogłem się i zadzwoniłem do Ewy Ciszewskiej. Nie wiem, jak przeżyła śmierć Piotra Markiewicza. Nigdy o to nie zapytałem, a ona o tym nie mówiła. Ostrożnie zaproponowałem spotkanie. Zgodziła się.

Druga część lata była chłodniejsza. Upały się skończyły, i muszę powiedzieć, że było to nam obojgu na rękę. Przyjechała do mnie. Na kilka dni. Raz poszliśmy na Agrykolę, raz zrobiliśmy wypad na belgijskie frytki. Poza tym siedzieliśmy w domu. Rozwoziciele pizzy byli zachwyceni.

Nigdy nie opowiedziałem jej do końca historii o chłopaku, który zbyt późno zrozumiał, że możliwości są bardziej przerażające niż rzeczywistość. Nie wiedziałem, gdzie podziały się nagrania oraz zapiski – wszystkie te haki, które zbierał Okoński – i najpewniej nie wiedział tego nikt. Możliwe, że zaległy gdzieś w mroku i wypłyną w najbardziej niespodziewanym momencie.

Bo nic nie trwa wiecznie, ale też nie znika bez śladu.

Od autora

Była piąta rano, budziła się wiosna, a ja uśmierciłem dwie postaci.

Wbrew temu, co się sądzi, autor – zwłaszcza pisarz literatury gatunkowej – nie jest nieskrępowany w swoich wyborach. Mogłem, oczywiście, stworzyć Marcina Hłaskę, specjalistę od poszukiwania zaginionych, bohatera na wskroś współczesnego i warszawskiego, który szamoce się między życiowymi koniecznościami a potrzebą czegoś innego, „autentycznego” (cokolwiek to znaczy) – wolności, życia pełną piersią. Mogłem też, mimo dbałości o szczegóły i respektowania zasad powieściowego prawdopodobieństwa, nieco umownie potraktować czas, przestrzeń i detale (Bobby Bar nazywa się w istocie Bobby Burgerem; księgarnia na ulicy Chmielnej w Warszawie ma inną nazwę; Stara Wieś wzorowana jest na pewnej miejscowości, ale w opisanym kształcie nie istnieje; książka *Eldorado* jest moim wymysłem, zdjęcie w archiwum lubelskiej gazety także, jakkolwiek informacje dotyczące kopaczy są historycznie ugruntowane).

Owa umowność i skrótowość wynikają z przyjętej konwencji – odwołuję się bowiem nie tylko do tradycji czarnego kryminału, ale także thrillera. Postaci ze świata polityki oraz innych sfer mają niekiedy swoje pierwowzory: w ich dobrze pojętym interesie byłoby, aby nie rozpoznawali się w tej powieści.

Pisarskie ograniczenia mają też miłą stronę, tworząc bowiem tę krzyżówkę czarnego kryminału i thrillera politycznego, korzystałem ze wskazówek i uwag wielu osób. Podziękowania należą się Rolling Stonesom polskiej kryminalistyki, policjantom z Piły: inspektorowi Leszkowi Koźmińskiemu oraz aspirantowi sztabowemu Pawłowi Leśniewskiemu. Słowa podzięki kieruję w stronę majora Marcina Skóry oraz najlepszego

polskiego profilera, Bogdana Lacha. W deszczowy dzień stałem na placu Na Rozdrożu z profesorem Tadeuszem Cegielskim i słuchałem jego wspomnień. Wiele mrocznych spraw sprzed lat kilkudziesięciu rozjaśnił mi znakomity polonista, profesor Sławomir Buryła. Na marginesie dodam, że wątek kopaczy pojawiał się w polskiej literaturze, jakkolwiek takie utwory, jak *Naga ziemia* Bogdana Wojdowskiego lub *Puste pole* Tadeusza Hołuja, znane są dziś, w zasadzie, tylko specjalistom. W istocie też muzea nie mają fotografii zrobionych na polach Eldorado (zasadne i zasadnicze wątpliwości – sprawa była wielokrotnie omawiana – budzi fotografia wykorzystana na okładce *Złotych żniw* Jana Tomasza Grossa oraz Ireny Grudzińskiej-Gross). Nie można natomiast wykluczyć, że takie zdjęcia znalazłoby się, po dziesięcioleciach, gdzieś w zapomnianych domowych archiwach. Przewodniczką po placu Zbawiciela była Aleksandra Litorowicz – najlepsza znawczyni hipsterów i specjalistka od wielkomiejskiej kultury, a w świat politycznego public relations wprowadzał mnie Karol Brzozowski, który jest zupełnie innym człowiekiem niż szef PolisPro Poland (to tak na wszelki wypadek, gdybyście o tym nie wiedzieli). Refleksjami dotyczącymi polskiej polityki dzielił się ze mną Wiesław Sikorski z kancelarii Prezydenta RP – człowiek mądry i szlachetny. Mam wrażenie, że o takie przymioty na scenie publicznej dziś coraz trudniej. O radyjku Sony opowiedział mi profesor Mirosław Filiciak, o „palecie Żyd” zaś – jeden z moich studentów. Wiele cennych uwag zawdzięczam Filipowi Modrzejewskiemu. Chłopaki, dzięki! Szczególne podziękowania zechce przyjąć świetna autorka kryminałów, Katarzyna Bonda.

Bez pomocy wymienionej gromadki powieść ta byłaby jak współczesna Barcelona bez Messiego, a Real bez Ronalda. I to w najlepszym razie.

Martwym popołudniem rozpoczynam nowy cykl powieściowy z Marcinem Hłaską w roli głównej. Słowa podzięki kieruję w stronę Wydawnictwa Albatros, szczególnie zaś jego twórcy i szefa, nieodżałowanego Andrzeja Kuryłowicza, za życzliwość, doping i przyjaźń.

Z grubsza to tyle.

Niebawem trzeba będzie znów kogoś uśmiercić.

Warszawa, marzec 2014

[1]*Esse est percipi* (łac.) – Być znaczy być postrzeganym.